CONRAD



LORD JIM

PISMA ZBIOROWE JOSEPHA CONRADA

(KONRADA KORZENIOWSKIEGO)

Z PRZEDMOWĄ STEFANA ŻEROMSKIEGO

V.

LORD JIM

WARSZAWA 1933

DOM KSIĄŻKI POLSKIEJ SPÓŁKA AKCYJNA

JOSEPH CONRAD

LORD JIM

OPOWIEŚĆ

PRZEŁOŻYŁA
ANIELA ZAGÓRSKA

TOM PIERWSZY

WARSZAWA 1933
DOM KSIĄŻKI POLSKIEJ SPÓŁKA AKCYJNA

ODBITO 3200 EGZEMPLARZY
NUMEROWANYCH

№ 945

DOM KSIĄŻKI POLSKIEJ SPÓŁKA AKCYJNA
Hurtownia dla księgarzy i wydawców pod zarządem E. W. Szelążka.
Warszawa, Plac Trzech Krzyży 8.

DRUKARNIA NARODOWA W KRAKOWIE

PRZEKONANIA MOJE
ZYSKUJĄ NIEWĄTPLIWIE NA GŁĘBI
Z CHWILĄ GDY W NIE INNA DUSZA
UWIERZY

NOVALIS

PANU I PANI G. F. W. HOPE

Z WDZIĘCZNOŚCIĄ I PRZYWIĄZANIEM
PO WIELU LATACH
PRZYJAŹNI

PRZEDMOWA AUTORA

Gdy powieść ta po raz pierwszy ukazała się w druku, rozeszła się pogłoska że jej temat mię poniósł. Niektórzy z recenzentów utrzymywali iż utwór, pomyślany z początku jako nowela, rozrósł się wbrew intencjom autora. Paru krytyków odkryło i w treści książki stwierdzenie tego faktu, który wydał im się zabawny. Wskazywali na granice zakreślone formie narracyjnej. Dowodzili iż nikt nie mógłby przez tak długi czas opowiadać, ani też słuchać tak długo. Uważali że to niezbyt jest wiarygodne.

Myślałem nad tą sprawą przez jakieś szesnaście lat, i nie zdaje mi się aby owi krytycy mieli słuszność. Wiadomo że — i pod zwrotnikami, i w klimacie umiarkowanym — ludzie siadują nieraz późno w noc, „snując opowieści“. Wprawdzie „Lord Jim“ jest tylko jedną opowieścią, ale zachodzą w niej przerwy dające możność odpoczynku; a jeśli chodzi o wytrzymałość słuchaczy, trzeba przyjąć założenie że opowieść była zajmująca. Jest to hipoteza zasadnicza i konieczna. Gdybym nie uważał tej historji za interesującą, nie mógłbym zacząć jej pisać. Co się zaś tyczy fizycznej możliwości jej opowiedzenia, wszyscy wiemy że zdarzały się mowy w parlamencie, trwające blisko sześć godzin; tymczasem całą część książki, która stanowi opowiadanie Marlowa, można przeczytać głośno — powiedzmy — w mniej niż trzy godziny. Przytem omijałem starannie wszystkie błahe szczegóły w powieści,

należy więc przypuszczać, że owego wieczoru podawano jakieś orzeźwiające napoje — naprzykład szklankę wody mineralnej od czasu do czasu — co ułatwiało Marlowowi opowiadanie.

Ale — mówiąc poważnie — prawdą jest, że mem pierwotnem zamierzeniem była nowela mająca za temat tylko statek z pielgrzymami — i nic więcej. Był to pomysł zupełnie uzasadniony. Napisałem kilka stron, które mnie z jakiegoś powodu nie zadowolniły, i na pewien czas odłożyłem pracę. Nie wyjmowałem tych kartek z szuflady, póki mi nieżyjący już William Blackwood nie przypomniał, iż powinienem dać coś znowu do jego przeglądu.

Dopiero wtedy sobie uświadomiłem, że epizod ze statkiem wiozącym pielgrzymów jest dobrym punktem wyjścia dla swobodnej, rozległej opowieści; że przytem wypadek tego rodzaju mógłby z całem prawdopodobieństwem zabarwić na całe życie „samopoczucie“ prostego i głęboko czującego człowieka. Ale z tych wszystkich przedwstępnych nastrojów i poruszeń ducha słabo zdawałem sobie wówczas sprawę, a i teraz nie wydaje mi się to jaśniejsze, po upływie tylu lat.

Owych kilka kartek, które odłożyłem, nie było dla mnie bez znaczenia przy wyborze tematu. Lecz wszystko zostało z rozwagą napisane nanowo. Gdy zasiadłem do pracy, wiedziałem że będzie to długa książka, choć nie sądziłem że się rozciągnie aż na trzynaście numerów przeglądu.

Zapytywano mię nieraz, czy „Lord Jim“ nie jest dla mnie najulubieńszą z mych książek. Odnoszę się bardzo wrogo do wszelkich protekcyj, tak w życiu publicznem jak i prywatnem, a nawet w delikatnym zakresie stosunku autora do własnych dzieł. Z zasady

nie chcę mieć ulubieńców; nie posuwam się jednak tak daleko, aby mię gryzło lub martwiło, gdy niektórzy dają pierwszeństwo „Lordowi Jimowi“. Nie powiedziałbym nawet, że „to jest dla mnie niezrozumiałe“... Nie! Jednakże raz usłyszałem coś, co wzbudziło we mnie niepewność i zdumienie.

Jeden z moich przyjaciół, bawiąc we Włoszech, rozmawiał tam z pewną panią, której się „Lord Jim“ nie podobał. Przykre to, oczywiście, ale co mię zaskoczyło, to przyczyna jej niechęci dla książki. „Wie pan“, powiedziała, „tam wszystko jest takie chorobliwe“.

Orzeczenie to dało mi materjał do niespokojnych rozmyślań na jaką godzinę. Doszedłem ostatecznie do wniosku że, wziąwszy nawet pod uwagę okoliczności łagodzące — bo sam temat jest raczej obcy dla przeciętnej kobiecej wrażliwości — że mimo to owa pani Włoszką być nie mogła. Ciekaw jestem, czy była wogóle Europejką? W każdym razie łaciński temperament nie mógłby dostrzec nic chorobliwego w dotkliwem poczuciu utraconego honoru. Takie poczucie może być słuszne albo niesłuszne, można też je potępić jako sztuczne; możliwe iż ludzi podobnych do mego Jima często się nie spotyka. Ale mogę z czystem sumieniem zapewnić swych czytelników, że Jim nie jest owocem wykrętnych spekulacyj myślowych. Nie jest również wytworem północnych mgieł. Ujrzałem raz słonecznym rankiem jak szedł wśród zwykłego otoczenia wschodniej przystani — wzruszający, wymowny, tajemniczy — i niemy.

Takim właśnie powinien był mi się wydać. A do mnie już należało — z całem współczuciem do jakiego byłem zdolny — znaleźć odpowiednie słowa dla wyrażenia jego istoty. Był to „jeden z nas“.

J. C.

Rozdział I

Brakował mu cal — może dwa — do sześciu stóp wzrostu, był potężnie zbudowany, a gdy szedł prosto na kogoś z pochylonemi nieco plecami i wysuniętą głową, patrząc nieruchomo spodełba, przypominał nacierającego byka. Głos miał głęboki, głośny; z zachowania jego przebijała jakby uparta pewność siebie, w której nie było wcale zadzierzystości. Zdawało się że ta pewność siebie jest nieunikniona, że się przejawia nietylko w stosunku do innych, ale i do niego samego. Był nieskazitelnie czysty, przybrany w niepokalaną biel od trzewików aż do kapelusza, i w przeróżnych wschodnich portach, gdzie zarabiał na życie jako subjekt okrętowego dostawcy, bardzo był popularny.

Taki subjekt nie potrzebuje zdawać egzaminów z żadnego przedmiotu, ale musi posiadać zdolność kombinowania i wykazywać ją w czynie. Praca jego polega na ściganiu się łódką — żaglową, parową lub poruszaną zapomocą wioseł — z innymi subjektami; chodzi o to aby wyprzedzić wszystkich, dopaść okrętu nim go zakotwiczą, przywitać się wesoło z kapitanem, wetknąć mu kartę — anons dostawcy okrętowego — gdy zaś kapitan pierwszy raz na brzeg wysiądzie, zaprowadzić go niepostrzeżenie lecz stanowczo do obszernego sklepu, przypominającego jaskinię pełną produktów, które się jada i pija na okręcie; można się tam zaopatrzyć we wszystko co czyni statek pięknym i zdolnym do

podróży, zarówno w komplet haków linowych jak i książeczkę z pozłotą do rzeźbionych ozdób steru; a w sklepie tym dostawca okrętowy wita po bratersku szypra, choć go nigdy przedtem nie widział. Czeka tam na gościa chłodny gabinet, fotele, butelki, cygara, przybory do pisania, egzemplarz przepisów portowych i ciepłe powitanie, które roztapia sól nagromadzoną w sercu marynarza podczas trzymiesięcznej podróży. Póki okręt przebywa w porcie, subjekt podtrzymuje przez codzienne odwiedziny stosunki nawiązane w ten sposób. Wierny jest kapitanowi jak przyjaciel, pełen synowskiej atencji, a odznacza się przytem cierpliwością Joba, altruistycznem oddaniem kobiety i wesołością dobrego kompana. Później posyła się dowódcy statku rachunek. Piękne to i humanitarne zajęcie. To też dobrzy pracownicy w tym fachu trafiają się rzadko. Gdy subjekt, posiadający zdolność kombinowania, ma w dodatku tę wyższość, że się zna z morzem, wówczas przynosi swemu chlebodawcy moc pieniędzy i zasługuje na względy. Jim zawsze miał dobrą pensję, a okazywano mu tyle względów, że można było za nie kupić wierność skończonego wroga. Tymczasem z czarną niewdzięcznością rzucał nagle swoje zajęcie i wyjeżdżał. Przyczyny, które podawał chlebodawcom, były bezwzględnie niedostateczne. Mówili o nim: „Dureń, psiakrew“, z chwilą gdy się do nich plecami odwrócił. Takie było ich zdanie o niezmiernej wrażliwości tego człowieka.

Dla białych ludzi pracujących w porcie i dla kapitanów różnych statków był poprostu Jimem — i niczem więcej. Miał naturalnie i nazwisko, ale chodziło mu o to, aby tego nazwiska nie wymieniano. Incognito Jima — dziurawe jak rzeszoto — miało ukry-

wać nie człowieka lecz fakt. Kiedy ów fakt na jaw wychodził, Jim opuszczał nagle morski port, gdzie się wówczas znajdował i udawał się do innego — zwykle dalej na wschód. Trzymał się portów, ponieważ był marynarzem wygnanym z morza i posiadał zdolność kombinowania nadającą się wyłącznie do zajęcia morskiego subjekta. Cofał się w porządku ku wschodzącemu słońcu, a ów fakt gonił za nim nieodwołalnie, wcześniej lub później. I tak w ciągu lat znano kolejno Jima w Bombaju, Kalkucie, Rangunie, Penangu, Batawji — i na każdym z tych postojów był tylko Jimem, subjektem dostawcy okrętowego. Później, gdy zdał sobie jasno sprawę, że dłużej tego nie wytrzyma, opuścił nazawsze porty i białych ludzi, usuwając się aż w głąb dziewiczego lasu, i wówczas to Malaje ze wsi leżącej wśród dżungli — gdzie postanowił ukryć swe niefortunne zdolności — przyłączyli drugie słowo do jego jednozgłoskowego incognita. Nazwali go: Tuan Jim, co znaczy mniej więcej: Lord Jim.

Urodził się na probostwie. Wielu dowódców pięknych statków handlowych pochodzi z tych przybytków spokoju i pobożności. Ojciec Jima posiadał niezbitą wiedzę o Niewiadomem, stosowną dla bogobojnych mieszkańców chat i nie mącącą spokoju ducha tych, którym nieomylna Opatrzność umożliwia zamieszkiwanie w pałacach. Mały kościołek na wzgórzu przypominał w swej omszałej szarości skałę za strzępiastą zasłoną z gałęzi. Stał tam na miejscu już od stuleci, a drzewa naokoło niego pamiętały zapewne chwilę, gdy kładziono kamień węgielny. Poniżej jaśniał ciepłą barwą czerwony front probostwa wśród trawników, klombów i jodeł, z sadem od tyłu, brukowanem podwórzem na lewo i pochyłemi szybami oranżeryj, wspie-

rającemi się o ścianę z cegieł. Probostwo należało do rodziny już od pokoleń; Jim był jednym z pięciu synów, a gdy przy końcu wakacyj — w czasie których naczytał się lekkiej literatury — ujawniło się jego powołanie do służby na morzu, wysłano go odrazu na „statek szkolny dla oficerów marynarki handlowej".

Nauczył się tam brasowania górnych rej i trochę trygonometrji. Lubiono go ogólnie. Był trzecim w nawigacji i nadawał tempo, wiosłując w pierwszym kutrze. Nie podlegał zawrotom głowy, a że miał przytem bardzo silny organizm, wykazał dużo zręczności w pracy na masztach. Jego stanowisko manewrowe było na marsie przedniego masztu. Patrzył stamtąd często wdół z pogardą człowieka, który ma błysnąć odwagą wśród niebezpieczeństw; ogarniał wzrokiem spokojną gromadę dachów, przeciętą na dwoje brunatnym nurtem rzeki, i kominy fabryczne rozsiane po skraju okolicznej płaszczyzny, wznoszące się prostopadle na tle brudnego nieba; każdy z nich był smukły jak ołówek i ziönął dymem jak wulkan. Jim mógł także oglądać odjazd wielkich okrętów, promy o szerokich belkach sunące bez przerwy, małe czółenka hen nisko pod stopami — a w oddali mglistą wspaniałość morza i nadzieję bujnego życia w świecie przygód.

Na niższym pokładzie wśród rozgwaru dwóchset głosów zapamiętywał się często, przeżywając myślą zawczasu życie marynarza na modłę lekkich powieści. Wyobrażał sobie, że ratuje ludzi z tonących okrętów, rąbie maszty wśród huraganu, że płynie u końca liny przez wzburzone fale; to znów zdawało mu się iż jest samotnym rozbitkiem, półnagim i bosym, i chodzi po gołych skałach, szukając skorupiaków aby odpędzić śmierć głodową. Stawiał czoło dzikim na podzwrotnikowych

wybrzeżach, uśmierzał bunty na pełnem morzu, i w drobnem czółenku wśród oceanu budził ducha w zrozpaczonych ludziach — będąc zawsze wzorem obowiązkowości — niezłomny jak bohater z książki.

— Coś się tam stało. Chodźcie no!

Skoczył na równe nogi. Chłopcy wspinali się po drabinach. Na górnym pokładzie słychać było gwałtowną bieganinę i krzyki, a gdy Jim wydostał się przez lukę, stanął jak wryty w oszołomieniu.

Był zmierzch zimowego dnia. Wicher wzmagał się już od południa, zatrzymując ruch na rzece i dął teraz z siłą huraganu; dorywcze jego wybuchy grzmiały jak salwy wielkich armat nad oceanem. Deszcz ciął ukośnemi pasmami, które to siekły, to znikały, a od czasu do czasu odsłaniał się na chwilę przed Jimem groźny widok kotłującego się nurtu, drobny stateczek podrzucany falami, miotający się wzdłuż brzegu, nieruchome budynki wśród pędzącej mgły, szerokie promy rozkołysane ciężko na kotwicy, obszerne pływające pomosty, które bujały się w górę i w dół, przesłonięte bryzgami. Każdy następny poryw wichru zdawał się zmiatać to wszystko. Powietrze było pełne lecącej wody. Czuło się jakąś dziką celowość w burzy, wściekłą zawziętość w huku wiatru, w brutalnym zgiełku ziemi i nieba; Jim miał wrażenie iż to wszystko zwraca się przeciw niemu i trwoga zaparła mu oddech. Stał bez ruchu. Zdawało mu się że go wir jakiś porywa.

Potrącano go. „Kuter na wodę!“ Chłopcy przebiegali koło niego. Przybrzeżny statek, chcąc się schronić u lądu, zderzył się z zakotwiczonym szkunerem; jeden z instruktorów okrętu był świadkiem tego wypadku. Chłopcy włazili tłumnie na barjerę, czepiali się gromadnie żórawików szalupowych. „Zderzenie.

Tuż przed nami. Pan Symons widział“. Ktoś pchnął Jima, który zatoczył się na trzeci maszt i chwycił jakiejś liny. Stary statek szkolny, przycumowany do beczki kotwicznej, dygotał cały, chyląc łagodnie dziób w stronę wiatru, a skąpy jego takielunek nucił głębokim, zdyszanym basem pieśń o młodości statku na oceanie.

— Na dół kuter! — Jim ujrzał łódź z ludźmi zapadającą szybko za burtę i rzucił się ku niej. Usłyszał plusk. „Puszczaj! Wyhaczyć kuter!“ Wychylił się za barjerę. Rzeka wzdłuż statku wrzała pienistemi smugami. Dostrzegł wśród zapadających ciemności, że kuter miota się na jednej linji z okrętem, jakby urzeczony przez prąd i wiatr — które przez chwilę osadziły go na miejscu. Jim usłyszał niewyraźnie głos wrzeszczący na kutrze: „Równo, szczeniaki, jeśli chcecie kogoś wyratować! Równo!“ A łódź wzniosła nagle dziób wysoko i skoczyła na bałwan z podniesionemi wiosłami, wyłamując się z pod czaru rzuconego przez wiatr i prąd.

Jim poczuł że ktoś chwyta go mocno za ramię. „Zapóźno, chłopcze“. Kapitan statku położył hamującą dłoń na Jimie, który — zdawało się — już już skoczy za burtę. Chłopiec spojrzał na kapitana z bólem świadomej porażki w oczach. Kapitan uśmiechnął się życzliwie. „Następnym razem będziesz miał więcej szczęścia. To cię nauczy szybkiej decyzji“.

Wesoły okrzyk powitał kuter, który wracał, tańcząc po falach, napełniony do połowy wodą, z dwoma wyczerpanymi ludźmi, taczającymi się po belkach dna. Groźny huk wichru i morza wydał się Jimowi godny pogardy, zwiększając jego żal, że się dał zastraszyć ich pogróżkom. Teraz już wiedział co myśleć o tem wszystkiem. Zdawało mu się iż burza nic a nic go nie obchodzi.

Mógłby stawić czoło większym niebezpieczeństwom. I uczyni to — lepiej niż wszyscy inni. Nie czuł już ani odrobiny strachu. Jednak tego wieczoru trzymał się chmurnie na stronie, podczas gdy dziobowy kutra — chłopiec z dziewczęcą twarzą i wielkiemi, szaremi oczami — był bohaterem niższego pokładu. Zapaleni słuchacze tłoczyli się wkoło niego, a on opowiadał:

— Widziałem tylko jego głowę wynurzającą się raz po raz i cisnąłem bosak do wody. Uwiązł w jego spodniach; myślałem że wypadnę za burtę, i rzeczywiście ledwie nie wyleciałem, tylko że stary Symons puścił rękojeść steru i złapał mię za nogi — łódka o mało co nie poszła na dno. Stary Symons to byczy staruszek. Gderze na nas, ale niech go tam. Klął na mnie przez cały czas co mię trzymał za nogę, ale chciał tylko dać mi do zrozumienia, że niewolno mi puścić bosaka. Stary Symons okropnie jest porywczy, prawda? Nie, to nie ten mały blondyn, tylko ten dryblas z brodą. Kiedyśmy go wciągali, jęczał: „Oj, noga, noga! Oj, moja noga!“ i przewracał oczami. Pomyślcie tylko, taki wielki drab i mdlał jak dziewczyna! Czyby który z was zemdlał, gdyby go dziabnąć bosakiem? Jabym tam nie zemdlał. Bosak wszedł mu w nogę — o tyle. — Pokazał bosak, który przyniósł na dół w tym celu, i wywarł szalone wrażenie. — Ależ nie, cóż za bzdura! Bosak trzymał go za spodnie, nie za ciało. Tylko że naturalnie krew się lała okropnie.

Jim uznał to za nędzny popis próżności. Burza wywołała bohaterstwo równie pozorne jak jej własna udana groza. Jim był zły na brutalny zgiełk ziemi i nieba, ponieważ zaskoczył go znienacka i chytrze przeszkodził szlachetnemu popędowi do ratowania ludzi z groźnego niebezpieczeństwa. Skądinąd cieszyło go

raczej, że się nie dostał do kutra, skoro pośledniejszy czyn wystarczył w danym wypadku. Jim pogłębił swe doświadczenie bardziej niż ci, którzy wykonali to zadanie. Dopiero gdy się wszyscy cofną ze strachu, wówczas — czuł to niezbicie — on jeden potrafi zachować się jak należy wobec czczych gróźb wiatru i morza. Wiedział, co ma o nich myśleć. Patrząc chłodno na te pogróżki, musiało się je uznać za godne pogardy. Nie mógł już w sobie wykryć ani śladu wzburzenia i ostateczny skutek owego wstrząsającego wypadku był taki, że Jim — niezauważony przez nikogo i trzymający się na uboczu od hałaśliwej rzeszy chłopaków — rozkoszował się wzmożonem poczuciem swej wszechstronnej odwagi i żądzy przygód.

Rozdział II

Po dwóch latach szkolenia wyruszył na morze, i dostawszy się w strefy tak dobrze znane swej wyobraźni, uznał że są dziwnie z przygód wyjałowione. Odbył wiele podróży. Poznał czarodziejską monotonję istnienia między niebem a wodą; musiał znosić ludzkie krytyki, twarde wymagania morza i poziomą surowość codziennej roboty, która daje chleb — i której jedyną nagrodą jest doskonała miłość pracy. Ta nagroda go ominęła. Ale cofnąć się nie mógł, gdyż nic bardziej nie nęci, nie rozczarowuje i nie przykuwa od życia na morzu. Pozatem przyszłość Jima zapowiadała się korzystnie. Był dobrze wychowany, spokojny, zgodny, znał dokładnie swe obowiązki; i niebawem, jeszcze jako bardzo młody chłopiec, został pierwszym oficerem na pięknym statku, nie doświadczywszy nigdy tych wydarzeń na morzu, które dobywają na jaw wewnętrzną wartość człowieka, rodzaj jego usposobienia i rdzeń charakteru; które ukazują stopień jego odporności i tajną prawdę ukrytą pod pozorami — ukazują nietylko innym, ale i jemu samemu.

Tylko raz jeden przez cały ten czas Jim dojrzał znów przebłysk zawziętości w gniewie morza. Ta prawda nie przejawia się tak często, jakby można było przypuszczać. Jest wiele odcieni w niebezpieczeństwie przygód i burz, i tylko niekiedy oblicze faktów zdradza ponurą, gwałtowną celowość — to coś nieokreślonego,

co narzuca umysłom i sercom przekonanie, że pewien splot wypadków lub furja żywiołu spada na człowieka ze złośliwą premedytacją, z nieogarnioną siłą, z rozpętanem okrucieństwem, które chce wydrzeć człowiekowi jego nadzieję i jego strach, ból jego zmęczenia i tęsknotę za wypoczynkiem; które chce zmiażdżyć, zniszczyć, unicestwić wszystko co widział, znał, kochał, czem się cieszył, czego nienawidził, wszystko co jest potrzebne i bezcenne — blask słońca, wspomnienia, przyszłość; które chce zmieść doszczętnie z przed jego oczu cały świat drogocenny przez prosty i przerażający akt — przez zabranie mu życia.

Na samym początku tygodnia (o którym kapitan Jima, Szkot, zwykł był opowiadać: „Mówię wam, ludzie, to cud prawdziwy, że statek przeżył to wszystko!“), Jim został ugodzony spadającą reją: spędził wiele dni, leżąc nawznak, ogłuszony, poturbowany, zwątpiały i pełen udręki, jakby na dnie niespokojnej otchłani. Wszystko mu było jedno jak się to skończy, a w chwilach przytomności przeceniał swą obojętność. Niebezpieczeństwo, kiedy go się nie widzi, ma mglistą nieokreśloność ludzkiej myśli. Trwoga staje się mętna; niepodsycana niczem wyobraźnia — wróg ludzi, źródło wszelkiej grozy — układa się do spoczynku w duszy stępiałej od nadmiaru wzruszeń. Jim widział tylko nieporządek w swej roztrzęsionej kabinie. Leżał tam przykuty do miejsca wśród ciasnoty i spustoszenia, i czuł się w głębi ducha szczęśliwy, że nie potrzebuje wyjść na pokład. Ale od czasu do czasu nieposkromiony napad trwogi chwytał go za gardło, tak że brakowało mu tchu i wił się pod kołdrami; bezsensowna brutalność istnienia, poddająca ludzi takim katuszom, napełniała go rozpaczliwą żądzą aby się za wszelką cenę ocalić. Potem

wróciła piękna pogoda i więcej już o tem nie myślał.

Jednakże kulał wciąż jeszcze, a gdy okręt przybył do jednego ze wschodnich portów, Jim musiał iść do szpitala. Przychodził do siebie bardzo wolno i pozostawiono go w porcie.

Poza nim było tylko dwóch pacjentów w oddziale dla białych: płatnik z kanonierki, który złamał nogę, zleciawszy do luki, i jakiś niby dostawca kolejowy z sąsiedniej prowincji, dotknięty tajemniczą chorobą podzwrotnikową; uważał doktora za osła i oddawał się potajemnie leczeniu różnemi specyfikami, które jego służący, Tamil, przemycał z niezmordowanem poświęceniem. Pacjenci opowiadali sobie nawzajem historję swego życia, grali trochę w karty, lub też ubrani tylko w pidżamy wylegiwali się całemi dniami na leżakach, ziewając i nie mówiąc do siebie ani słowa. Szpital stał na wzgórzu; lekki powiew, wchodzący przez okna otwarte zawsze naoścież, niósł do pustych pokoi łagodność nieba, omdlałość ziemi, czarowny oddech wschodnich wód. Były w nim jakieś aromaty, zapowiedź bezgranicznego spoczynku, dar snutych bez końca marzeń. Jim spoglądał codzień ponad gąszcz ogrodów, ponad dachy miasta i kępy palm rosnących na brzegu, na tę przystań, która jest szlakiem na wschód — na przystań oświetloną radosnem słońcem — z wieńcem wysepek, z okrętami jak zabawki — wspaniałą i ruchliwą niby świąteczne widowisko pod wiecznie pogodnem niebem, pośród uśmiechniętego spokoju wschodnich mórz, ogarniających przestrzeń aż do horyzontu.

Z chwilą gdy Jim mógł już chodzić bez kija, zeszedł do miasta i zaczął szukać jakiejś okazji aby

wrócić do kraju. Nic mu się wówczas nie nastręczyło, czekał więc, obcując naturalnie w porcie z ludźmi swego zawodu. Dzielili się na dwa rodzaje. Jedni, bardzo nieliczni i rzadko tam widywani, wiedli tajemniczy żywot, odznaczali się niezwalczoną energją, temperamentem korsarzy i mieli marzycielskie oczy. Żyli jakgdyby w obłąkanym labiryncie planów, nadziei, niebezpieczeństw, przedsięwzięć, w awangardzie cywilizacji, wśród mało znanych zakątków morza; śmierć była w ich fantastycznych egzystencjach jedynem wydarzeniem, które się wydawało dorzeczne i pewne. Przeważnie byli to ludzie rzuceni tam przez przypadek jak Jim — którzy pozostali na miejscu w charakterze oficerów na statkach krajowych. Mieli wstręt do służby na europejskich okrętach, wśród twardszych warunków, służby nacechowanej surowszem pojęciem obowiązku, grożącej ryzykiem burzliwych przepraw przez oceany. Zestroili się z wiecznym spokojem wschodniego nieba i mórz. Lubowali się w krótkich podróżach, wygodnych leżakach na pokładzie, licznych załogach złożonych z krajowców i wyróżnieniu, które należy się białym. Myśl o ciężkiej pracy przejmowała ich dreszczem; wiedli wygodne życie z dnia na dzień, gotowi zawsze rzucić jeden statek i przenieść się na drugi, służąc Chińczykom, Arabom, metysom — byliby służyli chętnie i djabłu, gdyby dał im dość wygodne warunki. Rozmawiali bezustanku o przeróżnych szczęśliwych zdarzeniach; jak to taki a taki został kapitanem statku na chińskiem wybrzeżu — świetna służba; temu znów trafiło się dogodne miejsce gdzieś w Japonji, a tamtemu powodzi się świetnie w sjamskiej marynarce; we wszystkiem zaś co mówili — w ich czynach, w ich wyglądzie, w ich osobach — można było wykryć

jakieś słabe miejsce, znamię upadku, upartą chęć aby przepróżnować życie w spokoju.

Ta plotkująca czereda — z marynarskiego punktu widzenia — wydała się zrazu Jimowi bardziej nierealna od zbiorowiska cieni. Ale zczasem urzekł go widok tych ludzi, którym zdawało się tak dobrze powodzić, choć narażali się w bardzo małym stopniu na niebezpieczeństwa i ciężką pracę. Obok pierwotnej pogardy rozwinęło się zwolna w Jimie inne uczucie; i nagle, zaniechawszy powrotu do kraju, zaciągnął się jako główny oficer na statek *Patna*.

Patna, był to miejscowy parowiec stary jak świat, smukły jak chart i bardziej zżarty przez rdzę od wysłużonej kadzi żelaznej. Właścicielem *Patny* był Chińczyk, dzierżawcą Arab, a dowodził nią pewien Niemiec renegat z Nowej Południowej Walji, bardzo pochopny do publicznego wymyślania na swój kraj rodzinny; miał fjoletowy nos i rude wąsy, a wzorował się widać na zwycięskiej polityce Bismarka, gdyż obchodził się brutalnie ze wszystkimi, których się nie bał, przybierając krwiożercze miny. *Patna* została pomalowana zzewnątrz i wybielona pośrodku, poczem wtłoczono na jej pokład ośmiuset pielgrzymów, gdy leżała pod parą u drewnianego mola.

Pielgrzymi sunęli na pokład trzema schodniami, nagleni wiarą i nadzieją raju, wśród nieustannego tupotu i szmeru bosych nóg, bez słowa, bez szeptu, nie oglądając się za siebie; wydostawszy się z pomiędzy barjer, rozlewali się na wszystkie strony po pokładzie, ku przodowi i ku rufie, spływali wdół w ziejące luki, zapełniali wewnętrzne zakamarki statku — jak woda, która napełnia cysternę, sączy się w szpary, szczeliny i wzbiera cicho aż po brzegi. Ośmiuset mężczyzn i kobiet,

żywiących wiarę i nadzieję, przywiązania i wspomnienia, zebrało się tam, przybywszy z północy, i południa, i krańców wschodu, wędrując ścieżkami przez dżunglę, płynąc z biegiem rzek, sunąc wzdłuż mielizn na krajowych statkach, przeprawiając się w drobnych czółenkach od wyspy do wyspy, przechodząc różne udręki, patrząc na dziwne rzeczy, pozostając we władzy dziwnych lęków — a wszystkich podtrzymywało jedno pragnienie. Przybyli z samotnych chat stojących wśród puszczy, z pełnych ludzi kampongów, z nadbrzeżnych morskich wiosek. Na zew jednej idei opuścili swe lasy, polanki, opiekę swych władców, swój dobrobyt, swą biedę, krainę swej młodości i groby ojców. Przybyli okryci pyłem, potem, brudem, łachmanami — mężczyźni w sile wieku na czele rodzin, wychudli starcy dążący naprzód bez nadziei powrotu; młodzi chłopcy o nieulękłych oczach, rozglądający się ciekawie, trwożliwe dziewczątka o długich, poplątanych włosach, nieśmiałe, zakwefione kobiety, które cisnęły do piersi uśpione niemowlęta, okutane w luźne końce zbrukanych zasłon — nieświadomych pielgrzymów, posłusznych surowym wymaganiom swej wiary.

— Popatrz pan na to bydło — rzekł Niemiec, szyper, do swego nowego oficera.

Arab, przywódca pobożnych podróżników, zjawił się naostatku. Wkroczył zwolna na pokład, piękny i pełen powagi w szacie i wielkim turbanie. Za nim postępował szereg sług obładowanych jego bagażem; *Patna* odrzuciła cumy i cofnęła się od wybrzeża.

Skierowawszy się między dwie małe wysepki, przecięła naukos kotwowisko dla żaglowców, zakreśliła półkole w cieniu wzgórza i przesunęła się tuż koło raf otoczonych pianą. Arab powstał z miejsca na rufie

i odmawiał głośno modlitwę dla podróżujących po morzu. Wzywał łaski Najwyższego dla tej pielgrzymki, błagając Go aby pobłogosławił znój ludzki i tajne zamysły serc; parowiec pruł w mroku spokojną wodę cieśniny, a hen w tyle za okrętem latarnia morska, umieszczona przez niewiernych na zdradliwej mieliźnie, zdawała się mrugać na *Patnę* płomiennem okiem, jakby szydząc z jej wyprawy natchnionej przez wiarę.

Statek przebył cieśninę, minął zatokę i jechał dalej w swą drogę przez przesmyk Onedegree. Sunął wprost na morze Czerwone pod pogodnem niebem, pod niebem palącem i nieosłoniętem chmurami, obleczonem w słoneczny blask, który zabijał myśl wszelką, uciskał serce, wypalał wszystkie porywy siły i energji. A pod ponurą wspaniałością nieba morze błękitne i głębokie leżało spokojnie bez ruchu, bez szmeru, bez zmarszczki — kleiste, bezwładne, martwe. *Patna* sunęła z lekkim sykiem tą świetlistą, gładką równiną i rozwijała po niebie czarną wstęgę dymu, zostawiając za sobą na wodzie białą wstęgę piany, która znikała natychmiast, jak widmo szlaku kreślone na martwem morzu przez widmo parowca.

Każdego rana słońce, jakby dotrzymując w swych obrotach kroku sunącej naprzód pielgrzymce, wyłaniało się z bezgłośnym wybuchem światła ściśle w tej samej odległości za rufą statku, dopędzało go o południu, lejąc skupiony żar promieni na pobożne ludzkie zamysły, mijało *Patnę*, i tocząc się wdół, znikało tajemniczo w morzu wieczór za wieczorem, zawsze w tej samej odległości od sunącego naprzód dziobu.

Pięciu białych znajdujących się na statku mieszkało na śródokręciu, oddzielnie od ludzkiego ładunku. Pło-

cienna zasłona okrywała pokład białym dachem od dziobu do rufy, i tylko słaby szmer, cichy gwar smutnych głosów, zdradzał obecność tłumu ludzi na wielkiej jasności oceanu. Tak upływały dni ciche, upalne, ociężałe, zapadając jeden za drugim w przeszłość, niby w otchłań otwartą zawsze na szlaku okrętu; a *Patna*, samotna pod pasmem dymu, dążyła wytrwale w swą drogę, czarna i dymiąca wśród świetlistej nieskończoności, jakby spalona przez płomienie sypiące się z bezlitosnego nieba.

Noce zstępowały na nią jak błogosławieństwo.

Rozdział III

Cudowna cisza przenikała świat, a gwiazdy zdawały się słać na ziemię nietylko pogodę swych promieni ale i pewność wiecznego spokoju. Młody, wygięty księżyc, jaśniejący nisko na zachodzie, wyglądał jak cieniutki wiórek zheblowany ze złotej sztaby; morze Arabskie, gładkie i chłodne dla oka niby płyta lodu, słało się idealną równią aż po idealne koło ciemnego widnokręgu. Śruba kręciła się gładko, jakby jej rytm był jednym ze składników bezpiecznego wszechświata; z obu stron *Patny* dwie głębokie fałdy wody, nieprzerwane i ciemne na gładkiej, lśniącej powierzchni, zamykały między prostemi, rozchodzącemi się grzbietami nieliczne białe wiry piany pękającej z cichym sykiem, drobne falki i zmarszczki, które zostawały w tyle, wzburzając na chwilę powierzchnię morza po przejściu okrętu, poczem uspakajały się z łagodnym pluskiem, póki nie stopiły się wreszcie w okrężną cichość nieba i wody — z czarną plamką sunącego kadłuba, pozostającą wciąż w samym środku.

Jim, stojąc na mostku, pławił się w wielkiej pewności nieskończonego spokoju i bezpieczeństwa, które można było wyczytać ze spokojnego wyglądu natury, jak się czyta pewność opiekuńczej miłości na spokojnej, tkliwej matczynej twarzy. Pod płóciennym dachem spali pielgrzymi hołdujący surowej wierze, poddawszy się mądrości białych i ich odwadze, ufając

potędze ich niewiary i żelaznej łupinie ognistego statku; spali na matach, na kołdrach, na gołych deskach, na wszystkich pomostach, we wszystkich ciemnych zakamarkach, zawinięci w barwione szmaty, okutani w brudne łachmany, z głowami wspartemi na małych zawiniątkach, z twarzami przyciśniętemi do zgiętych ramion: mężczyźni, kobiety, dzieci, starzy z młodymi, zgrzybiali z pełnymi sił i życia — wszyscy zrównani wobec snu, brata śmierci.

Lekki powiew ciągnący od przodu, wywołany biegiem parowca, niósł się spokojnie przez długą mroczną przestrzeń między wysokiemi nadburciami i muskał rzędy wyciągniętych ciał; kilka przyćmionych płomieni w latarniach wisiało na krótkich linkach tu i tam u poprzeczek płóciennego dachu, a w mętnych kręgach światła, drgających zlekka w rytm nieustannej wibracji statku, ukazywały się czyjeś zamknięte powieki, zadarta broda, ciemna ręka ze srebrnemi pierścieniami, chude członki owinięte w podarte nakrycie, głowa odchylona wtył, goła stopa, szyja naga i wyprężona, jakby podająca się pod nóż. Zamożni urządzili dla swych rodzin schronienia z ciężkich skrzyń i zakurzonych mat; ubodzy spoczywali rzędem obok siebie, wspierając głowę na całym swym ziemskim dobytku zawiniętym w gałgany; samotni starcy spali, podciągnąwszy nogi, na modlitewnych dywanach, z rękoma na uszach i łokciami po obu stronach twarzy; jakiś ojciec wsunął głowę w ramiona i zgnębiony oparł czoło na kolanach, drzemiąc obok chłopca, który spał nawznak ze skołtunioną czupryną i ręką wyciągniętą nakazująco; kobieta, okryta od stóp do głów białem prześcieradłem — niby trup — trzymała nagie dziecko w zgięciu każdego ramienia; pakunki Araba, spiętrzone

po prawej stronie rufy, tworzyły przysadzisty kopiec o łamanych linjach; nad nim wisiała latarnia a w głębi majaczyły przeróżne niewyraźne kształty: połyskliwe brzuchy mosiężnych naczyń, podnóżek od leżaka, ostrze włóczni, prosta pochwa starego miecza oparta o stos poduszek, dziób cynowego dzbanka do kawy. Log na tylnej barjerze wydzwaniał miarowo jedno dźwięczne uderzenie za każdą milą przebytą w wędrówce nakazanej przez wiarę. Nad ciżbą śpiących przepływało niekiedy nikłe i cierpliwe westchnienie, wyzionięte wśród zmąconego snu; a krótkie metaliczne dźwięki, rozlegające się nagle w głębiach statku — ostry zgrzyt szufli, gwałtowne trzaśnięcie drzwiczkami od paleniska — wybuchały brutalnie, jakby ludzie obcujący z tajemniczemi przedmiotami tam w dole żywili dziki gniew w piersi; zaś smukły, wysoki kadłub parowca sunął równo naprzód bez najlżejszego zataczania się nagich masztów, prując nieustannie wielki spokój wód pod niedostępną pogodą nieba.

Jim spacerował wpoprzek mostka, a własne kroki rozbrzmiewały mu głośno w uszach wśród wielkiej ciszy, jakby odbite przez czujne gwiazdy; jego oczy błądzące po linji horyzontu zdawały się sięgać chciwie za czemś niedościgłem i nie dostrzegły cienia zbliżającego się wypadku. Jedynym cieniem na morzu był ten, który padał od czarnego dymu, buchającego wciąż ciężko z komina olbrzymią chorągwią o końcu rozpływającym się ustawicznie w powietrzu. Dwaj Malaje, niemi i prawie nieruchomi, sterowali, stojąc z dwóch stron koła, którego mosiężny brzeg połyskiwał częściowo w owalu światła padającego od pokrywy kompasu. Niekiedy ręka o czarnych palcach, puszczając i chwytając kolejno obracające się szprychy, ukazywała się

2*

na oświetlonej części koła; ogniwa łańcucha zgrzytały głośno w rowkach rury sterowej. Jim rzucał wzrokiem na kompas, potem rozglądał się wkoło po niedościgłym widnokręgu, przeciągał się aż stawy trzeszczały, przeginając się leniwie od nadmiernego wprost poczucia błogości; i — jakby rozzuchwalony widokiem niewzruszonego spokoju — czuł że nie dba o nic, coby go mogło spotkać aż do końca jego dni. Od czasu do czasu spoglądał leniwie na mapę przymocowaną czterema pluskiewkami do niskiego stolika o trzech nogach, stojącego za osprzętem sterowym. Arkusz papieru odtwarzający morskie głębie rozpościerał się jaśniejącą powierzchnią pod światłem ślepej latarki przywiązanej do stojaka — powierzchnią poziomą i równą jak połyskliwa gładź wód. Na mapie spoczywały dwie linijki nawigacyjne i cyrkiel; położenie statku o południu było oznaczone małym, czarnym krzyżykiem, a prosta linja, nakreślona pewną ręką aż do Perimu, odtwarzała kurs — szlak dusz dążących ku świętemu miejscu, ku obietnicy zbawienia, nagrodzie wiecznego życia — ołówek zaś, oparty ostrym końcem o wybrzeże Somali, leżał okrągły i nieruchomy jak nagi maszt na basenie zamkniętego doku.

— Jak my spokojnie suniemy — pomyślał Jim z podziwem, z czemś w rodzaju wdzięczności za ten wyniosły spokój morza i nieba. W takich chwilach myśli jego były przepełnione walecznemi czynami; kochał te swoje marzenia i sukcesy urojonych czynów. Były najlepszą częścią życia, jego tajną prawdą, jego ukrytą rzeczywistością. Cechowała je wspaniała męskość i urok czegoś nieokreślonego; sunęły przed nim bohaterskim krokiem, porywając za sobą jego duszę upojoną boskim napojem — bezgraniczną wiarą w siebie. Niema

nic, czemuby nie potrafił stawić czoła. Tak się mu ta myśl podobała, że się uśmiechnął, patrząc machinalnie ku przodowi statku; a gdy mu się zdarzyło spojrzeć wtył, widział białą smugę szlaku, kreśloną równie prosto przez kil okrętu, jak prosta była czarna linja narysowana ołówkiem na mapie.

Wiadra od popiołu hałasowały, przesuwane tam i z powrotem przez wentylatory palarni, a ten metaliczny dźwięk ostrzegał Jima, iż koniec jego wachty się zbliża. Westchnął z zadowoleniem a zarazem z żalem, że będzie musiał się rozstać z tą pogodą, która sprzyjała awanturniczej swobodzie jego myśli. Był przytem trochę śpiący i czuł jak przyjemna omdlałość ogarnia wszystkie jego członki; zdawało mu się iż cała krew w jego ciele przemienia się w ciepłe mleko. Szyper zjawił się bezszelestnie na mostku w pidżamie rozchełstanej szeroko na piersiach. Był nawpół rozbudzony; twarz miał czerwoną, lewe oko częściowo zamknięte, prawe idjotycznie wybałuszone i szkliste; zwiesił wielką głowę nad mapą i drapał się ospale po żebrach. Było coś plugawego w widoku jego nagiego ciała. Obnażone, pulchne piersi połyskiwały tłustością, jakby we śnie wypocił z siebie całe sadło. Wypowiedział jakąś zawodową uwagę głosem chrapliwym i głuchym, podobnym do drapiącego dźwięku piły trącej o krawędź deski; fałda podwójnego podbródka zwisała mu jak worek przywiązany tuż pod zawiasami szczęk. Jim drgnął, a jego odpowiedź pełna była szacunku, lecz wstrętna, opasła postać — jakby ujrzana po raz pierwszy w chwili objawienia — wyryła się nazawsze w jego pamięci niby inkarnacja wszelakiej nikczemności i podłoty, czających się w ukochanym przez nas świecie; bowiem w głębi ducha ufamy, że nasze zbawienie leży w ludziach, którzy nas

otaczają, we wszystkiem na co patrzą nasze oczy, w dźwiękach, które napełniają nam uszy i w powietrzu wchłanianem przez nasze płuca.

Cienki, złoty wiórek księżyca spływał powoli, aż się zatracił w ściemniałej powierzchni wód, a wieczność poza niebem zdawała się do ziemi przybliżać ze wzmocnionem lśnieniem gwiazd i mrokiem, który się pogłębił w połyskliwej, nawpół przejrzystej kopule okrywającej płaską tarczę matowego morza. Parowiec płynął tak gładko, że ludzkie zmysły nie mogły jego ruchu uchwycić, jakby był zaludnioną szczelnie planetą śpieszącą przez ciemną przestrzeń eteru za rojem słońc, wśród groźnych i spokojnych pustkowi oczekujących na tchnienie przyszłych aktów stworzenia.

— Strach co tam za upał na dole — rzekł jakiś głos.

Jim uśmiechnął się ale nie obejrzał. Rozłożyste plecy szypra ani drgnęły; należało to do kawałów renegata, że ignorował ostentacyjnie czyjąś obecność, jeśli nie uznał za stosowne zwrócić się do tego kogoś, zmierzyć go pożerczem spojrzeniem i zalać spienionym potokiem obelżywego żargonu, który tryskał jak ze ścieku. Teraz szyper ograniczył się do kwaśnego mruknięcia; a pomocnik mechanika u szczytu mostkowych schodów, miętosząc w wilgotnych dłoniach brudny gałgan do obcierania potu, wylewał w dalszym ciągu swoje żale, nie onieśmielony bynajmniej. Tu na górze dobrze się marynarzom powodzi, i niech go kaczki zdepczą, jeśli wie poco ci marynarze są wogóle na świecie. Mechanicy nieboraki muszą tak czy owak statek w ruch wprawiać, a przecież mogliby sobie poradzić doskonale i z resztą roboty; „jeszcze i jak, do jasnej cholery“ —

— Stulić pysk — mruknął flegmatycznie Niemiec.

— Właśnie! Stulić pysk — a kiedy coś nie w porządku, to rzucacie się na nas, prawda? — ciągnął tamten. I żalił się dalej, że jest nawpół ugotowany; ale za to wszystko mu teraz jedno, ile grzechów ma na sumieniu, bo przez te ostatnie trzy dni przeszedł porządny kurs wstępny do tego miejsca, dokąd źli ludzie idą po śmierci — porządny bo porządny, żeby tak zdrów był — a w dodatku jeszcze ogłuchł jak pień od cholernego hałasu na dole. Ten podły kompound o dawnym typie skraplacza, to zgniłe pudło skrzypi tam i hałasuje jak stara winda pokładowa, albo i jeszcze gorzej; a z jakiego powodu on, mechanik, naraża życie każdej nocy i każdego bożego dnia — na gruchocie, który nadaje się tylko do rozbiórki i robi pięćdziesiąt siedem obrotów na minutę — tego wyjaśnić nie potrafi. Widać już się taki nieustraszony urodził, do jasnej cholery. Widać...

— Skądeś pan wódkę wytrzasnął? — spytał Niemiec, bardzo wściekły lecz nieruchomy w świetle padającem od szafki z busolą, jak niezgrabny wizerunek człowieka ulepiony z bryły tłuszczu. Jim wciąż się uśmiechał ku cofającemu się widnokręgowi; serce miał pełne szlachetnych porywów a w myśli rozważał swą wyższość.

— Wódkę! — powtórzył mechanik z uprzejmą pogardą; jego ciemna postać, chwiejąca się na nogach, czepiała się oburącz barjery. — Nie od pana, panie kapitanie. Pan jest na to o wiele za skąpy, do jasnej cholery. Porządny człowiek skonałby u pańskich nóg, a nie dostałby ani kropli sznapsa. Wy, Niemcy, nazywacie to oszczędnością. Oszczędzacie pensy, a wyrzucacie za okno tysiące. — Mechanik stał się sentymentalny. Szef dał mu wypić naparstek, tak około dziesiątej —

„jeden jedyny, żebym tak zdrów był!“ To zacny starowina, ale gdyby przyszło wyciągać z koi tego starego franta, nawet pięciotonowy żóraw nicby nie poradził. Niema gadania. A w każdym razie nie dzisiaj. Szef śpi słodko jak małe dzieciątko, z butelką wyborowej wódki pod poduszką.

Z grubego gardła kapitana wydarł się niski pomruk, wśród którego dźwięk słowa „Schwein“ polatywał to nisko, to wysoko, jak kapryśne piórko w nikłym powiewie. Kapitan i główny mechanik byli kamratami już od dobrych kilku lat; służyli u tego samego jowialnego, podstępnego starego Chińczyka, noszącego okulary w rogowej oprawie i czerwone jedwabne tasiemki wplecione w czcigodne, siwe włosy warkocza. Nadbrzeżna fama w ojczystym porcie *Patny* głosiła, że ci dwaj — w zakresie bezczelnych sprzeniewierzeń — „dokonali razem mniej więcej wszystkiego, co się tylko da pomyśleć“. Na oko źle byli dobrani; jeden miał tępe, złe oczy i opasłe ciało o miękkich linjach; drugi był chudy, cały we wklęsłościach — o głowie długiej i kościstej niby u starej szkapy, o zapadłych policzkach, zapadłych skroniach, i obojętnem, szklistem spojrzeniu zapadłych oczu. Wyrzucono go gdzieś na wschodniem wybrzeżu — w Kantonie, Szanghaju, a może i Jokohamie; prawdopodobnie nie zależało mu na tem, aby pamiętać dokładnie ową miejscowość ani też powód swej katastrofy. Ze względu na jego młodość wylano go poprostu z okrętu dwadzieścia lat temu lub więcej, a mogło się to dla niego o tyle gorzej skończyć, że wspominając ów epizod, nie uważał go właściwie za nieszczęście. Potem, gdy parowa żegluga rozszerzyła się na tych morzach i ludzie jego fachu z początku trafiali się rzadko, powiodło mu się w pewnem znaczeniu. Miał

zwyczaj skwapliwie informować obcych ponurym szeptem, że „zna te strony jak własną kieszeń“. Przy każdym ruchu tego człowieka zdawało się że kościotrup kołacze się w jego ubraniu; zamiast chodzić wałęsał się poprostu, a miał zwyczaj wałęsać się tak bezustanku po maszynowni naokoło luki świetlnej. Palił przytem bez przyjemności fałszowany tytoń w miedzianej czarce na końcu wiśniowego cybucha długości czterech stóp, z głupkowatą powagą myśliciela wywodzącego system filozoficzny z mglistych przebłysków jakiejś prawdy. Zazwyczaj daleki był od szafowania swym prywatnym zapasem alkoholu; ale owej nocy odstąpił od tej zasady, tak że jego pomocnik, głupkowaty syn Wappingu,[1] zaskoczony nieoczekiwanym poczęstunkiem i mocą alkoholu, stał się bardzo szczęśliwy, bezczelny i rozmowny. Wściekłość Niemca z Nowej Południowej Walji była niezmierna; sapał jak miech, a Jim, ubawiony nieco tą sceną, oczekiwał z niecierpliwością chwili, kiedy będzie się mógł znaleźć na dole; ostatnie dziesięć minut wachty były irytujące jak działo, które się ociąga z wystrzałem. Ci ludzie nie należeli do świata bohaterskich przygód, ale niezłe z nich były chłopy. Nawet sam szyper... Obrzydzenie zdjęło Jima na widok tej bryły dyszącego ciała, z której wydobywały się gardłowe pomruki — mętny strumyczek niechlujnych wyrażeń; lecz błoga ospałość zanadto nim owładnęła, aby się mógł zdobyć na czynną antypatję w stosunku do czegokolwiek. Poziom tych ludzi był mu obojętny; ocierał się o nich, ale nic go nie obchodzili; oddychali tem samem powietrzem, lecz on był zupełnie inny... Czy też szyper rzuci się na mecha-

[1] Wapping, przedmieście Londynu.

nika?... Życie jest łatwe, a Jim taki jest pewien siebie — zanadto pewien siebie, aby... Granica dzieląca jego rozmyślania od potajemnej drzemki na stojąco była cieńsza od nitki pajęczej.

Pomocnik mechanika, zmieniając temat z łatwością, jął rozpatrywać swą materjalną pozycję i swą odwagę.

— Kto jest pijany? Ja? Nie, nie, panie kapitanie! Nic podobnego. Powinien pan przecie już wiedzieć, że szef zanadto jest skąpy aby spoić nawet wróbla, do jasnej cholery. Nigdy w życiu nie byłem wstawiony; nie wynaleziono jeszcze trunku, któryby *mnie* spoił. Mogę pić płynny ogień, a pan będzie pił to wasze whisky — ja kieliszek, pan kieliszek — i pozostanę chłodny jak lód. Gdybym myślał że jestem pijany, skoczyłbym za burtę i byłby koniec ze mną, do jasnej cholery. Tak! Odrazu! A z mostku nie zejdę. Gdzież pan chce, żebym odetchnął świeżem powietrzem w taką noc jak dzisiejsza, co? Na pokładzie, wśród tego robactwa? To akurat do mnie podobne! Nie boję się pana — co mi pan może zrobić!

Niemiec podniósł ku niebu dwie ciężkie pięści i potrząsnął niemi zlekka bez słowa.

— Ja nie wiem co to strach — ciągnął mechanik z zapałem i szczerem przekonaniem. — Nie boję się całej tej psiamać roboty na tem zgniłem pudle, do jasnej cholery! A jaka to dla was gratka, że są na świecie tacy ludzie jak my, co nie drżą o swoją skórę — bo gdyby nie to, ładniebyście wyglądali — i pan, i ten tu stary gruchot, co ma arkusze jak z brunatnego papieru — zupełnie jak z brunatnego papieru, żebym tak zdrów był. Panu to dobrze — wyciąga pan ze statku moc pieniędzy na wszystkie sposoby; a ja — co ja dostaję? Parszywe sto pięćdziesiąt

dolarów na miesiąc — i to bez utrzymania. Pytam ja się pana z całym szacunkiem, uważa pan, z szacunkiem — ktoby nie kopnął takiej podłej roboty? Człowiek nadstawia karku, żebym tak zdrów był, oj nadstawia! Tylko że ja to jestem chłop nieustraszony...

Puścił barjerę i wykonywał szerokie gesty, jakgdyby demonstrując w powietrzu kształt i objętość swej odwagi; jego piskliwy głos sunął w przeciągłych skrzekach nad morzem. Chwilami robił krok naprzód lub się cofał dla lepszego uwydatnienia swych słów, i nagle rymnął głową w dół, jakby go palnął kto z tyłu. „Psiakrew!“ mruknął, padając; chwila ciszy nastała po jego gadaninie; i Jim, i szyper potknęli się jednocześnie; odzyskawszy równowagę, stali bardzo sztywno, patrząc wciąż w zdumieniu na niezamąconą gładkość morza. Potem spojrzeli w górę na gwiazdy.

Co to się stało? Maszyny dudniły i sapały bez przerwy. Czy ziemia zatrzymała się w biegu? Nie mogli nic zrozumieć; i nagle spokojne morze, niebo bez jednej chmurki wydały im się straszliwie niepewne w swym bezruchu, jakgdyby się ważyły nad krawędzią ziejącej zatraty. Maszynista zerwał się na równe nogi i opadł znów niewyraźnym kłębem; doszło stamtąd stłumione pytanie pełne głębokiej troski: „Cóż to znowu?“ Przebrzmiał zwolna słaby odgłos niby grzmotu, niezmiernie odległego grzmotu — czegoś co było słabsze od dźwięku i zaledwie mocniejsze od drgnienia — a statek zadrżał w odpowiedzi, jakby ów grzmot zawarczał gdzieś w głębi wody. Oczy Malajów u koła błysnęły ku białym, lecz ciemne ich ręce pozostały zamknięte na szprychach. Zdawało się że ścigły kadłub, sunący w swą drogę, podnosi się kolejno o parę cali

przez całą długość — jakby się stał giętki — poczem osiadł znów sztywno, wracając do pracy, i w dalszym ciągu pruł gładką powierzchnię morza. Drżenie kadłuba uspokoiło się a nikły odgłos grzmotu nagle ustał, jakby statek przebył wąski pas rozedrganej wody i dudniącego powietrza.

Rozdział IV

Mniej więcej w miesiąc później, gdy Jim odpowiadał na rzeczowe pytania, usiłując powiedzieć uczciwie prawdę o tem, co wówczas przeżył, wyraził się, mówiąc o statku:

— Przesunął się przez to coś tak łatwo, jak wąż pełznący przez kij.

Porównanie było dobre; pytania dotyczyły faktów, a działo się to podczas urzędowego śledztwa w sądzie pokoju pewnego wschodniego portu. Jim stał z rozpalonemi policzkami na podwyższeniu przeznaczonem dla świadków, w chłodnej, wysokiej sali; wielkie ramy z kilkoma punkami poruszały się łagodnie tam i z powrotem wysoko nad jego głową, a z dołu wiele oczu patrzyło na niego z ciemnych twarzy, z białych twarzy, z czerwonych twarzy, z twarzy uważnych, urzeczonych, jakgdyby wszyscy ci ludzie siedzący karnemi rzędami na wąskich ławkach byli spętani czarem jego głosu. A ten głos, bardzo donośny, rozlegał się zastraszająco w uszach Jima; był to jedyny głos słyszalny na świecie, bo okropnie wyraźne pytania, które wydzierały mu odpowiedzi, zdawały się kształtować same przez się w jego własnej piersi wśród udręki i bólu, a docierały do niego, dotkliwe i ciche, jak straszne pytania zadane przez sumienie. Na dworze jaśniało słońce — na sali sądowej był wiatr od wielkich punk, który przejmował dreszczem, był wstyd, który palił

ogniem, były uważne oczy, których wzrok przeszywał. Wygolona twarz sędziego patrzyła niewzruszenie na Jima, śmiertelnie blada między czerwonemi twarzami dwóch asesorów. Światło padało z góry, od szerokiego okna pod sufitem, na głowy i plecy trzech ludzi, którzy rysowali się z okrutną wyrazistością w półcieniu wielkiej sali sądowej, publiczność zaś składała się jakby ze spokojnych, zapatrzonych cieni. Żądali faktów. Faktów! Domagali się od niego faktów, jakby fakty mogły cośkolwiek wytłumaczyć!

— Kiedy pan doszedł do wniosku, żeście się zderzyli z czemś pływającem po wodzie, powiedzmy z nasiąkniętym wodą wrakiem, dostał pan rozkaz od kapitana, aby pójść na dziób i upewnić się, czy statek nie został uszkodzony. Czy pan uważał to za możliwe, sądząc po sile zderzenia? — zapytał asesor siedzący z lewej strony. Miał rzadką brodę w kształcie podkowy i wystające kości policzków; oparłszy oba łokcie na biurku, splótł kosmate ręce przed twarzą, patrząc w zamyśleniu na Jima niebieskiemi oczami; drugi zaś, tęgi mężczyzna o pogardliwem obliczu, oparty o tylną poręcz krzesła, wyciągnął lewą rękę i bębnił leciutko końcami palców po suszce. Pośrodku siedział w obszernym fotelu wyprostowany sędzia, przechyliwszy nieco głowę i skrzyżowawszy ramiona na piersiach; kilka kwiatów w szklanym wazonie stało obok jego kałamarza.

— Nie, nie spodziewałem się tego — rzekł Jim. — Powiedziano mi abym nikogo nie wołał i nie robił hałasu, żeby nie wzniecić paniki. Uznałem te ostrożności za słuszne. Wziąłem jedną z lamp, które wisiały pod płóciennym dachem i poszedłem na przód. Kiedy otworzyłem lukę dziobowego skrajnika, usłyszałem

plusk tam w środku. Wówczas spuściłem lampę o całą długość liny i zobaczyłem, że w dziobowym skrajniku woda sięga wyżej niż do połowy. Wtedy już wiedziałem, że musi tam być wielka dziura pod linją wodną. — Umilkł na chwilę.

— Tak — powiedział wielki asesor, uśmiechając się z rozmarzeniem do suszki; przebierał nieustannie palcami, dotykając bezgłośnie bibuły.

— Nie myślałem wówczas o niebezpieczeństwie. Może byłem trochę zaskoczony tem wszystkiem; stało się to tak spokojnie i tak bardzo nagle. Wiedziałem, że niema innej grodzi na statku prócz grodzi zderzeniowej, oddzielającej skrajnik dziobowy od wnętrza przedniego. Wróciłem, aby zawiadomić o tem kapitana. Natknąłem się na drugiego mechanika, który dźwigał się na nogi u stóp schodków mostkowych; wyglądał na ogłuszonego i powiedział mi że złamał chyba lewą rękę; schodząc ze schodków, obsunął się z górnego stopnia, podczas kiedy byłem na przodzie. Wykrzyknął:

— „Wielki Boże! Zgniła gródź ustąpi lada chwila i ten parszywy gruchot pójdzie z nami na dno jak kamień“.

— Odepchnął mię prawą ręką, i krzycząc, wbiegł przede mną po schodkach. Lewa ręka zwisała mu u boku. Szedłem tuż za nim i widziałem, jak kapitan rzucił się na niego i powalił go na plecy. Nie uderzył go jednak; stał nad nim pochylony i mówił coś z gniewem lecz zupełnie cicho. Pewnie pytał go, czemu u djabła nie pójdzie i nie zatrzyma maszyn, zamiast drzeć się na cały pokład. Słyszałem, jak powiedział: „Wstawaj pan! Biegnij! Leć!“ Klął przytem. Mechanik zsunął się po prawostronnych schodkach

i obiegł wkoło luki świetlnej ku zejściu do maszynowni, które znajdowało się po lewej stronie. Biegł i jęczał...

Jim mówił powoli; przypominał sobie wszystko w mig, z niezmierną wyrazistością; byłby mógł odtworzyć jak echo jęk mechanika dla lepszego poinformowania tych ludzi, którzy żądali faktów. Z początku bunt go ogarnął, ale potem doszedł do przekonania, że tylko drobiazgowa dokładność zeznań uwydatni prawdziwą grozę, kryjącą się za okropnemi pozorami. Fakty, których ci ludzie tak pożądali, były widoczne, dotykalne, dostępne dla zmysłów, i zajmowały swoje miejsce w przestrzeni i czasie; wydarzyły się na tysiąc czterystatonowym parowcu w przeciągu dwudziestu siedmiu minut wachty; składały się na całość mającą pewien charakter, subtelną wyrazistość, wygląd skomplikowany, który oko mogło zapamiętać — ale było tam coś jeszcze pozatem, coś niewidzialnego, jakiś władczy duch zagłady, tkwiący wewnątrz jak nieprzyjazna dusza w obmierzłem ciele. Jim starał się usilnie to wszystko wyjaśnić. Nie była to zwykła historja, każdy jej szczegół miał wagę pierwszorzędną, a Jim na szczęście pamiętał wszystko. Pragnął mówić o tem wszystkiem ze względu na prawdę, a może też i ze względu na siebie samego; i podczas gdy cedził rozważnie wyrazy, jego myśli poprostu latały i latały naokoło zacieśnionego kręgu faktów, co się wyłoniły, odcinając go od reszty ludzi; był jak stworzenie — uwięzione w ogrodzeniu z wysokich pali — które obija się wkrąg, oszalałe wśród nocy, usiłując znaleźć jakieś słabsze miejsce, szparę, nierówności, po których możnaby się wdrapać, jakiś otwór pozwalający się przecisnąć i uciec. Ta okropna ruchliwość umysłu sprawiała, że chwilami Jim ociągał się, mówiąc.

— Kapitan wciąż chodził po mostku tam i z powrotem; wydawał się dosyć spokojny, tylko potknął się kilkakrotnie; a raz, kiedym stał i mówił do niego, naszedł wprost na mnie, jakby był zupełnie ślepy. Nie odrzekł nic konkretnego na wszystko, co musiałem mu powiedzieć. Mruczał coś pod nosem; zrozumiałem z tego tylko parę słów; zdaje mi się że powiedział: „ta psiakrew para!“ i „przeklęta para!“ — coś o parze. Przyszło mi na myśl...

Jim zaczął odbiegać od tematu; rzeczowe pytanie przecięło mu mowę jak skurcz bólu. Poczuł się niezmiernie znużony i zniechęcony. Już, już miał to na końcu języka, a teraz, zatrzymany brutalnie, musiał odpowiedzieć tak lub nie. Odrzekł szczerze i krótko: „Tak“. Stał wyprostowany na podwyższeniu — wysoki, okazały, o jasnej twarzy i młodzieńczych, posępnych oczach — a dusza wiła się w nim poprostu. Odpowiedział jeszcze na jedno pytanie, takie bardzo rzeczowe i takie zbyteczne, poczem znów czekał. W ustach miał to suchość bez smaku, jakgdyby najadł się kurzu, to znowu słoność i gorycz, niby po napiciu się morskiej wody. Obtarł wilgotne czoło, przesunął językiem po spiekłych wargach i poczuł dreszcz przebiegający mu po grzbiecie. Tęgi asesor opuścił powieki i bębnił bezgłośnie palcami, obojętny i ponury; oczy drugiego zdawały się jaśnieć życzliwością z ponad splecionych rąk, spalonych przez słońce; sędzia pochylił się naprzód, jego blada twarz krążyła w pobliżu kwiatów, wreszcie osunął się bokiem na poręcz fotela i oparł skroń na ręku. Wiatr spływał od punk, wirując, na głowy, na ciemne twarze krajowców zawiniętych w obfite draperje, na Europejczyków w ubraniach z dymki, zdającej się przylegać jak

skóra; wszyscy biali siedzieli razem, bardzo zgrzani, trzymając na kolanach okrągłe hełmy korkowe; pod ścianami sunęli sądowi policjanci, krajowcy, opięci ciasno w długie białe kapoty; migali szybko tu i tam, biegając boso na palcach, przepasani czerwonemi szarfami, w czerwonych turbanach na głowie, bezszelestni jak cienie i czujni jak psy gończe.

Oczy Jima, błądzące po sali w przerwach między odpowiedziami, zatrzymały się na białym, który siedział oddzielnie; miał twarz zniszczoną i chmurną, a spokojne jego oczy patrzyły wprost na Jima, jasne i pełne zainteresowania. Jim odpowiadał właśnie na jakieś pytanie i miał ochotę krzyknąć: „Poco to wszystko! Poco!" Uderzał zlekka nogą o podjum, przygryzał wargi i patrzył w dal ponad głowami. Napotkał oczy białego. Spojrzenie utkwione w nim różniło się od urzeczonego wzroku innych widzów. Był to akt światłej woli. Jim zapomniał się tak dalece między dwoma pytaniami, że znalazł czas aby pomyśleć: „Ten człowiek patrzy na mnie, jakby widział kogoś czy coś za memi plecami". Jim spotkał go już kiedyś — może na ulicy. Był pewien, że nigdy do niego nie mówił. Od dni, od wielu dni nie mówił do nikogo, lecz rozprawiał pocichu, bez ładu i bez końca, z samym sobą, jak samotny więzień w celi lub wędrowiec zagubiony wśród dzikiej głuszy. Teraz odpowiadał na pytania — które nie miały żadnego znaczenia, choć dążyły do określonego celu — ale wątpił o tem, czy się jeszcze kiedykolwiek w życiu wypowie. Dźwięk jego własnych szczerych zeznań utwierdzał go w przekonaniu, powziętem po dłuższej rozwadze, że mowa jest już dlań zbyteczna. Miał wrażenie iż tamten człowiek zdaje sobie sprawę z beznadziejnych jego

trudności. Jim popatrzył na niego, poczem odwrócił się stanowczo, jakby w chwili ostatecznej rozłąki.

A później niejednokrotnie, w odległych częściach świata, Marlow przejawiał skłonność do wspominania Jima, do szczegółowych i głośnych rozpamiętywań na jego temat.

Może zdarzało się to po obiedzie, na werandzie udrapowanej w nieruchome listowie, uwieńczonej kwiatami, w głębokim mroku pocentkowanym przez ogniste końce cygar. Wydłużone kształty trzcinowych foteli gościły milczących słuchaczy. Niekiedy żarzący się, czerwony krążek poruszał się niespodzianie, oświetlając palce leniwej ręki i część twarzy pogrążonej w głębokim spokoju, albo rzucał karmazynowe błyski w dwoje zadumanych oczu pod częścią gładkiego czoła; a z pierwszem słowem, wypowiedzianem przez Marlowa, jego postać wyciągnięta spokojnie na leżaku zapadała w zupełny bezruch, jakby duch tego człowieka odlatywał wstecz w minione czasy i przemawiał jego wargami — z przeszłości.

Rozdział V

— O tak. Byłem obecny na sprawie — mówił Marlow — i do dziś dnia nie przestaję się dziwić, poco tam chodziłem. Gotów jestem uwierzyć, że każdy z nas ma swego anioła stróża, jeśli zgodzicie się ze mną, że każdy z nas ma również swego własnego djabła. Chcę abyście się do tego przyznali, ponieważ pod żadnym względem nie lubię się czuć wyjątkiem, a wiem że go mam — mówię o swoim djable. Nie widziałem go oczywiście — ale opieram się na dowodach rzeczowych. Krąży koło mnie z pewnością, a że jest złośliwy, robi mi kawały tego rodzaju. Zapytacie, jakiego rodzaju? No więc takie jak ta cała sprawa sądowa, jak ta historja z żółtym psem — powiedzcie tylko, do czego to podobne, aby pozwalano parszywemu malajskiemu kundlowi plątać się ludziom między nogami na werandzie sali sądowej, co? — A te podstępne, nieoczekiwane, iście szatańskie podejścia, dzięki którym natykam się na ludzi o różnych słabościach, narowach, ukrytych skazach, ludzi, którym mój widok rozwiązuje języki, pobudzając ich do piekielnych zwierzeń; jakgdybym doprawdy sam przed sobą nie miał się z czego zwierzać, jakgdybym — niestety — nie posiadał aż nadto poufnych wiadomości o samym sobie, wiadomości, które będą dręczyły moją duszę aż do końca wyznaczonych mi dni. I co ja uczyniłem, aby mię wyróżniano w ten sposób. Oświad-

czam, że tyle mam własnych spraw na głowie co i wszyscy ludzie, a pamięć taką samą jak każdy przeciętny pielgrzym na tym padole; widzicie zatem, że nie nadaję się szczególnie na studnię zwierzeń. Więc dlaczego mnie to spotyka? Nie mam pojęcia — chyba dlatego aby czas mijał prędko po obiedzie. Karolku, chłopcze kochany, twój obiad był znakomity, i z tego powodu ci oto panowie uważają spokojnego robra za zbyt burzliwe zajęcie. Wylegują się na twoich wygodnych fotelach i mówią sobie: „Ani myślę się fatygować. Niech tam ten Marlow gada.

— Więc mam gadać! Niech i tak będzie. A wcale łatwo mówić o panu Jimie po dobrej wyżerce, dwieście stóp nad poziomem morza, z pudełkiem porządnych cygar pod ręką, w rozkoszny wieczór pełen świeżości i gwiezdnego blasku, wieczór, któryby i najlepszego z nas zmusił do zapomnienia, że jesteśmy tu tylko z łaski, że musimy wynajdywać naszą drogę na rozstajach, bacząc czujnie na każdą cenną minutę i każdy krok nieodwołalny, wierząc że jednak w końcu zdołamy wybrnąć z tego przyzwoicie — ale niezbyt siebie pewni w gruncie rzeczy — i licząc djablo mało na pomoc tych, o których się ocieramy na prawo i lewo. Naturalnie że tu czy tam trafiają się ludzie, dla których całe życie jest jak poobiednia godzina spędzona z cygarem w ręku: łatwe, przyjemne, puste, może urozmaicone jakąś bajką o walce — bajką, którą się zapomina, nim się jej wysłuchało do końca — nim się jej wysłuchało — nawet jeśli się zdarzy, że bajka ma jakiś koniec.

— Nasze oczy spotkały się poraz pierwszy w czasie tego śledztwa. Trzeba wam wiedzieć że każdy, kto miał jakiekolwiek stosunki z morzem, był tam na sali,

ponieważ sprawa stała się głośna od chwili, gdy ów tajemniczy kablogram przyszedł z Adenu i rozpętał nam wszystkim języki. Nazywam go tajemniczym, choć zawierał nagi fakt — tak dalece nagi i brzydki, jakim fakt tylko być może. Całe wybrzeże o niczem innem nie mówiło. Z samego rana słyszałem już przez gródź, ubierając się w swojej kajucie, mego Parsa, Dubasza, paplącego o *Patnie* ze stewardem, który został dopuszczony łaskawie do wypicia w kredensie filiżanki herbaty. Ledwie się znalazłem na brzegu, spotykałem kogoś znajomego, a ten pytał odrazu: „Słyszał pan kiedy o czemś podobnem?“ i — zgodnie ze swą naturą — uśmiechał się z cynizmem, albo wyglądał posępnie, albo rzucał parę przekleństw. Ludzie zupełnie sobie obcy zaczepiali się poufale tylko poto, aby ulżyć sobie na duchu na ten temat; każdy bylejaki łazik z miasta dochrapywał się porządnej wypitki, rozprawiając o tej historji; słyszało się o niej w urzędzie portowym, u każdego dostawcy okrętowego, u agentów; była na ustach białych, krajowców, metysów, i — słowo daję — nawet półnagich wioślarzy siedzących w kucki na kamiennych schodach, któremi się szło w górę. Trochę się oburzano, żartów strojono coniemiara, i rozprawiano bez końca na temat, co też się mogło stać z tymi ludźmi — rozumiecie. Ciągnęło się to już parę tygodni lub więcej i zaczynała przeważać opinja, że to co było tajemnicze w tej sprawie, okaże się w końcu tragicznem, aż pewnego pięknego poranku, gdy stałem w cieniu obok schodów prowadzących do portowego urzędu, spostrzegłem czterech ludzi idących ku mnie bulwarem. Dziwiłem się przez chwilę, skąd się wzięła ta dziwna kompanja i nagle, że tak powiem, krzyknąłem w duchu: „Oto oni!“

— Byli to naturalnie oni — trzej o zwykłych wymiarach, a czwarty o tuszy przekraczającej znacznie objętość normalnego człowieka. Wsunąwszy porządne śniadanie, wysiedli właśnie przed chwilą z parowca linji Dale, dążącego na wschód, który to parowiec przybył mniej więcej w godzinę po wschodzie słońca. Omyłka była niemożliwa; poznałem jowjalnego szypra *Patny* od pierwszego spojrzenia: najtłuściejszy człowiek w całym przeklętym pasie podzwrotnikowym naokoluteńko naszej poczciwej starej ziemi. Z jakie dziewięć miesięcy przedtem zetknąłem się z nim w Samarangu. Parowiec jego brał ładunek w Roads, a on wymyślał na tyrańskie urządzenia cesarstwa niemieckiego i żłopał piwo od rana do wieczora, dzień po dniu, w pokoju za sklepem De Jongha; aż wreszcie De Jongh, który liczył mu guldena od flaszki bez zająknienia, wykiwał mnie na stronę i oświadczył poufnie, marszcząc swą małą, jakby skórzaną twarzyczkę:

— „Interes jest interesem, ale kiedy patrzę na tego człowieka, panie kapitanie, to aż mi się robi niedobrze. Tfu!“

— Patrzyłem z cienia na szypra *Patny*. Szedł spiesznie, wyprzedzając nieco tamtych, a promienie słońca biły w niego, uwydatniając jego objętość w sposób zastraszający. Przywodził na myśl tresowane słoniątko chodzące na tylnych nogach. A przytem był cudacznie jaskrawy — miał na sobie wybrudzoną pidżamę w jasnozielone i ciemnopomarańczowe pionowe pasy; gołe jego nogi były obute w parę obszarpanych słomianych chodaków, a na wielkiej głowie tkwił wyrzucony przez kogoś korkowy hełm, bardzo brudny i o dwa numery za mały, przywiązany sznurkiem na

samym czubku. Zrozumiecie że człowiek, który tak wygląda, nie ma ani krzty szczęścia, kiedy przyjdzie mu pożyczyć ubranie. No i dobrze. Zbliżał się z gorączkowym pośpiechem, nie patrząc ani w prawo ani w lewo, przeszedł o trzy stopy odemnie, i w niewinności swego serca popędził w górę po schodach do portowego urzędu, aby złożyć zeznanie, czy raport, czy jak wam się spodoba to nazwać.

— Podobno zwrócił się przedewszystkiem do głównego inspektora żeglugowego. Archie Ruthvel przyszedł właśnie do biura i — jak mi później opowiadał — zaczynał mozolny dzień od zmycia głowy głównemu swemu urzędnikowi. Może który z was znał Ruthvela — taki ugrzeczniony, mały portugalski metys o nędznej, wychudłej szyi, czyhający stale na to aby wyłudzić od szyprów jakieś wiktuały — kawał solonej wieprzowiny, worek sucharów, trochę kartofli i wogóle co się tylko dało. Pamiętam że podczas jednej podróży darowałem mu żywą owcę z reszty mych morskich zapasów; wcale nie dlatego abym czegoś od niego potrzebował — nie mógł nic dla mnie zrobić — ale jego dziecinna wiara w swoje święte prawo do ubocznych dochodów poprostu wzięła mię za serce. Była w nim tak silna, że stawała się niemal piękną. Jego rasa — a raczej obie rasy — i klimat w dodatku... No, ale co tam. Wiem, gdzie mam przyjaciela na śmierć i życie.

— Ruthvel mi mówił, że właśnie w trakcie przemawiania do słuchu swemu urzędnikowi — przypuszczam że na temat etyki obowiązującej stan urzędniczy — posłyszał za sobą jakiś stłumiony rozruch; odwrócił głowę i ujrzał — wedle jego własnych słów — coś okrągłego i olbrzymiego, co przypominało beczkę

z cukrem wagi tysiąca sześciuset funtów, zawiniętą w pasiastą flanelę i ustawioną na środku rozległego biura. Tak go to zaskoczyło, iż przez dłuższy czas nie zdawał sobie sprawy że to coś jest żywe, i siedział bez ruchu, rozmyślając w jakim celu i jakim sposobem ten przedmiot został przyniesiony przed jego biurko. W sklepionych drzwiach prowadzących do przedpokoju tłoczyli się ludzie obsługujący punki, zamiatacze, krajowi policjanci, bosman i załoga portowej szalupy parowej — a wszyscy wyciągali szyje i prawie włazili jeden drugiemu na plecy. Zupełnie jak podczas jakichś rozruchów. Tymczasem ów osobnik z wysiłkiem zdarł z głowy kapelusz i sunął w lekkich ukłonach ku Ruthvelowi; według własnych słów Ruthvela było to takie niepokojące, iż przez pewien czas słuchał przemowy zjawiska, nie mogąc wyrozumieć o co właściwie mu chodzi. Mówiło głosem ochrypłym, ponurym, lecz nieustraszonym i stopniowo Ruthvel zrozumiał, iż to jest dalszy ciąg wypadku *Patny*. Opowiadał mi, że w chwili gdy pojął kto przed nim stoi, zrobiło mu się dosłownie słabo — Archie taki jest wrażliwy i tak łatwo się wzrusza — ale opanował się i krzyknął:

— „Dość tego! Nie mogę pana słuchać. Musi pan iść do kapitana portu. Niema mowy abym mógł pana wysłuchać. Pan musi się zobaczyć z kapitanem Elliotem. Tędy, o, tędy“.

— Zerwał się z krzesła, obiegł długi kontuar, ciągnął szypra, popychał, a ów dał się prowadzić, zaskoczony lecz posłuszny na razie, i dopiero u wejścia do prywatnego gabinetu kapitana, jakby pod wpływem zwierzęcego instynktu, zaczął się opierać i prychać jak przestraszony byk.

— „No, no! Co to jest? Proszę mnie puścić! No, panie!“

— Archie otworzył gwałtownie drzwi bez pukania.

— „Dowódca *Patny*, panie kapitanie! — krzyknął. — Proszę, niech pan wejdzie“.

— Widział jak staruszek podniósł tak gwałtownie głowę z nad papierów, iż binokle spadły mu z nosa. Archie zatrzasnął drzwi i uciekł do biura, gdzie różne papiery czekały na jego podpis; ale — opowiadał mi — awantura, która wybuchła w tamtym pokoju, była tak straszna, że nie mógł się na tyle opamiętać aby sobie przypomnieć litery własnego nazwiska. Archie jest najwrażliwszy ze wszystkich inspektorów żeglugowych na obu półkulach. Oświadczył mi że miał wówczas wrażenie, jakby rzucił człowieka głodnemu lwu na pożarcie. Niema dwóch zdań, hałas był wielki. Słyszałem go zdołu i mam wszelkie dane po temu, że słyszano go wyraźnie poprzez całą Esplanadę aż do pawilonu dla orkiestry. Stary dziadzio Elliot posiadał wielki zasób słów i umiał krzyczeć, a wszystko mu było jedno na kogo. Byłby krzyczał i na samego wicekróla. Mawiał do mnie nieraz w te słowa:

— „Wyższego stanowiska już nie dostanę; emeryturę mam zapewnioną. Odłożyłem sobie tam z parę funtów, i jeśli się moje poglądy na obowiązek komu nie podobają, każdej chwili mogę wrócić do kraju. Jestem starym człowiekiem i zawsze mówiłem otwarcie, co myślę. Teraz chodzi mi tylko o to, żeby przed śmiercią wydać zamąż moje dziewczęta“.

— Miał na tym punkcie lekkiego bzika. Jego trzy córki były strasznie miłe, choć zdumiewająco przypominały ojca, a w te ranki, kiedy stary Elliot budził się z ponurem przeczuciem co do ich matry-

monialnych widoków, całe biuro wyczytywało to z jego oczu i trzęsło się, ponieważ, jak mówiono, kapitan z pewnością pożre kogoś na śniadanie. Jednak owego ranka nie pożarł renegata, ale — jeśli mi wolno doprowadzić metaforę do końca — zżuł go na miazgę, że tak powiem, i — ach! wypluł go.

— Tedy w bardzo krótkim czasie ujrzałem znów potworną postać szypra, który zbiegł po stopniach w pośpiechu i zatrzymał się u zewnętrznych schodów. Przystanął blisko mnie i zamyślił się głęboko; jego wielkie, purpurowe policzki drgały. Gryzł wielki palec, a po chwili zauważył mię i zmierzył spodełba wściekłem spojrzeniem. Trzej inni, którzy z nim wylądowali, tworzyli małą gromadkę czekającą opodal. Był wśród nich wybladły, niepozorny człowieczek z ręką na temblaku i długi osobnik w granatowym flanelowym kaftanie, suchy jak wiór i nie grubszy niż kij od szczotki; miał obwisłe, siwe wąsy i rozglądał się z niefrasobliwą głupotą. Trzecim był prosto się trzymający, barczysty młodzieniec z rękami w kieszeniach, zwrócony tyłem do tamtych dwóch, którzy zdawali się prowadzić jakąś poważną rozmowę. Patrzył poprzez pustą Esplanadę. Zniszczony, okryty pyłem powozik z żaluzjami zatrzymał się naprzeciw tej grupy, i woźnica, położywszy prawą nogę na kolanie, oddał się krytycznemu przeglądowi swych palców. Młody człowiek stał nieruchomo, nie poruszając nawet głową i patrzył poprostu w blask słońca. Oto jak poraz pierwszy ujrzałem Jima. Wyglądał tak obojętnie i nieprzystępnie, jak to się zdarza tylko u młodych. Stał mocno na nogach, harmonijnie zbudowany, z twarzą pełną szczerości, i robił wrażenie najbardziej obiecującego chłopca pod słońcem; a gdy tak na niego patrzyłem, wiedząc o wszystkiem

co on wiedział i jeszcze o paru rzeczach pozatem, zdjął mię gniew, jakbym go przyłapał na wyłudzaniu czegoś ode mnie pod fałszywym pozorem. Nie powinien był tak wyglądać. Pomyślałem sobie w duchu — no, jeśli człowiek tego rodzaju może na psy zjechać... i zdawało mi się, że ze zmartwienia cisnę na ziemię kapelusz i podepczę go — widziałem raz jak to zrobił szyper włoskiego barku, ponieważ jego cymbał pomocnik poplątał coś z kotwicami, gdy w biegu cumował się do boi kotwicznej na redzie pełnej statków. Zapytywałem siebie, patrząc na pozorną swobodę tego chłopca — czy on jest taki ograniczony, czy też zatwardziały? Wydawało się iż za chwilę zacznie pogwizdywać. A zważcie, że zachowanie tamtych dwóch nic a nic mnie nie obchodziło. Ich osoby pasowały jakoś do historji, która była na wszystkich językach i miała się stać przedmiotem urzędowego śledztwa.

— „Ten stary bzik, ten łotr tam na górze nazwał mnie psem“ — rzekł kapitan *Patny*.

— Nie zdaję sobie sprawy czy mię poznał — myślę że raczej tak, ale w każdym razie nasze spojrzenia się spotkały. Wytrzeszczył na mnie oczy, a ja się uśmiechnąłem: pies był najłagodniejszym z epitetów, które dosięgły mnie przez otwarte okno.

— „Doprawdy?“ — rzekłem, bo dziwnie jakoś język mię świerzbił. Szyper kiwnął głową, przygryzł znów wielki palec, mruknął jakieś przekleństwo; wreszcie podniósł głowę i rzekł, patrząc na mnie z posępną i zażartą bezczelnością:

— „Co mi tam! Pacyfik jest wielki, mój przyjacielu. Choćbyście pękli, nic mi nie zrobicie, przeklęte Angliki; wiem dobrze, gdzie się znajdzie wbród miejsca dla takiego jak ja człowieka; mam dużo znajomych

w Apia, w Honolulu, w ...“ — Urwał i namyślał a ja mogłem sobie wyobrazić bez trudu „znajomych“, z którymi przestawał w owych miejscowościach. Nie będę tail, że i ja także przestawałem z wielu ludźmi tej kategorji. Bywają czasy, kiedy człowiek musi postępować, jakby życie równie było słodkie w każdem towarzystwie. Przeżywałem takie czasy, i co więcej nie myślę teraz smętnych min nad tem stroić, gdyż niejeden człowiek z owego złego towarzystwa — wskutek braku moralnego... moralnego... jakby to powiedzieć? nastawienia, lub wskutek innej równie głębokiej przyczyny — był dwakroć ciekawszy i stokroć zabawniejszy niż zwykły szacowny kupiec-szachraj, którego zapraszacie do stołu bez żadnej istotnej potrzeby — z przyzwyczajenia, z tchórzostwa, z dobroduszności, z tysiąca przyczyn obłudnych i niewłaściwych.

— „Wszyscyście dranie, wy Anglicy — ciągnął mój patrjotyczny Australijczyk ze Szczecina czy Flensborga. Nie pamiętam już teraz, który z porządnych małych portów bałtyckich shańbił się wyprodukowaniem tego cennego okazu. — Jakiem prawem pan na mnie krzyczy? Co? Odpowiadaj pan! Nie jesteś pan lepszy od innych, a ten stary zbzikowany drań urządził mi wściekłą awanturę. — Opasłe cielsko szypra drżało na nogach podobnych do dwóch słupów; drżało od stóp aż do głowy. — To u was Anglików w zwyczaju, wyprawianie piekielnych awantur o lada głupstwo, dlatego że się człowiek nie urodził w waszym psiakrew kraju. Odbierze mi świadectwo. A odbieraj sobie! Nie potrzebuję żadnego świadectwa. Taki człowiek jak ja nie potrzebuje waszych verfluchte świadectw. Pluję na nie. — Splunął. — Przyjmę poddaństwo amerykańskie — krzyczał, pieniąc się z wściekłości i suwając

nogami, jakby je chciał wyswobodzić z jakiegoś niewidzialnego, tajemniczego uchwytu, który nie pozwalał mu ruszyć z miejsca. Taki był rozgorączkowany, że z jego okrągłej głowy dymiło się literalnie. Przyczyna, która mnie nie pozwalała odejść, nie była wcale tajemnicza: ciekawość jest najbardziej zrozumiałem z uczuć, i ona to właśnie trzymała mię na miejscu; pragnąłem się przekonać, jakie wrażenie wywrze wiadomość o wszystkiem co zaszło na tym chłopcu, który z rękami w kieszeniach stał tyłem do trotuaru, spoglądając ponad trawniki Esplanady ku żółtemu portykowi Malabarskiego hotelu, i miał minę człowieka wybierającego się na spacer, z chwilą gdy jego kolega będzie gotów. Tak właśnie wyglądał, i to było wstrętne. Czekałem, chcąc zobaczyć jak go owa wiadomość przytłoczy, zmiesza, przebije nawskroś; sądziłem że będzie się wił jak chrząszcz nadziany na szpilkę — i bałem się to zobaczyć — nie wiem czy mię rozumiecie. Nic okropniejszego jak śledzić człowieka, który został przyłapany nie na zbrodni, lecz na gorszej niż zbrodnia słabości. Najpospolitszy rodzaj hartu chroni nas od stania się zbrodniarzami w prawnem znaczeniu tego wyrazu; ale żaden człowiek nie jest bezpieczny przed jakąś słabością nieznaną — choć może podejrzewaną, jak w niektórych częściach świata podejrzewamy, że każdy gąszcz kryje jadowitego węża; przed słabością, która się może przyczaić w ukryciu, czy ją śledzimy czy nie, którą się odgania modlitwą albo pogardza się nią po męsku, którą się tłumi, lub też nie wie się o niej przez więcej niż pół życia. Człowiek daje się wciągnąć znienacka w sprawy, za które mu wymyślają, albo w sprawy trącące szubienicą, a jednak duch jego może przetrwać to wszystko — przetrwać ogólne potępienie,

przetrwać i stryczek — zaiste! Ale zdarzają się rzeczy — wyglądające czasem dość błaho — które gubią zupełnie niektórych ludzi. Obserwowałem tego młodego chłopca. Podobał mi się z powierzchowności; znałem ludzi tak wyglądających; pochodził z dobrego gniazda — był jednym z nas. Przedstawiał tu cały pokrewny mu rodzaj, kobiet i mężczyzn ani szczególnie zdolnych, ani bardzo zajmujących — ludzi, których istnienie opiera się poprostu na uczciwej wierze i instynktownej odwadze. Nie chodzi mi o odwagę wojskową, ani odwagę cywilną, ani żaden specjalny rodzaj odwagi. Mam na myśli tę wrodzoną zdolność do spojrzenia pokusie prosto w oczy — gotowość bynajmniej nie intelektualną lecz pozbawioną pozy — odporność wyzbytą z wdzięku, jeśli chcecie, ale bezcenną — instynktowną i błogosławioną nieugiętość wobec zewnętrznych i wewnętrznych trwóg, wobec potęgi przyrody, wobec kuszącego ludzkiego zepsucia — nieugiętość popartą przez wiarę niedostępną dla siły faktów, dla zarazy przykładu, dla ponęt idei. Precz z ideami! To są włóczęgi, łaziki dobijające się do tylnych drzwi duszy, aby zabierać po cząstce naszej istoty, aby unosić okruchy tej wiary w parę prostych pojęć, których człowiek musi się trzymać, jeśli chce żyć przyzwoicie i mieć lekką śmierć.

— Bezpośrednio nie ma to nic wspólnego z Jimem; ale jego wygląd był taki typowy dla ludzi z tego zacnego, ograniczonego gatunku, który lubimy czuć koło siebie na prawo i lewo, gatunku nie spaczonego przez wybryki inteligencji i przewrotność... przewrotność, powiedzmy, nerwów. Był to rodzaj człowieka, któremuby się oddało — na podstawie jego wyglądu — statek w opiekę, mówiąc dosłownie i w przenośni. Twierdzę że byłbym to zrobił, a powinienem się przecież

nać na tem. Czyż swego czasu nie wychowałem sporo chłopców, aby służyli brytyjskiej fladze, aby uprawiali ten zawód, którego cała tajemnica da się zawrzeć w jednem krótkiem zdaniu — a jednak trzeba ją wbijać dzień po dniu w młode głowy, póki się nie stanie składową częścią każdej ich myśli na jawie — póki nie zawładnie każdym ich młodym snem! Morze było dla mnie łaskawe, ale kiedy sobie przypomnę wszystkich tych chłopców, co przeszli przez moje ręce — niektórzy z nich są już dorośli, inni utopili się w morzu, a wszyscy byli dobrym materjałem na marynarzy; kiedy ich sobie przypomnę, nie sądzę wcale aby moja praca była jałowa. Gdybym jutro miał się znaleźć w kraju, założę się, że przed upływem dwóch dni jakiś opalony młody pierwszy oficer przyłapałby mię u wejścia do któregoś z doków i zapytałby czystym, głębokim głosem: „Czy pan mnie pamięta, panie kapitanie? Przecież jestem mały ten a ten. Taki a taki okręt. To była pierwsza moja podróż“. A mnieby stanął w pamięci onieśmielony brzdąc, nie wyższy od poręczy tego krzesła, odprowadzany przez matkę a często i dorosłą siostrę; widzę jak stoją obie na bulwarze, bardzo spokojne lecz zbyt wzruszone by powiewać chustką ku statkowi, co sunie powoli między dwoma występami mola; lub może przypomniałbym sobie jakiego zacnego ojca w średnich latach, który przybył wcześnie aby odprowadzić swego chłopca, i został na pokładzie przez cały ranek, okazując niezmierne zainteresowanie wyciągiem kotwicznym; został zadługo — i musi gramolić się na brzeg w ostatniej chwili, kiedy niema już czasu się żegnać. Pilot na rufie woła do mnie, przeciągając śpiewnie:

— „Panie pomocniku, niech no pan przytrzyma

linę na chwilę. Tu jest jeszcze jeden pan co chce wysiąść... No dalej, panie! O mało co nie powieźliśmy pana do Talcahuno! Teraz niech pan wysiada; powoli... Dobrze. Puszczajcie tam linę na przodzie".

— Holowniki dymiące jak otchłań potępienia pochwyciły nas i młócą starą rzekę, przyprawiając ją o wściekłość; pan na brzegu otrzepuje sobie z kurzu kolana — dobrotliwy steward rzuca za nim jego parasol. Wszystko jak się należy. Ów pan złożył swoją ofiarę morzu, a teraz pójdzie do domu, udając że wcale o niej nie myśli, zaś mała, dobrowolna ofiara bardzo będzie cierpieć na morską chorobę nim ranek nadejdzie. Zczasem, kiedy ofiara nauczy się wszystkich małych sekretów zawodu i jednej jego wielkiej tajemnicy, będzie zdatna do życia lub śmierci na morzu, stosownie do jego wyroku; a człowiek, co przykładał rękę do tej szaleńczej gry, w której morze zawsze jest górą, poczuje z przyjemnością na plecach uderzenie młodej, ciężkiej ręki i ucieszy się wesołemu głosowi morskiego szczeniaka: „Czy pan mnie pamięta, panie kapitanie? Mały ten a ten".

— Mówię wam — to daje zadowolenie; świadczy to, że przynajmniej raz w życiu człowiek wykonał robotę jak się należy. Trzepnięto mnie tak nieraz w plecy; wzdrygałem się, bo uderzenie było silne, a potem cieszyłem się przez cały dzień i, kładąc się do łóżka, czułem się mniej samotny na świecie dzięki temu serdecznemu trzepnięciu. Jabym nie pamiętał tych smyków! Mówię wam że chyba się znam na tem, jak człowiek powinien wyglądać. Byłbym powierzył temu młodzikowi statek na podstawie jednego spojrzenia, zasnąłbym jaknajspokojniej i — jak mi Bóg miły — toby nie było bezpieczne. Całe głębie zgrozy są w tej

myśli. Wyglądał pełnowartościowo jak nowiuteńki funt szterling, a jednak była szatańska domieszka w tym jego metalu. Jak dużo jej było? Tylko odrobina, kropla czegoś niezwykłego i przeklętego — najdrobniejsza kropelka! Zadałem sobie jednak pytanie — gdy tak stał z tą niedbałą miną — czy nie jest przypadkiem ulany z bardzo pospolitego metalu?

— Nie mogłem w to uwierzyć. Mówię wam, pragnąłem ujrzeć jak będzie się wił — pragnąłem tego dla honoru mego zawodu. Tamci dwaj faceci spostrzegli swego kapitana i ruszyli zwolna w naszą stronę. Rozmawiali, idąc ku nam powoli, i tak zupełnie nie brałem ich pod uwagę, jakby się ich wcale gołem okiem nie dostrzegało. Szczerzyli zęby do siebie; opowiadali sobie pewnie jakieś kawały, o ile mogłem sądzić. Widziałem że jeden z nich ma złamaną rękę; drugi zaś — wysokie indywiduum o siwych wąsach, główny mechanik — była to z wielu względów wcale znana osobistość. Jeden z drugim — nicość zupełna. Zbliżali się. Szyper patrzył martwo w jakiś punkt między swemi stopami; zdawało się że spuchł do nienaturalnych rozmiarów wskutek jakiejś okropnej choroby lub tajemniczego działania nieznanej trucizny. Podniósł głowę, ujrzał przed sobą tych dwóch czekających na niego, otworzył usta z dziwacznym, szyderczym grymasem na rozdętej twarzy — pewnie aby coś im powiedzieć — gdy wtem uderzyła go widać jakaś myśl. Jego grube, prawie fjoletowe wargi zamknęły się bez dźwięku; ruszył stanowczym krokiem ku powozikowi, kołysząc się jak kaczka, i zaczął szarpać klamkę od drzwiczek z tak brutalną niecierpliwością, iż się spodziewałem że cała buda przewróci się razem z kucykiem. Woźnica, wyrwany z rozmyślań o swej podeszwie, ujawnił natychmiast

wszystkie oznaki potężnego strachu i trzymał się kozła oburącz, patrząc na pękate cielsko torujące sobie drogę do jego wehikułu. Mały powozik trząsł się i kiwał hałaśliwie, a pochylony, szkarłatny kark szypra, objętość wyprężonych ud, olbrzymie, falujące, brudne plecy w pasy zielone i pomarańczowe, cały wysiłek tej jaskrawej i niechlujnej bryły mącił moje poczucie rzeczywistości, wywierając śmieszne i groźne wrażenie, niby groteskowe, wyraźne majaki, które przerażają i fascynują nas w gorączce. Oczekiwałem niemal że dach się rozpadnie na dwoje, że małe pudło na kołach pęknie nakształt dojrzałego strąka bawełny — lecz tylko opadło niżej z brzękiem spłaszczonych sprężyn i nagle jedna z żaluzyj opuściła się, grzechocząc. Ukazały się znów ramiona wciśnięte w mały otwór i wychylona głowa szypra, rozdęta i podskakująca jak balon na uwięzi, spocona, wściekła, bełkocząca. Sięgał ku woźnicy, wywijając wściekle opasłą pięścią, czerwoną jak kawał surowego mięsa. Ryknął na niego żeby ruszał, żeby jechał. Dokąd? Może na sam środek Pacyfiku. Woźnica zaciął kuca, który parsknął, wspiął się na tylne kopyta i puścił z miejsca galopem. Dokąd? Do Apia? Do Honolulu? Dowódca Patny miał przed sobą sześć tysięcy mil pasa podzwrotnikowego, gdzie się mógł rozbijać dowoli, a dokładnego adresu nie słyszałem. Parskający kuc porwał go w „Ewigkeit“ w mgnieniu oka i nigdy go już nie zobaczyłem; co więcej, nie znam nikogo, ktoby widział go kiedykolwiek od chwili gdy znikł mi z oczu, siedząc w małym, roztrzęsionym powoziku, który zakręcił gwałtownie na rogu ulicy w białym tumanie pyłu. Odjechał, znikł, przepadł, uszedł; i w jakiś idjotyczny sposób wyglądało to jakby zabrał z sobą i ten powozik, bo nigdy już więcej nie zobaczyłem

gniadego kuca o rozciętem uchu i niemrawego woźnicy, Tamila o chorej nodze. Pacyfik jest wielki zaiste; nie wiem czy szyper znalazł na nim miejsce dla rozwijania swych talentów, pozostaje jednak faktem, że pofrunął w przestrzeń jak czarownica na miotle. Mały człowieczek z ręką na temblaku zaczął biec za powozikiem, becząc: „Kapitanie! Hej, kapitanie! He-e-ej“! ale po kilku krokach zatrzymał się, zwiesił głowę i ruszył wolno z powrotem. Na ostry zgrzyt kół młody człowiek obrócił się na pięcie. Nie zrobił żadnego innego ruchu, gestu, czy znaku i pozostał tak, zwrócony w nowym kierunku, choć powozik już zniknął.

— Wszystko to zajęło znacznie mniej czasu niż moje opowiadanie, ponieważ usiłuję wytłumaczyć wam powolnemi słowami błyskawiczne wrażenia wzrokowe. W następnej chwili zjawił się na scenie urzędnik metys; został wysłany przez Archiego aby się trochę zająć biednymi rozbitkami z *Patny*. Wybiegł skwapliwie z gołą głową, patrząc w prawo i lewo, bardzo swą misją przejęty. Nie miała mu się powieść, jeśli chodzi o główną osobę, lecz zbliżył się do pozostałych z hałaśliwą arogancją i wplątał się prawie natychmiast w gwałtowną kłótnię z facetem, który miał rękę na temblaku i który, jak się okazało, pożądał namiętnie awantury. Ów facet oświadczył, że ani myśli pozwolić, aby mu rozkazywano — jeszcze czego, do jasnej cholery! Nie zastraszą go łgarstwa takiego zarozumiałego mieszańca, gryzipiórka. Nie pozwoli sobą pomiatać „chłystkowi bez znaczenia“, nawet jeśli tamta historja jest rzeczywiście prawdziwa. Wrzasnął że chce, że pragnie, że musi położyć się do łóżka. Słyszałem jak wrzeszczał:

— „Gdyby pan nie był zatraconym Portugal-

czykiem, wiedziałby pan że moje miejsce jest tylko w szpitalu“.

— Podsunął pięść zdrowej ręki pod nos tamtego; tłum zaczął się zbierać; zmieszany metys, usiłując zachować minę pełną godności, tłumaczył jak mógł swoje zamiary. Odszedłem, nie doczekawszy się końca.

— Tak się jednak złożyło, że w tym samym czasie jeden z moich ludzi leżał w szpitalu, i gdy w wilję rozpoczęcia sprawy poszedłem go odwiedzić, zobaczyłem w oddziale dla białych owego człowieczka, który miotał się na łóżku, z ręką w łupkach, zupełnie nieprzytomny. Ku memu wielkiemu zdumieniu, towarzysz jego, długi osobnik o białych, obwisłych wąsach, znalazł się tam również. Pamiętałem żem go widział uchodzącego chyłkiem w czasie kłótni; kroczył z powagą, suwając nogami i starał się ze wszystkich sił nie dać poznać po sobie iż się boi. Port był mu widać znany; w swem strapieniu potrafił odrazu wytropić szynk Marianiego z bilardowym pokojem koło bazaru. Ten nędzny włóczęga, Mariani, który znał mechanika i schlebiał jego nałogom już w paru innych miejscowościach, padł mu do nóg, że się tak wyrażę, i zamknął go z baterją butelek na piętrze swojej nędznej lepianki. Okazało się iż mechanik miał jakieś niejasne obawy co do swego bezpieczeństwa i chciał się ukryć. Mariani mówił mi w długi czas później (gdy przyszedł raz na pokład wydębić na moim stewardzie zapłatę za jakieś cygara), że bez żadnego wahania byłby zrobił dla mechanika i więcej, z wdzięczności za jakąś podejrzaną usługę, którą mu tamten wyświadczył przed wielu laty — o ile zrozumiałem. Mariani palnął się dwakroć w muskularną pierś i potoczył olbrzymiemi, czarno-białemi oczami błyszczącemi od łez: „Antonio nie zapomina —

Antonio nigdy nie zapomina!" Jakiego właściwie rodzaju było to niemoralne zobowiązanie, nie dowiedziałem się nigdy, lecz tak czy owak Mariani ułatwił mechanikowi, zdjętemu warjackim strachem, ukrycie się w zamkniętym na klucz pokoju — z krzesłem, stołem, materacem leżącym w kącie i warstwą opadłego tynku na podłodze — gdzie mógł się pokrzepiać wszystkiemi możliwemi trunkami, któremi Mariani rozporządzał. Trwało to aż do wieczora trzeciego dnia, kiedy mechanik, krzycząc w niebogłosy, musiał szukać ratunku w ucieczce przed legjonami stonóg. Wywalił drzwi, rzucił się na łeb na szyję ze zmurszałych, wąskich schodków, wylądował na brzuchu Marianiego, pozbierał swoje gnaty i wypadł na ulicę jak strzała. Nazajutrz wczesnym rankiem policja podniosła go z kupy śmieci. Wyobrażał sobie z początku, że prowadzą go na szubienicę i walczył jak lew o wolność; ale gdy zasiadłem przy jego łóżku, leżał już od dwóch dni bardzo cicho. Jego chuda, opalona na bronz twarz z białemi wąsami wyglądała na poduszce pięknie i spokojnie, jak twarz wycieńczonego przez wojnę żołnierza o dziecięcej duszy; lecz w bezbarwnym połysku spojrzenia czyhał cień upiornego niepokoju, podobny do zgrozy wcielonej w jakąś nieokreśloną postać, czającą się pocichu za taflą szkła. Był taki spokojny, że oddałem się dziwacznej nadziei, iż usłyszę od niego jakieś komentarze do rozgłośnej historji z Patną. Dlaczego pragnąłem się grzebać w opłakanych szczegółach wypadku, który właściwie obchodził mię tylko jako członka nieznanej ludzkiej społeczności, zjednoczonej przez wspólny niesławny znój i wierność dla pewnej modły postępowania — tego wytłumaczyć nie umiem. Możecie to nazwać jakąś niezdrową ciekawością, jeśli się

wam podoba; lecz mam wyraźne wrażenie, że chciałem do czegoś dotrzeć. Może tkwiła we mnie podświadoma nadzieja, że znajdę to coś, tę jakąś głęboką, odkupiającą przyczynę, miłosierne wyjaśnienie, cień przekonywającej wymówki. Widzę teraz dokładnie że pragnąłem niemożliwości, że usiłowałem odżegnać coś, co jest najuporczywszym z upiorów stworzonych przez człowieka: jątrzące zwątpienie, które się podnosi jak mgła, a mrozi bardziej niż pewność śmierci, ukryte i toczące niby robak — zwątpienie o władającej nami sile, wcielonej w ustalony wzór postępowania. Jest to najniebezpieczniejsza z przeszkód, o które człowiek może się potknąć; to ona właśnie wywołuje wrzaskliwy popłoch i dobroduszne, spokojne podłostki; jest to widmo prawdziwej klęski. Czyżbym wierzył wówczas w cud? i dlaczego pragnąłem go tak gorąco? Czy ze względu na siebie chciałem znaleźć jakiś cień wymówki dla tego młodzika, którego nigdy przedtem nie widziałem? Sam wygląd Jima sprawił, że rozmyślając o jego załamaniu się, zainteresowałem się nim głęboko, że jego postępek był dla mnie tajemnicą pełną grozy — jakby przebłyskiem zgubnego losu czyhającego na nas wszystkich, których młodość była ongi podobna do jego młodości. Obawiam się, że na tem właśnie polegał tajny powód mego wścibstwa. Oczekiwałem zaprawdę cudu. Jedyna rzecz, która teraz — z odległości czasu — uderza mię jako zakrawająca na cud, to wielkość mojej głupoty. Miałem doprawdy nadzieję, że uzyskam od tego pognębionego, dwuznacznego osobnika egzorcyzm przeciwko duchowi zwątpienia. A przytem musiałem być doprawdy szalony bo, nie tracąc czasu — po kilku uprzejmych i przyjaznych zdaniach, na które maszynista odpowiedział z gotowością osłabłym głosem, jak

przystoi dobrze wychowanemu choremu — wyjechałem ze słowem *Patna*, zawiniętem w delikatne pytanie, niby w puch jedwabnej przędzy. Moja delikatność płynęła z egoizmu — nie chciałem chorego spłoszyć; pieczołowitość nie miała z tem nic do czynienia, anim się na niego wściekał, anim go żałował; jego przeżycia były bez znaczenia, jego zbawienie nicby mnie nie obeszło. Postarzał się wśród drobnych podłostek i nie mógł już wzbudzać ani wstrętu, ani litości. Powtórzył pytająco: „*Patna?*" zdawał się wytężać przez chwilę pamięć i rzekł: „Aha. Znam tu wszystko jak własną kieszeń. Widziałem jak tonęła". Chciałem dać ujście swemu oburzeniu wobec tego idjotycznego kłamstwa, gdy dodał gładko: „Pełna była gadów".

— To mię zatrzymało. Co on chciał przez to powiedzieć? Miałem wrażenie, że niespokojny upiór strachu znieruchomiał za jego szklistym wzrokiem i spojrzał tęsknie mi w oczy.

— „Wyrzucili mię z koi podczas nocnej wachty, żebym widział jak tonie" — dodał z namysłem.

— Głos jego zabrzmiał nagle z niepokojącą siłą. Zawstydziłem się swojej głupoty. W perspektywie sali nie dostrzegało się śnieżnoskrzydłego kornetu pielęgniarki, lecz daleko, pośród długiego rzędu pustych żelaznych łóżek, jakiś człowiek, który uległ wypadkowi na statku w Roads, dźwignął się na posłaniu opalony i chudy, z czołem przewiązanem bandażem naukos. Nagle mój interesujący chory wyciągnął gwałtownie ramię cienkie jak u ośmiornicy i wpił mi się palcami w łokieć:

— „Tylko moje oczy mogły to dostrzec. Jestem znany ze swego wzroku. Pewnie dlatego mnie zawołali. Żaden z nich nie miał dość bystrych oczu aby

dojrzeć jak *Patna* tonie, ale przekonali się jednak że zatonęła i krzyknęli wszyscy razem — o tak"... Wycie podobne do wilczego przejęło mię do szpiku kości.

— „Ach, niechże pan zatka mu gębę" — irytował się płaczliwie człowiek, który uległ wypadkowi.

— „Zdaje się że pan mi nie wierzy — ciągnął tamten z niesłychanie zarozumiałą miną. — Mówię panu, niema takich oczu jak moje po tej stronie zatoki Perskiej. Niech pan zajrzy pod łóżko".

— Naturalnie schyliłem się natychmiast. Pytam, ktoby tego nie zrobił?

— „Co pan tam widzi?" — rzekł.

— „Nic" — odpowiedziałem i zawstydziłem się strasznie samego siebie. Spojrzał na mnie badawczo z dziką i miażdżącą pogardą.

— „Otóż to właśnie — powiedział — ale gdybym ja tam spojrzał, tobym zobaczył — mówię panu, niema takich oczu jak moje. — Wpił mi się znowu w ramię i ciągnął mię ku sobie, szukając ulgi w poufnem zwierzeniu: — Miljony różowych ropuch. Niema takich oczu jak moje. Miljony różowych ropuch. To jest gorsze niż widok tonącego statku. Mógłbym cały dzień patrzeć na tonące statki i palić fajkę. Dlaczego mi nie oddadzą mojej fajki? Paliłbym sobie, pilnując tych ropuch. Statek był pełen ropuch. Pan rozumie, ich trzeba pilnować! — Mrugnął jowialnie. Pot kapał na niego z mojej głowy, dymkowa kurtka przylepiła mi się do mokrych pleców; wieczorny powiew przebiegł gwałtownie nad łóżkami, sztywne fałdy firanek poruszyły się, grzechocząc na mosiężnych prętach, kapy okrywające szereg pustych łóżek powiewały bezszelestnie tuż nad gołą podłogą, a mnie przejął dreszcz do szpiku kości. Łagodny powiew tropikalny igrał posępnie w tej

pustej sali, jak zimowy wicher w Anglji hulający po pustej stodole.

— „Panie kapitanie, niech pan nie pozwoli żeby znów zaczął ryczeć“ — zawołał zdaleka ranny z rozpaczą i gniewem, a głos jego rozebrzmiał wśród tych ścian, drgając, niby krzyk w tunelu. Szpony wpite w ramię przyciągały mię; mechanik patrzył na mnie znacząco zukosa.

— „Okręt był ich pełen, uważa pan, a myśmy musieli zmiatać chyłkiem — szepnął niezmiernie szybko. — Wszystkie różowe. Wszystkie różowe, wielkie jak brytany, z jednem okiem na wierzchu głowy i szponami naokoło brzydkich pysków. Brr! Brr! — Szybkie wstrząsy, jakby wywołane elektrycznym prądem, ujawniły pod płaską kołdrą zarys chudych, niespokojnych nóg; mechanik puścił moje ramię i sięgnął za czemś w powietrze; drżał na całem ciele, wyprężony, niby trącona struna harfy; a gdy tak z góry na niego patrzyłem, przyczajony upiór zgrozy przedarł się przez jego szklisty wzrok. W jednej chwili twarz, podobna do twarzy starego żołnierza, uległa rozkładowi w mych oczach, skażona przez podstępną chytrość, przez wstrętną ostrożność, przez rozpaczliwy strach. Powstrzymał się od krzyku:

— „Szszsz! Co robią teraz tam w dole?“ — zapytał, wskazując na podłogę z niesłychaną ostrożnością w głosie i ruchu. Ponury błysk zrozumienia ukazał mi nagle, co znaczy właściwie ta ostrożność; przejął mię wstręt do własnej przenikliwości.

— „Śpią“ — odpowiedziałem, śledząc go bacznie. Otóż to właśnie. Chciał właśnie to usłyszeć; było to jedyne słowo, które mogło go uspokoić. Odetchnął głęboko.

— „Szszsz! Spokojnie, spokojnie. Jestem w tym kraju jak u siebie. Znam te bestje. Po łbie pierwszego, który się ruszy! Takie ich mnóstwo, a statek nie utrzyma się na wodzie dłużej niż dziesięć minut. — Zaczął znów głośno dyszeć. — Bywaj! — wrzasnął nagle i ciągnął dalej jednostajnym krzykiem: — Zbudzili się wszyscy — miljony ich, miljony! Tratują mnie! Czekajcie ach, czekajcie! Będę ich rozgniatał kupami, jak muchy! Czekajcie na mnie! Ratunku! Ra — tun — ku!“

— Przeciągłe wycie bez końca dopełniło mojej porażki. Widziałem zdala jak ranny podniósł żałośnie obie ręce do obandażowanej głowy; sanitarjusz w fartuchu sięgającym po brodę ukazał się w perspektywie sali; widać go było jakby przez odwrócony teleskop. Uznałem się za bezwzględnie pokonanego, i nie zwlekając dłużej, uciekłem na zewnętrzną galerję, wychodząc przez jedno z długich okien. Wycie ścigało mię jak zemsta. Skręciłem na puste schody, i nagle spokój i cisza uczyniły się naokoło; szedłem po nagich, połyskliwych stopniach wśród milczenia, które mi pozwoliło zebrać rozproszone myśli. Na dole spotkałem jednego ze szpitalnych chirurgów; przechodził przez podwórze i zatrzymał mię.

— „Odwiedzał pan swego człowieka, co, kapitanie? Chyba jutro go wypuścimy. Tylko że te bałwany nie umieją wcale na siebie uważać! Wie pan, mamy tu pierwszego mechanika, który był na tym statku z pielgrzymami. Ciekawy wypadek. Delirium tremens najgorszego rodzaju. Pił na umór trzy dni w szynku tego Greka czy Włocha. Musiało się tak skończyć. Dzień w dzień cztery butelki tej ich tam wódki, jak mi mówiono. Nadzwyczajne, jeśli to prawda. Ten

człowiek ma chyba wnętrze z hartownego żelaza. Przytomności oczywiście ani śladu, ale co najciekawsze w tem wszystkiem, to pewna metoda w jego majaczeniach. Staram się ją wykryć. Bardzo niezwykłe, ta nić logiki w tego rodzaju bredzeniu. Właściwie powinien widzieć węże, ale nic podobnego. Dobre stare tradycje biorą w łeb w dzisiejszych czasach. Tak! Jego — hm — wizje dotyczą płazów. Ha, ha! Doprawdy, mówiąc poważnie, nie pamiętam aby mię kiedy wypadek delirium tremens tak zainteresował. Powinien był umrzeć, uważa pan, po takich libacjach. Oho! twardą ma skórę. A w dodatku spędził dwadzieścia cztery lata między zwrotnikami. Niechże pan doprawdy rzuci na niego okiem. Ten stary opój ma bardzo szlachetną minę. Nie spotkałem nigdy tak niezwykłego człowieka — z punktu widzenia medycznego, oczywiście. No, pójdzie pan?“

— Przez cały czas ujawniałem zwykłe uprzejme oznaki zaciekawienia, lecz teraz szepnąłem coś z ubolewaniem o braku czasu i uścisnąłem mu śpiesznie rękę.

— „Panie kapitanie — zowołał za mną — on nie może się stawić na to śledztwo. Jak pan myśli, czy jego zeznania są ważne?“

— „Nic podobnego“ — odkrzyknąłem mu z bramy.

Rozdział VI

— Władze były najwidoczniej tego samego zdania. Śledztwo nie zostało odroczone. Rozpoczęło się w oznaczonym dniu aby prawu zadosyćuczynić, a publiczność uczęszczała nań licznie, gdyż interesowano się sprawą ze względu na jej ogólnoludzki charakter. Nie było żadnej wątpliwości co do faktów, to znaczy co do jednego materjalnego faktu. Jakim sposobem *Patna* została uszkodzona, niepodobna było wykryć i trybunał wcale się tego nie spodziewał, a wśród całej publiczności nikogo to nie obchodziło. Ale, jak już wspomniałem, wszyscy marynarze z portu byli obecni na sali, a i przedstawiciele nadbrzeżnego handlu zjawili się w komplecie. Świadomie lub też nieświadomie, przybyli pod wpływem ciekawości czysto psychologicznej; spodziewali się jakiejś zasadniczej rewelacji co do siły, potęgi, grozy ludzkich wzruszeń. Oczywiście nic podobnego nie mogło się ujawnić. Badanie jedynego człowieka, który mógł i chciał poddać się śledztwu, obracało się jałowo naokoło dobrze znanego faktu, a gra w zadawanie pytań była równie pouczająca, jak stukanie młotkiem w żelazną skrzynkę, aby się przekonać co tam jest w środku. Przedmiotem badań nie było zasadnicze: dlaczego, ale powierzchowne: jak to się stało.

— Ów młody człowiek byłby mógł to wyjaśnić, i choć publiczność tylko tem się interesowała, pytania zadawane świadkowi odwodziły go z konieczności od

tego, co — według mego zdania naprzykład — było jedyną prawdą wartą poznania. Nie można wymagać od urzędowych władz, aby wglądały w stan duszy człowieka — a może tylko w stan jego wątroby? Ich sprawą było rozpatrywać skutki, i szczerze mówiąc, pierwszy lepszy sędzia pokoju i dwóch asesorów nie nadają się tak bardzo do czegoś innego. Nie chcę dać do zrozumienia aby to byli durnie. Sędzia wykazywał wielką cierpliwość. Jeden z asesorów, kapitan żaglowca, miał rudawą brodę i odznaczał się pobożnością. Drugim był Brierly. Wielki Brierly. Niejeden z was musiał słyszeć o Wielkim Brierlym — kapitanie najszykowniejszego statku z linji Blue Star. To właśnie ten.

— Wydawał się piekielnie znudzony zaszczytem, który mu narzucono. Nigdy w życiu nie popełnił żadnego błędu, nie spotkał go żaden przykry wypadek, ani niefortunny zbieg okoliczności, ani przeszkoda w spokojnem wznoszeniu się w górę; wyglądał na jednego z tych szczęśliwych ludzi, którzy nie wiedzą nic o braku decyzji, a jeszcze mniej o braku wiary w siebie. Mając trzydzieści dwa lata dostał jedno z najlepszych dowództw we wschodnim handlu — i co więcej, bardzo był swem powodzeniem przejęty. Uważał że jego karjera jest czemś jedynem w świecie i prawdopodobnie, gdyby go był kto spytał prosto z mostu, wyznałby że jego zdaniem niema wogóle takiego jak on dowódcy. Wybór padł na właściwego człowieka. Reszta ludzkości, która nie dowodziła stalowym parowcem *Ossa*, robiącym szesnaście węzłów, była godna pożałowania. Brierly ocalił życie wielu ludziom na morzu, ratował nieraz tonące okręty, miał złoty chronometr ofiarowany przez akcjonarjuszów i lornetkę

z odpowiednim napisem od jakiegoś obcego rządu na pamiątkę tych czynów. Oceniał najdokładniej swoje zasługi i nagrody, które za nie otrzymał. Lubiłem go dosyć, choć wielu z moich znajomych — i to potulnych, dobrodusznych ludzi — nie mogło wprost go znosić. Nie mam żadnych wątpliwości, że uważał się za daleko bardziej wartościowego odemnie; doprawdy, sam Cesarz Wschodu i Zachodu musiałby się czuć pyłkiem w jego obecności — ale jakoś nie mogłem się zdobyć na prawdziwe uczucie obrazy. Nie pogardzał mną za coś, co było we mnie, co przedstawiałem — rozumiecie? Nie wchodziłem w rachubę poprostu dlatego, że nie byłem najszczęśliwszym człowiekiem na ziemi, kapitanem Montague Brierly, dowódcą *Ossy*, że nie posiadałem złotego chronometru z podpisami i oprawnej w srebro lornetki, świadczących o mej doskonałości jako marynarza, o mem niepohamowanem męstwie; że nie miałem dokładnego poczucia swych zasług i należnej mi za nie nagrody — nie mówiąc już o miłości i ubóstwieniu czarnego wyżła, najpiękniejszego jakiego sobie można wyobrazić: nigdy jeszcze równie piękny pies nie ubóstwiał takiego jak Brierly człowieka. Niema dwóch zdań, narzucanie człowiekowi tego wszystkiego porządnie było drażniące; ale gdy przyszło mi na myśl, że dzielę swój smutny los z tysiącem dwustu miljonami mniej lub więcej ludzkich stworzeń, przekonywałem się iż mogę udźwignąć ciężar dobrodusznej i pogardliwej litości kapitana Brierly, ze względu na coś nieokreślonego i pociągającego w tym człowieku. Nigdy nie zdałem sobie sprawy, na czem to polegało, ale były chwile kiedy mu zazdrościłem. Żądło życia tyle znaczyło dla jego duszy pełnej zadowolenia, co drapnięcie szpilką po gładkiem obliczu skały. To było godne zazdrości.

Gdy się przypatrywałem kapitanowi Brierly — siedzącemu obok skromnego sędziego o bladej twarzy, który przewodniczył śledztwu — miałem uczucie, że zadowolenie z siebie Brierly'ego zwraca się ku mnie i ku całemu światu powierzchnią twardą jak granit. Wkrótce potem popełnił samobójstwo.

— Nic dziwnego że sprawa Jima go nudziła, a kiedy rozmyślałem z uczuciem podobnem do trwogi, jak olbrzymią pogardę musi czuć ten człowiek dla młodzieńca poddanego badaniu, Brierly przeprowadzał prawdopodobnie śledztwo we własnej sprawie. Wyrok uznał snać winę bez okoliczności łagodzących, a skazaniec zabrał z sobą tajemnicę dokonanego przestępstwa, skoczywszy w morze. Jeśli się cośkolwiek na ludziach rozumiem, chodziło tu z pewnością o rzecz największej doniosłości, o jeden z tych drobiazgów wstrząsających myślą — budzących do życia jakąś ideę, z którą niepodobna żyć człowiekowi nienawykłemu do takiego towarzystwa. Wiem napewno że nie wchodziły tu w grę pieniądze, ani nadużycie trunków, ani kobieta. Skoczył ze statku w morze zaledwie w tydzień po ukończonem śledztwie, a w niecałe trzy dni po opuszczeniu portu w drodze na wschód; jakgdyby właśnie w tem miejscu wśród oceanu spostrzegł nagle wrota tamtego świata rozwarte na swoje przyjęcie.

— Nie stało się to jednak pod wpływem nagłego porywu. Siwowłosy oficer Brierly'ego, marynarz pierwszorzędny, bardzo miły w obejściu z obcymi, lecz w stosunku do swego komendanta najopryskliwszy oficer, jakiego spotkałem, opowiedział mi tę całą historję ze łzami w oczach. Podobno kiedy przyszedł na pokład nad ranem, Brierly pisał w kajucie nawigacyjnej.

— „Była wtedy czwarta za dziesięć — mówił

oficer — a środkowa wachta jeszcze się naturalnie nie skończyła. Kapitan usłyszał jak mówiłem na mostku do drugiego oficera i zawołał mnie. Poszedłem bardzo niechętnie; powiem panu całą prawdę — nie mogłem znieść biednego kapitana Brierly. Mówię to panu ze wstydem; niewiadomo nigdy co tkwi w człowieku. Wyprzedził w swej karjerze zbyt wielu ludzi, nie licząc mnie samego, i miał taki jakiś przeklęty sposób wytykania człowiekowi jego małości, choćby tylko przez sposób w jaki mówił dzieńdobry. Nie zwracałem się do niego nigdy, chyba tylko w kwestjach służbowych, a wówczas robiłem co mogłem aby utrzymać jezyk za zębami. — (Pochlebiał sobie. Dziwiłem się często jak Brierly mógł znieść jego maniery dłużej niż przez połowę podróży). — Mam żonę i dzieci — ciągnął — i dziesięć lat byłem w spółce, spodziewając się zawsze że dostanę następne wakujące dowództwo; byłem głupi. Więc mówi on do mnie w te słowa: „Niech pan tu wejdzie, panie Jones“, tym swoim nadętym głosem, „niech pan tu wejdzie“. No więc wszedłem. „Oznaczymy pozycję statku“, mówi dalej, nachylając się nad mapą z cyrklem w ręku. Według obowiązujących przepisów, oficer opuszczający pokład byłby to zrobił przy końcu swej wachty. Jednak nic nie odrzekłem i przypatrywałem się jak znaczył położenie statku drobniutkim krzyżykiem, wpisując datę i godzinę. Widzę go jeszcze w tej chwili, gdy pisze porządnemi literkami: siedemnaście, osiem, czwarta A. M. Rok był zawsze napisany czerwonym atramentem u góry mapy. Kapitan Brierly nie używał nigdy swych map dłużej niż rok, gdzieżby zaś. Mam teraz tę mapę. Kiedy skończył, nie poruszył się wcale i patrzył na zrobiony znaczek, uśmiechając się do siebie, poczem spojrzał ku mnie

w górę. „Jeszcze trzydzieści dwie mile tego kursu — mówi — i wszystko w porządku; będzie pan mógł zmienić kierunek o 20 stopni na południe“.

— „Właśnie wtedy mijaliśmy Hector Bank od północy. Mówię mu: „Tak, panie kapitanie“, dziwiąc się, dlaczego się o to kłopocze, ponieważ musiałem go wezwać w każdym razie przed zmianą kursu. Akurat wówczas dzwon osiem razy uderzył; wyszliśmy na mostek i drugi oficer nadmienił przed odejściem jak zwykle — „Siedemdziesiąt jeden na logu“. Kapitan Brierly rzucił okiem na kompas i rozejrzał się wkoło. Było ciemno i pogodnie, widać było wszystkie gwiazdy tak wyraźnie, jak w mroźną noc na wysokich szerokościach geograficznych. Nagle mówi jakgdyby z lekkiem westchnieniem: „Idę na rufę i sam dla pana ustawię wskazówkę logu na zero, żeby nie było żadnej pomyłki. Trzydzieści dwie mile więcej na tym kursie i jest pan bezpieczny. Zobaczmy — poprawka logu wynosi sześć procent in plus, więc, powiedzmy, jeszcze trzydzieści mil w tym kierunku i może pan zmienić kurs o dwadzieścia stopni na stronę podwietrzną. Nie trzeba tracić na dystansie, prawda?“ Nie słyszałem nigdy aby mówił jednym ciągiem tak długo i to zupełnie bez celu, jak mi się wydało. Nic nie odpowiedziałem. Zszedł po drabinie, a pies, który włóczył się wszędzie za kapitanem, gdziekolwiek się ten ruszył w nocy czy we dnie, zsunął się za nim nosem naprzód. Słyszałem odgłos obcasów, tup, tup, na tylnym pokładzie; kapitan się zatrzymał i rzekł do psa: „Wracaj, Korsarz. Na mostek, stary! No dalej, marsz!“ Potem zawołał do mnie z ciemności: „Panie Jones, niechno pan zamknie psa w kajucie nawigacyjnej, dobrze?“.

— „Słyszałem wówczas jego głos po raz ostatni,

panie kapitanie. Były to ostatnie jego słowa, które usłyszała żyjąca ludzka istota. — Tu głos starego stał się niepewny. — Bał się żeby biedne zwierzę za nim nie skoczyło, rozumie pan? — ciągnął z drżeniem. — Tak, panie kapitanie. Nastawił dla mnie log; i — czy pan uwierzy? — wpuścił do niego kroplę oliwy. Oliwiarka leżała tam gdzie ją zostawił, obok logu. O wpół do piątej pomocnik bosmena wyciągnął na rufę gumowego węża aby myć pokład, ale wkrótce rzucił węża i wbiegł na mostek. — „Panie Jones, może pan przyjdzie na rufę — mówi. — Taka tam jest dziwna rzecz. Wolę jej nie dotykać". Był to złoty chronometr kapitana Brierly, przywiązany starannie łańcuszkiem do poręczy".

— „Gdy tylko moje oczy na niego padły, coś mnie tknęło, i już wiedziałem, panie kapitanie. Nogi się ugięły pode mną. Było to jakbym go widział padającego za burtę; i mogłem powiedzieć jak daleko w tyle pozostał. Log na rufie pokazywał osiemnaście mil i trzy czwarte, a naokoło głównego masztu brakowało czterech żelaznych kołków. Włożył je pewno do kieszeni żeby pójść na dno; ale Boże wielki, cóż to jest cztery nagle dla człowieka o tak potężnej budowie jak kapitan Brierly! Może jego wiara w siebie zachwiała się trochę w ostatnich czasach. Jedyna to oznaka braku równowagi, którą ujawnił w ciągu całego życia, jak sądzę; a gotów jestem ręczyć, że kiedy znalazł się w morzu, nie usiłował płynąć ani przez chwilę — gdyby zaś wypadł za burtę niechcący, byłby miał dosyć odwagi, żeby na chybił trafił utrzymać się przez cały dzień na powierzchni. Tak, panie kapitanie. Nie ustępował nikomu, jak raz powiedział do siebie, co na własne uszy słyszałem. Napisał dwa listy podczas nocnej wachty, jeden do spółki, a drugi do mnie.

5*

Dawał mi tam mnóstwo wskazówek co do podróży — choć pracowałem w swoim zawodzie, kiedy go jeszcze nie było na świecie — i instrukcje bez końca, jak mam postępować z naszą zwierzchnością w Szanghaju aby zachować dla siebie dowództwo *Ossy*. Pisał jak ojciec do ukochanego syna, panie kapitanie, a ja byłem starszy od niego o dwadzieścia pięć lat i zakosztowałem słonej wody, kiedy on jeszcze koszulę w zębach nosił. W liście do armatorów — nie zakleił go abym mógł przeczytać — pisał, że spełniał zawsze wszystkie swoje względem nich obowiązki — aż do tej chwili — a nawet i teraz nie zawodzi ich zaufania, ponieważ zostawia okręt najtęższemu marynarzowi jakiego mogą znaleźć — mówiąc o mnie, panie kapitanie, mówiąc o mnie! Pisał dalej, że jeśli ostatni jego postępek nie pozbawi go w ich oczach całego szacunku, to ocenią należycie moją wierną służbę i jego gorące polecenie, gdy będą obsadzali miejsce opróżnione przez jego śmierć. I jeszcze dużo więcej rzeczy w tym sensie, panie kapitanie. Nie chciałem wierzyć własnym oczom. I tak dziwnie mi było — ciągnął stary, zupełnie rozklejony, rozgniatając coś w kąciku oka końcem wielkiego palca szerokiego jak szpachla. — Wyglądało na to, panie kapitanie, że skoczył za burtę tylko po to, aby dać pechowcowi ostatnią sposobność do wybicia się. Tak mnie wstrząsnęła ta jego nagła, okropna śmierć, a przytem i myśl że zrobiłem przez to karjerę! Przez tydzień chodziłem jak kołowaty. Ale nic z tego! Kapitan *Pelionu* został przeniesiony na *Ossę* — wsiadł na statek w Szanghaju — taki mały fircyk w popielatym garniturze w kratki, z rozdziałkiem przez środek głowy. „Hm — jestem — hm — pańskim nowym kapitanem, panie — panie — hm — Jones“. Tonął w per-

fumach — poprostu cuchnął perfumami. Tak mi się coś zdaje, że jąkał się pod wzrokiem, który w nim utkwiłem. Szepnął coś o mojem zrozumiałem rozczarowaniu — lepiej żebym się dowiedział odrazu, iż jego starszy pomocnik dostał dowództwo *Pelionu* — on sam nie miał z tem naturalnie nic wspólnego — prawdopodobnie w biurze orjentują się najlepiej — przykro mu, że... A ja na to: „Co tu gadać o starym Jonesie, panie kapitanie, on jest, psiakrew, tego zwyczajny". Spostrzegłem odrazu że obraziłem jego subtelne uszy, a gdyśmy siedzieli razem przy pierwszym lunchu, zaczął w brzydki sposób czepiać się to tego, to owego na okręcie. Nie słyszałem jeszcze nigdy tak błazeńskiego głosu. Zacisnąłem zęby, wbiłem oczy w talerz i trzymałem język za zębami jak długo mogłem to ścierpieć, w końcu jednak musiałem coś odpowiedzieć; a ten jak się nie zerwie, jak nie najeży tych swoich ładnych piórek, niby walczący kogucik:

— „Przekona się pan, że nie z kapitanem Brierly ma pan do czynienia!"

— „Już się przekonałem" — ja na to; posępnie mi było na duszy, ale udawałem, że bardzo jestem zajęty swoim kotletem.

— „Stary gbur z pana, panie — tego — Jones; i co więcej, wszyscy wiedzą dobrze o tem" — skrzeknął do mnie. Pomywacze psiakrew stali naokoło, słuchając z gębami rozdziawonemi od ucha do ucha.

— „Może i mam twardą skórę — odpowiadam — ale nie do tego stopnia, żeby znieść widok pana, siedzącego na miejscu kapitana Brierly. — Co rzekłszy, składam nóż i widelec".

— „Pan sam chciałby na niem siedzieć, ot co w trawie piszczy!" — zaszydził. Wyszedłem z kajuty,

zebrałem swoje graty i znalazłem się na bulwarze z całym dobytkiem u nóg, zanim ładownicy okrętowi zabrali się znów do roboty. Tak. Bez pracy — na brzegu — po dziesięciu latach służby, a o sześć tysięcy mil biedna kobiecina i czworo dzieci czekały na moją pensję, żeby mieć co do ust włożyć. Tak, panie kapitanie! Kopnąłem to, żeby nie słuchać jak wymyślają na kapitana Brierly. Zostawił mi swoją nocną lornetkę — oto jest; i życzył sobie, abym się zaopiekował jego psem — oto on. Pójdź tu, Korsarz — biedna psina. Gdzie jest kapitan, Korsarz?“ Pies spojrzał na nas w górę posępnemi żółtemi oczami, szczeknął żałośnie i wczołgał się pod stół.

— Wszystko to się działo przeszło dwa lata później na pokładzie tego morskiego grata, *Królowej Ognia*, której dowództwo Jones dostał — także dziwnym przypadkiem — od Mathersona — nazywano go ogólnie szalonym Mathersonem — tego samego, który włóczył się często po Haifongu, pamiętacie, jeszcze przed okupacją. Staruszek mówił dalej, pociągając nosem:

— „Tak, proszę pana, o kapitanie Brierlym będzie się tu zawsze pamiętało, nawet jeśli go gdzieindziej zapomną. Napisałem obszerny list do jego ojca i nie dostałem jednego słowa odpowiedzi — ani: dziękuję, ani: idź do djabła — nic! Może woleli o tem wcale nie wiedzieć“.

— Widok starego Jonesa we łzach, obcierającego łysą głowę czerwoną bawełnianą chustką, żałosne szczekanie psa, niechlujstwo tej rojącej się od much kabiny, która była jedynym relikwiarzem wspomnień o Brierlym — wszystko to rzuciło zasłonę niezmiernie pospolitego tragizmu na pamiętną mi jego postać; była to

pośmiertna zemsta losu za tę jego wiarę w swoją wyższość, wiarę, która prawie że pozbawiła życie Brierly'ego najbardziej uzasadnionych przerażeń. Prawie! A może zupełnie? Któżby odgadł, jakie pochlebne wyobrażenie Brierly powziął o swem samobójstwie?

— „Dlaczego on popełnił to szaleństwo, jak pan to sobie wyobraża, kapitanie? — zapytał Jones, składając ręce. — Dlaczego? To niepojęte! Dlaczego? — Uderzył się po niskiem i pomarszczonem czole. — Gdyby był biedny, i stary, i zadłużony, gdyby mu się nie powiodło w życiu — albo gdyby był zwarjował! Ale on nie należał do tych, co warjują — nic podobnego. Może mi pan wierzyć. Czego pomocnik nie wie o swoim szyprze, tego wogóle wiedzieć nie warto. Młody, zdrów, bogaty, żadnych kłopotów... Siedzę tu czasem, i myślę, i myślę, aż głowa mi pęka. On miał jakiś powód do tego".

— Może pan być pewien, kapitanie, że ten jakiś powód nie byłby tak bardzo obszedł ani mnie ani pana — rzekłem; i nagle biedny stary Jones znalazł nakoniec słowo zdumiewającej mądrości, jakby mu coś zaświtało w mętnej mózgownicy. Wytarł nos i rzekł, kiwając boleśnie głową:

— „Tak, tak! Ani pan, ani ja, kapitanie, nigdyśmy tyle o sobie nie trzymali".

— Wspomnienie mej ostatniej rozmowy z Brierlym zabarwione jest naturalnie świadomością jego śmierci, która nastąpiła tak prędko potem. Mówiłem z nim ostatni raz podczas tej sprawy, toczącej się w sądzie, po pierwszem posiedzeniu, kiedyśmy wyszli razem na ulicę. Był podrażniony, co zauważyłem ze zdziwieniem, ponieważ zwykle, gdy raczył rozmawiać — zachowywał się spokojnie z odcieniem żartobliwej wy-

rozumiałości, jakby istnienie jego interlokutora było czemś w rodzaju dobrego kawału.

— „Naciągnęli mnie na to śledztwo, jak pan widzi — zaczął i rozwodził się nad tem przez chwilę, żaląc się na niewygodę codziennego przebywania w sądzie. — I Bóg wie jeszcze jak długo to będzie trwało. Pewnie ze trzy dni. — Wysłuchałem go w milczeniu, co według mnie jest równie dobrym sposobem imponowania jak każdy inny. — I poco to wszystko? To najgłupsza historja jaką sobie można wystawić — ciągnął zapalczywie. Zwróciłem mu uwagę, że nie miał tu wyboru. Przerwał mi z pewnego rodzaju hamowaną gwałtownością: — Czuję się przez cały czas jak głupi. — Podniosłem na niego oczy. Posunął się bardzo daleko, jak na Brierly'ego, który mówił o Brierlym. Zatrzymał się, chwycił mię za wyłóg marynarki i zlekka pociągnął. — Dlaczego my dręczymy tego młodzika?“ — rzekł. Pytanie to pokrywało się tak zupełnie z myślą, która wciąż mi chodziła po głowie, że odpowiedziałem natychmiast, mając w oczach uciekającego renegata:

— „Nie mam o tem zielonego pojęcia — chyba dlatego że się dręczyć pozwala“.

— Zdumiało mnie, iż pojął w lot co chciałem powiedzieć, choć moja myśl powinna była mu się wydać dość niejasna. Rzekł gniewnie:

— „No naturalnie. Czyż on nie widzi, że się ten nędznik ulotnił, ten jego szyper? Na co on właściwie czeka? Nic go nie może ocalić. To człowiek zgubiony. — Uszliśmy kilka kroków w milczeniu. — Poco karmią nas tym całym brudem? — wykrzyknął ze wschodnią energją wyrazu — prawie jedynym rodzajem energji, której ślady można napotkać na wschód

od pięćdziesiątego południka. Zdziwił mię kierunek jego myśli, ale teraz mocno podejrzewam, że to co mówił odzwierciadlało stan jego psychiki; w głębi ducha biedny Brierly musiał myśleć o sobie samym. Zaznaczyłem, iż szyper *Patny* porósł w pierze — co było ogólnie znane — i mógł prawie wszędzie zdobyć środki na podróż. Z Jimem było inaczej; rząd trzymał go na razie w Domu marynarzy, ale chłopak nie miał pewnie w kieszeni złamanego szeląga. Ucieczka przecież zawsze kosztuje.

— „Czy doprawdy? Nie, niezawsze — rzekł, śmiejąc się gorzko i dodał w odpowiedzi na jakąś moją uwagę: — No więc, niech się wpakuje dwadzieścia stóp pod ziemię i niech tam zostanie! Dalibóg! J a b y m tak zrobił". — Nie wiem dlaczego ton jego słów mię podrażnił. Rzekłem:

— „Jest w tem pewna odwaga, iż stawia czoło temu wszystkiemu, wiedząc bardzo dobrze, że gdyby się stąd zabrał, nikomuby się nie śniło za nim gonić".

— „Do djabła z odwagą! — warknął Brierly. — Ten rodzaj odwagi jest do niczego, jeśli chodzi o utrzymanie pewnej linji w życiu, i tyle o nią dbam co o zeszłoroczny śnieg. Gdyby mi pan powiedział, że gra tu rolę pewne tchórzostwo, miękkość charakteru... Wie pan co, złożę dwieście rupij, jeśli pan doda do nich jeszcze sto i postara się, żeby ten chłopiec zwiał jutro wczesnym rankiem. Pomimo wszystko jest jednak gentlemanem — on to zrozumie. Musi zrozumieć! Ta piekielna sprawa toczy się publicznie i zbyt jest gorsząca. On siedzi tam, a ci wszyscy przeklęci krajowcy, serangowie, laskarowie, podoficerowie składają takie zeznania, że człowiek pali się poprostu ze wstydu. To jest ohydne. Więc pan nie uważa tego za ohydne,

więc pan tego nie czuje? Gdyby zwiał, wszystkoby się urwało odrazu. — Brierly wypowiedział to z wyjątkowem wprost ożywieniem i zrobił ruch, jakby chciał sięgnąć po portfel. Powstrzymałem go i oświadczyłem zimno, że tchórzostwo tych czterech ludzi nie wydaje mi się sprawą tak wielkiego znaczenia. — I pan ma siebie za marynarza, o ile mi się zdaje — wyrzekł gniewnie. Odpowiedziałem, że właśnie za takiego siebie uważam i sądzę że nim jestem. Wysłuchał mię i machnął wielką ręką, jakby mię pozbawiał indywidualności, jakby mię spychał w tłum. — To jest najgorsze — rzekł — że wy wszyscy nie macie poczucia godności; niedość myślicie o tem, za co was ludzie uważają."

— Rozmawialiśmy, idąc powoli, i przystanęliśmy właśnie naprzeciw biura portowego, widząc jak na dłoni miejsce, skąd olbrzymi kapitan *Patny* znikł tak zupełnie, jakby był drobnem piórkiem porwanem przez huragan. Uśmiechnąłem się. Brierly ciągnął dalej:

— „To jest haniebne. Są tu wśród nas ludzie różnych kategoryj, między innymi także i skończone łotry; ale musimy do djabła zachować jakąś zawodową przyzwoitość, bo inaczej staniemy się bandą partaczy wałęsających się bez ładu i składu. Ufają nam. Czy pan to rozumie? — ufają! Mówiąc szczerze, nic a nic mnie nie obchodzą wszyscy pielgrzymi, jacy kiedykolwiek z Azji wywędrowali, ale porządny człowiek nie obszedłby się tak nawet z ładunkiem starych gałganów powiązanych w bele. Nie jesteśmy grupą zorganizowaną, i jedyne co nas jednoczy, to słowo, którem oznaczamy pewien rodzaj przyzwoitości. Taka historja niszczy zaufanie w człowieku. Marynarz może

przejść prawie przez całe swoje życie na morzu i nie być ani razu wezwany do pokazania swej niezłomności. Ale gdy otrzyma takie wezwanie... Ach!.. Gdybym ja...“

— Urwał i rzekł innym tonem: — Dam panu teraz dwieście rupij i niechże pan z tym chłopcem pomówi. Do djabła z nim! Czemu on się tu wogóle znalazł. Zdaje mi się doprawdy, że moi krewni znają jego rodzinę. Jego ojciec jest duchownym i przypominam sobie, że spotkałem go raz, gdym był zeszłego roku w Essex u mego kuzyna. Jeśli się nie mylę, staruszek zdawał się mieć słabość do swego syna marynarza. Okropne. Nie mógłbym sam tego zaproponować, ale pan...“

— I tak, w związku ze sprawą Jima, ujrzałem na chwilę Brierly'ego w prawdziwem świetle, na kilka dni przedtem, zanim powierzył morzu swą rzeczywistość i swoją maskę. Naturalnie że odmówiłem mu pośrednictwa. Podrażnił mię ton, jakim powiedział: „ale pan...“ (biedny Brierly przybierał ów ton bezwiednie) — jakby dawał do zrozumienia, iż znaczę tyle co robak; to też odniosłem się z oburzeniem do jego propozycji — i z tego właśnie powodu, czy też dla jakiejś innej przyczyny, powziąłem przekonanie, iż śledztwo stanowi surową karę dla Jima, a jego obecność w sądzie — istotnie z własnej woli — jest rysem odkupiającym w ohydnej jego sprawie. Przedtem nie byłem tego tak bardzo pewien. Brierly odszedł obrażony. W owym czasie stan jego duszy stanowił dla mnie większą zagadkę niż teraz.

— Nazajutrz przyszedłem późno do sądu i siedziałem sam. Nie mogłem oczywiście zapomnieć naszej rozmowy z Brierlym, a teraz miałem ich obu przed

oczami. Zachowanie jednego wyglądało na posępną bezczelność, drugi zaś ujawniał pogardę i nudę; ale postawa Jima mogła być równie nieszczera jak zachowanie Brierly'ego, o którem wiedziałem napewno że szczere nie jest. Brierly nie nudził się bynajmniej lecz był rozjątrzony, więc mimo pozorów może i Jim nie był bezczelny. Według mojego założenia bezczelnym nie był. Wyobrażałem sobie że jest w beznadziejnej rozpaczy. Wówczas to spotkały się nasze oczy. Spotkały się, i spojrzenie Jima odebrało mi wszelką ochotę do rozmowy z nim — jeśli ją wogóle miałem. W wypadku i jednej, i drugiej hipotezy — czy Jim był bezczelny czy zrozpaczony — czułem że mu się na nic przydać nie mogę. Działo się to w drugim dniu sprawy sądowej. Wkrótce po tej zamianie spojrzeń posiedzenie zostało znów odroczone do następnego dnia. Biali zaczęli zaraz tłumnie salę opuszczać. Jimowi polecono już chwilę przedtem zejść z podjum, tak że mógł się wysunąć jeden z pierwszych. Dostrzegłem zarys jego barczystych pleców i głowy w świetle otwartych drzwi, a gdy kierowałem się powoli ku wyjściu, rozmawiając z jakimś nieznajomym, który zwrócił się do mnie przypadkiem, widziałem z sali sądowej jak Jim stał oparty obu łokciami o balustradę werandy, zwrócony tyłem do niewielkiego strumienia publiczności, spływającego po paru stopniach. Słychać było gwar głosów i szelest nóg.

— Następna sprawa tyczyła się pobicia, napaści na jakiegoś lichwiarza, o ile mi się zdaje, i pozwany — czcigodny wieśniak z prostą, białą brodą — siedział na macie przed samemi drzwiami w otoczeniu synów, córek, zięciów, ich żon i — jak sądzę — połowy ludności z jego osiedla, stojącej lub siedzącej w kucki

naokoło niego. Smukła kobieta o ciemnej cerze, obnażonych częściowo plecach i nagiem, czarnem ramieniu, z cienkiem złotem kółkiem w nosie, zaczęła nagle coś mówić wysokim, zrzędzącym głosem. Człowiek idący koło mnie spojrzał na nią machinalnie. Przeszliśmy wtedy właśnie przez próg, mijając szerokie plecy Jima.

— Czy to właśnie owi wieśniacy przyprowadzili z sobą żółtego psa, nie umiem powiedzieć. W każdym razie był tam pies i snuł się wciąż przeze drzwi tam i z powrotem między nogami — w niemy, skradający się sposób charakterystyczny dla psów tamtejszych — i mój towarzysz potknął się o niego. Pies uskoczył w bok milczkiem, a ów człowiek rzekł głosem trochę podniesionym, śmiejąc się zlekka: „Niech pan spojrzy na tego nędznego psa“ — poczem prąd ludzi pchających się do sali rozdzielił nas natychmiast. Oparłem się na chwilę o ścianę, a nieznajomy zdołał dotrzeć do schodów i znikł. Widziałem że Jim odwrócił się gwałtownie. Zrobił krok naprzód i zagrodził mi drogę. Byliśmy sami; patrzył we mnie z nieugiętem postanowieniem. Zrozumiałem iż jestem napadnięty, że tak powiem, jakgdyby w lesie. Weranda już się opróżniła, hałas i ruch na dziedzińcu ustały; wielka cisza ogarnęła budynek, w którym daleko, gdzieś w głębi, jakiś głos o wschodniem brzmieniu zaczął nikczemnie się żalić. Pies, usiłujący właśnie prześlizgnąć się przeze drzwi, siadł śpiesznie i jął pchły sobie wygryzać.

— „Pan do mnie mówił? — spytał Jim bardzo cicho i pochylił się naprzód, nie ku mnie ale na mnie, jeśli rozumiecie, co chcę powiedzieć. Odrzekłem: „nie“ — natychmiast. Coś w dźwięku tego spokojnego

głosu ostrzegło mię, abym się miał na baczności. Śledziłem Jima. Było to bardzo podobne do spotkania w lesie, tylko wynik tego spotkania był bardziej niepewny, ponieważ Jimowi nie mogło chodzić o moje życie ani też pieniądze — o nic cobym mógł mu poprostu oddać, lub czegobym bronił z czystem sumieniem.

— „Pan twierdzi, że pan się do mnie nie odzywał — rzekł bardzo ponuro. — Ale ja słyszałem“.

— To jakaś pomyłka — odparłem, nie mając pojęcia co o tem myśleć i nie przestając patrzeć na Jima. Śledziłem jego twarz, jakgdybym śledził niebo ciemniejące przed uderzeniem piorunu, gdy mierzchnie stopniowo, nieuchwytnie, a mrok pogłębia się tajemniczo wśród ciszy dojrzewającego wybuchu.

— „O ile wiem, nigdym przy panu ust nie otworzył — odrzekłem, co było najzupełniejszą prawdą. Bezsens tego spotkania zaczynał mię trochę złościć. Uderza mnie teraz, iż nigdy w życiu nie byłem tak bliski bójki — dosłownie; bójki na pięści. Miałem chyba jakieś mgliste przeczucie, że ta ewentualność wisi w powietrzu, choć Jim nie groził mi bynajmniej. Przeciwnie, zachowywał się z dziwną biernością — rozumiecie? ale wyglądał ponuro, i choć nie był wyjątkowo rosły, wyglądał jakby mógł ścianę rozwalić. Najbardziej uspokajającą oznaką, jaką w nim zauważyłem, było coś w rodzaju powolnego, głębokiego namysłu, który uznałem za hołd dla oczywistej szczerości mego głosu i zachowania. W sądzie sprawa o napad szła swoim trybem. Pochwyciłem słowa: „No więc — bawół — kij — przejęty okropnym strachem“...

— „Co pan sobie właściwie myślał, żeby się tak

na mnie gapić przez całe rano?“ — rzekł Jim nareszcie. Podniósł na mnie wzrok i spuścił go znowu.

— „A pan się spodziewał, że będziemy wszyscy siedzieli ze spuszczonemi oczami ze względu na pańską drażliwość?“ — odparłem ostro. Nie myślałem poddawać się potulnie jego wybrykom. Spojrzał znów na mnie i tym razem wzroku nie spuścił, patrząc mi prosto w twarz.

— „Tak, to prawda — wyrzekł, jakby rozmyślając nad słusznością mej odpowiedzi — to prawda. Ja to znieść potrafię. Tylko — tu zaczął mówić trochę prędzej — nie pozwolę aby mi ktokolwiek wymyślał poza obrębem sądu. Z panem był jakiś człowiek. Pan mówił do niego — o tak — wiem z pewnością; wszystko to bardzo pięknie. Pan mówił do niego, ale pan chciał żebym słyszał“...

— Zapewniłem go że jest pod wpływem jakiegoś złudzenia. Nie miałem pojęcia, skąd to wynikło.

— „Pan myślał, że nie będę śmiał na to zareagować“ — rzekł z ledwo dosłyszalną goryczą. Dosyć mię to zajmowało, to też rozróżniałem najlżejsze odcienie w wyrazie Jima, nic jednak nie rozumiejąc; lecz coś szczególnego w jego słowach — może ich ton właśnie, skłonił mię do jaknajwiększej wyrozumiałości. Przestałem się złościć na tę kłopotliwą niespodziankę. Było to jakieś nieporozumienie. Jim się widocznie pomylił, i doznałem wrażenia że to jest jakaś ohydna, nieszczęsna pomyłka. Pragnąłem końca tej sceny ze względu na przyzwoitość, tak jak się pragnie uciąć jakieś niepowołane, wstrętne zwierzenia. A co najdziwniejsze, wśród rozważań wyższego rzędu zdawałem sobie sprawę z pewnego rodzaju strachu przed możliwością — nawet prawdopodobieństwem — że ta przykra

historja skończy się jakąś niesławną burdą, której niepodobna będzie wytłumaczyć i która mię ośmieszy. Nie wzdychałem za trzydniową sławą jak ów człowiek, któremu oficer z *Patny* podbił oko, czy nabił guza, poturbował go jednem słowem. Jim prawdopodobnie nie dbał o to co robi, a w każdym razie uważałby się za usprawiedliwionego we własnych oczach. Nawet i dzieckoby poznało, że był wściekle zły z jakiejś przyczyny, choć zachowywał się spokojnie a nawet obojętnie. Nie ukrywam, iż pragnąłem niezmiernie uspokoić go za wszelką cenę, gdybym był tylko wiedział co robić! Ale nie wiedziałem, jak sobie łatwo możecie wyobrazić. Był to mrok bez najlżejszego światełka. Staliśmy naprzeciw siebie w milczeniu. Przytaił się przez jakich piętnaście sekund, poczem zbliżył się o krok, a ja się przygotowałem do odparcia ciosu, choć sądzę że żaden muskuł mi nie drgnął.

— „Nawet gdyby pan był olbrzymem i miał siłę sześciu ludzi — rzekł bardzo cicho — to i tak powiedziałbym co myślę o panu. Pan...“

— „Przestań pan! — krzyknąłem. To go zatrzymało na chwilę. — Zanim pan powie, co pan o mnie myśli — ciągnąłem szybko — może zechce mię pan łaskawie poinformować, co ja takiego powiedziałem czy zrobiłem?“ — Nastąpiła pauza; Jim patrzył na mnie oburzony, a ja wytężałem pamięć z nadludzkim wysiłkiem, w czem mi przeszkadzał głos o wschodniem brzmieniu w sali sądowej, protestujący płynnie a beznamiętnie przeciw oskarżeniu o fałsz. Zaczęliśmy mówić prawie jednocześnie:

— „Pokażę panu zaraz, że nie jestem taki jak pan myśli“ — rzekł, a jego ton groził wybuchem.

— „Oświadczam że niewiem o czem pan mówi“ —

zapewniałem poważnie w tym samym czasie. Usiłował mię zmiażdżyć pogardą swego wzroku.

— „Teraz, kiedy pan widzi że się pana nie boję, niech się pan stara z tego wyplątać — rzekł. — Któż to ma być psem — co?“ — zapytał. Wtedy nakoniec zrozumiałem.

— Oglądał mi twarz, jakby szukał gdzie ma pięść umieścić. „Nie pozwolę nikomu...“ mruknął groźnie. Była to rzeczywiście ohydna pomyłka; odsłonił się najzupełniej. Nie umiem wam wypowiedzieć, jak mi było przykro. Widać zobaczył odbicie mych uczuć na twarzy, bo wyraz jego trochę się zmienił.

— „Wielki Boże! — wyjąkałem — pan chyba nie przypuszcza, że ja...“

— „Przecież słyszałem na własne uszy — upierał się, podnosząc głos poraz pierwszy od początku tej opłakanej sceny. Potem dodał z pewnem lekceważeniem: — Więc to nie pan? Bardzo pięknie; znajdę ja tego drugiego“.

— „Niechże pan z siebie nie robi durnia — krzyknąłem w rozjątrzeniu — to wcale nie o to chodziło!“

— „Ja słyszałem“ — powtórzył znów ponuro z nieugiętym uporem.

— Może kto inny byłby się roześmiał z tego uporu. Ale ja się nie roześmiałem. O nie! Nikt jeszcze nie zdradził się tak niemiłosiernie, idąc za pierwszym porywem. Jedno słowo pozbawiło Jima całego opanowania, które jest bardziej potrzebne dla naszej duchowej przyzwoitości niż odzienie dla okrycia ciała.

— „Niech pan z siebie nie robi durnia — powtórzyłem.

— „Ale tamten drugi powiedział to, pan mi nie

zaprzeczy?“ — rzekł wyraźnie, patrząc mi nieugięcie w twarz.

— „Nie, temu nie przeczę — rzekłem, odwzajemniając jego spojrzenie. Oczy Jima zwróciły się nareszcie w dół, tam gdzie wskazywałem palcem. Miałem wrażenie że z początku nie zrozumiał; potem zmieszał się, a w końcu przybrał wyraz zdumienia i przestrachu, jakby pies był potworem i jakby Jim nigdy przedtem psa nie widział. — Nikomu się nie śniło pana obrażać“ — rzekłem.

— Wpatrywał się wciąż w to nędzne zwierzę, nieruchome jak posąg; siedziało z nastawionemi uszami i spiczastym pyskiem skierowanym w stronę wejścia; nagle kłapnęło zębami za przelatującą muchą, jak automat.

— Spojrzałem na Jima. Czerwień jego białej, spalonej cery pogłębiła się nagle pod puchem policzków, ogarnęła czoło, dotarła aż do kędzierzawych włosów. Uszy zabarwiły mu się purpurą, i nawet jasny błękit oczu pociemniał wyraźnie od krwi, która mu uderzyła do głowy. Wydął zlekka drżące wargi, jakby miał natychmiast płaczem wybuchnąć. Spostrzegłem że z nadmiernego upokorzenia nie jest w stanie wymówić ani słowa. A może także i z rozczarowania — kto wie? Może miał nadzieję że to lanie, które mi sprawi, będzie dla niego jakąś rehabilitacją, ukojeniem? Skąd można wiedzieć, jakiej się ulgi spodziewał po tej okazji do burdy? Był tak naiwny, że mógł się spodziewać wszystkiego; ale w tym wypadku zdradził się bez żadnego pożytku. Był szczery względem siebie — tak jak i wobec mnie — w szalonej nadziei że uda mu się w ten sposób odeprzeć skutecznie zarzuty, a los odwrócił się od niego z ironją. Jim wydał jakiś nieartykułowany,

gardłowy dźwięk, jakby go ogłuszono ciosem w głowę. To było żałosne.

— Dopędziłem go aż daleko za bramą. Musiałem nawet w końcu biec za nim, ale gdy wreszcie z nim się zrównałem, zadyszany, i zarzuciłem mu że ucieka, rzekł: „Nigdy!“ Odwrócił się natychmiast jak osaczony. Wyjaśniłem że nie miałem broń Boże na myśli, aby uciekał przede mną. „Przed nikim — przed nikim na świecie,“ twierdził uporczywie. Powstrzymałem się od wytknięcia mu jednego rzucającego się w oczy wyjątku, któryby był ciężką próbą dla najodważniejszego z nas; przyszło mi na myśl, że bardzo prędko Jim sam się w tem zorjentuje. Patrzył na mnie cierpliwie, a ja rozmyślałem co mu powiedzieć, lecz nie mogłem nic znaleźć na razie. Ruszył znów naprzód. Szedłem obok niego i bojąc się, aby mi nie uciekł, rzekłem spiesznie, że nie chciałbym za nic w świecie aby się rozstał ze mną pod fałszywem wrażeniem mego — mojej — zająknąłem się. Przeraziła mię głupota tych słów i usiłowałem jakoś z tego wybrnąć; lecz siła wewnętrzna zdań nie ma nic wspólnego z ich sensem lub logiczną budową. Moje idjotyczne bąkanie zdawało mu się podobać. Przerwał je, mówiąc ze spokojem i uprzejmością, które dowodziły niezmiernej siły panowania nad sobą lub też nadzwyczajnej prężności ducha: „Wszystkiemu winna moja pomyłka.“ Zdumiało mię to powiedzenie; zdawało się że Jim wspomina o jakiemś drobnem zajściu. Czyżby nie rozumiał jego opłakanego znaczenia? „Pan mi chyba wybaczy“, dodał, i mówił dalej z pewną złością: „Wszyscy ci gapiący się ludzie mieli tak głupie miny, że — że mogło być tak jak przypuszczałem.“

— Te słowa pokazały mi Jima z nowej strony.

Popatrzyłem na niego z zajęciem i napotkałem jego wzrok — nieulękły i nieprzenikniony.

— „Nie mogę znieść tego rodzaju rzeczy — rzekł z prostotą — i znosić nie myślę. Co innego w sądzie; muszę i mogę to wytrzymać“.

— Nie twierdzę że go zrozumiałem. Chwile, w których mi się objawiał, były podobne do spojrzeń rzucanych przez szpary w gęstej, sunącej mgle — kiedy się spostrzega fragmenty wyrazistych i znikających szybko szczegółów, nie dających pojęcia o ogólnym wyglądzie kraju. Budzą ciekawość, wcale jej nie zaspakajając; nie pomagają do zorjentowania się. Wogóle trudno mi było rozgryźć Jima. Tak to sobie streściłem, w chwili gdy mię opuszczał późnym wieczorem.

Zostałem przez parę dni w Malabarskim hotelu i na moje usilne zaproszenie Jim przyszedł do mnie na obiad.

Rozdział VII

— Parowiec dążący na wschód przybył tego popołudnia i wielka jadalnia hotelu była więcej niż w połowie zapełniona ludźmi zaopatrzonymi w stufuntowe bilety do objazdu naokoło świata. Znajdowały się tam pary małżeńskie, jakby zadomowione w nowem otoczeniu i nudzące się z sobą już w środku podróży; małe grupy biesiadników, i duże, i pojedynczy goście, którzy jedli uroczyście lub ucztowali hałaśliwie, a wszyscy myśleli, rozmawiali, żartowali lub się krzywili, jak przywykli robić to u siebie w domu — inteligencją zaś i wrażliwością nie przewyższali swych kufrów stojących w górnych pokojach. Odtąd — podobnie jak ich bagaże — mieli być poznaczeni etykietami, stwierdzającemi że przejeżdżali przez takie to a takie miejscowości. Cenili sobie wysoko to wyróżnienie swych osób, zachowując kartki naklejone na walizkach jako udokumentowane świadectwa, jako jedyny trwały ślad korzyści wyniesionych z podróży. Ciemnolicy lokaje krzątali się bezszelestnie po przestronnej, gładkiej posadzce; od czasu do czasu rozlegał się śmiech młodej panny, niewinny i pusty jak jej dusza, a gdy brzęk porcelany nagle przycichał, dochodziło kilka słów cedzonych z afektacją przez jakiegoś dowcipnisia, popisującego się wałkowaniem ostatniej skandalicznej historji z pokładu wobec szczerzących zęby współbiesiadników. Dwie koczujące stare panny o drewnianych

twarzach, wystrojone zabójczo i dziwaczne niby dwa bogato przybrane strachy na wróble, studjowały z cierpką miną jadłospis, szepcząc do siebie zwiędłemi wargami.

Trochę wina otworzyło serce Jima i rozwiązało mu język. Zauważyłem też, że jadł z apetytem. Zdawało się iż pogrzebał epizod zagajający naszą znajomość. Była to widać rzecz, której nigdy nie poruszy się już na tym świecie. Miałem wciąż przed sobą błękitne, chłopięce oczy, patrzące mi prosto w twarz, młode oblicze, szerokie ramiona, otwarte, opalone czoło, białe u nasady wijących się, jasnych włosów, a wygląd ten przemawiał do całej mojej sympatji: szczery wyraz, uśmiech pełen prostoty, młodzieńcza powaga. Należał do gatunku porządnych ludzi, był jednym z nas. Mówił trzeźwo, z pewnego rodzaju powściągliwą swobodą, ze spokojem, który mógł być wynikiem męskiego opanowania, bezwstydu, nieczułości, absolutnej nieświadomości, niesłychanego fałszu. Skąd miałem wiedzieć? Sądząc po naszym tonie, mogliśmy rozmawiać o kimś trzecim, o meczu footballowym, o zeszłorocznej pogodzie. Nurzałem się w przeróżnych domysłach, aż wreszcie pewien zwrot w rozmowie pozwolił mi zauważyć bez urażenia Jima, że to badanie musiało być naogół bardzo przykre dla niego. Wyciągnął ku mnie szybko ramię poprzez obrus i chwycił moją rękę obok talerza, wpijając we mnie oczy. Przestraszyłem się porządnie. — „To musiało być strasznie ciężkie“ — wyjąkałem, zmieszany tym przejawem niemego uczucia.

— „To — piekło“ — wybuchnął nagle zduszonym głosem.

— Na ów gest i słowa dwóch szykownych obieżyświatów u sąsiedniego stołu podniosło niespokojnie

oczy z nad mrożonego pudinga. Wstałem i poszliśmy ku frontowej galerji na kawę i cygara.

— Stały tam małe ośmiokątne stoliczki z świecami palącemi się w szklanych kloszach; kępy roślin o sztywnych liściach przedzielały grupy wygodnych plecionycn foteli; między parami kolumn — których czerwonawe trzony odbijały długim rzędem światło padające od wysokich okien — noc, ciemna i połyskliwa, zdawała się wisieć niby wspaniała draperja. Światła kotwiczne okrętów mrugały zdala jak zachodzące gwiazdy, a wzgórza z drugiej strony portu były podobne do zaokrąglonych, czarnych gromowych chmur, które stanęły w miejscu.

— „Nie mogłem uciekać — zaczął Jim. — Szyper uciekł — to dobre dla niego. Ja nie chciałem i nie mogłem. Wszyscy oni wykręcili się z tego tak czy owak, ale mnie to nie przystoi".

— Słuchałem go ze skupioną uwagą, nie śmiąc się poruszyć na krześle; chciałem się o nim wszystkiego dowiedzieć — a do dziś dnia nie wiem nic, mogę tylko zgadywać. W jednej i tej samej chwili był ufny i zgnębiony zarazem, jakby jego przekonanie o własnej niewinności tłumiło w nim prawdę chcącą się na wierzch wydobyć. Zaczął od stwierdzenia, że nigdy nie będzie mógł wrócić do domu; a powiedział to takim tonem, jakby mówił iż niepodobna mu przeskoczyć przez dwudziestostopową ścianę. Jego oświadczenie przypomniało mi słowa Brierly'ego: „ten stary pastor w Essex zdawał się mieć słabość do swego syna marynarza".

— „Nie umiem wam powiedzieć, czy Jim wiedział że ojciec ma słabość do niego, lecz jego ton, gdy wspominał o „tatusiu", był na to obliczony aby mi

dać do zrozumienia, że ów zacny stary wiejski pastor jest najwybitniejszym ze wszystkich ludzi, jacy tylko od początku świata troszczyli się o liczną rodzinę. Choć ani razu wyraźnie tego nie mówił, podsuwał mi to z niepokojem, żebym nie miał co do tego wątpliwości; było to rzeczywiście bardzo szczere i pełne wdzięku, lecz dodawało do innych składników tej historji bolesną świadomość o życiu tamtych ludzi, hen daleko.

— „Przeczytał już to wszystko w gazetach tam w kraju — rzekł Jim. — Nigdy nie będę mógł spojrzeć w oczy biednemu staruszkowi. — Nie ośmieliłem się podnieść wzroku, póki nie dodał: — Nie mógłbym mu nigdy wytłumaczyć. Nie zrozumiałby“.

— Spojrzałem na niego. Palił, pogrążony w myślach, a po chwili ocknął się i zaczął znów mówić. Przedewszystkiem wyraził pragnienie, abym go nie mieszał z jego wspólnikami w — w zbrodni, powiedzmy. Nie był taki jak oni; należał do zupełnie innego gatunku. Nie przeczyłem mu wcale. Nie miałem zamiaru w imię jałowej prawdy pozbawiać go choćby najmniejszego okruchu jakiejś odkupiającej łaski, którąby się mogła stać jego udziałem. Nie wiem do jakiego stopnia sam wierzył w swe słowa. Nie wiem do czego zmierzał — jeśli wogóle zmierzał do czegokolwiek — podejrzewam że on sam tego nie wiedział; bo wierzę, iż żaden człowiek nie rozumie nigdy w zupełności swych własnych chytrych wykrętów, mających na celu ucieczkę od ponurego cienia samowiedzy. Nie otwarłem ust ani razu przez cały czas gdy Jim roztrząsał kwestję, co mu właściwie wypadnie zrobić po ukończeniu „tego idjotycznego śledztwa“.

— Widocznie podzielał wzgardliwy pogląd Brierly'ego na postępowanie sądowe wskazane przez prawo.

Wyznał, że nie ma pojęcia dokąd się zwrócić; tak to wyglądało, jakby raczej głośno myślał niż do mnie mówił. Świadectwo przepadło, karjera złamana, żadnych pieniędzy aby się ruszyć z miejsca, żadnych widoków na otrzymanie pracy. W kraju możeby się co i znalazło; ale na to trzebaby się zwrócić o pomoc do rodziny, czego zrobić nie chciał. Nie widział innej rady, jak tylko zaciągnąć się na statek w charakterze prostego marynarza — a może mógłby dostać miejsce podoficera na jakim parowcu. Dałby sobie z tem radę...

— „Tak pan uważa?" — spytałem bezlitośnie.

— Zerwał się; podszedł do kamiennej balustrady i patrzył w noc. Po chwili był już z powrotem; stał przy mojem krześle, górując nademną, a młodzieńcza jego twarz jeszcze była chmurna od bólu pokonanego wzruszenia. Zrozumiał bardzo dobrze, iż nie wątpię o jego zręczności w sterowaniu okrętem. Zapytał głosem, który drżał zlekka:

— „Dlaczego pan to powiedział? Pan był dla mnie taki strasznie dobry. Nawet się pan nie roześmiał, kiedy — tu zaczął się jąkać — ta pomyłka, rozumie pan — wystrychnęła mnie na dudka. — Przerwałem mu, mówiąc dość żywo, że według mnie taka pomyłka nie jest okazją do śmiechu. Usiadł i wypił powoli kawę, opróżniając małą filiżaneczkę aż do ostatniej kropli. — To nie znaczy abym myślał choć przez chwilę, że na to zasłużyłem" — oświadczył wyraźnie.

— „Nie myśli pan?" rzekłem.

— „Nie — potwierdził ze spokojną stanowczością. — Czy pan wie, co pan byłby zrobił? Wie pan? A przecież pan nie ma siebie za... — przełknął ślinę — za psa?"

— I mówiąc to — słowo wam daję — spojrzał na mnie badawczo. Okazało się, że to było pytanie ... pytanie bona fide. Jednak na odpowiedź nie czekał. Zanim się opamiętałem, ciągnął już dalej z oczami utkwionemi wprost przed siebie, jakby wyczytywał jakiś napis na tle nocy:

— „Wszystko polega na tem, żeby człowiek był w pogotowiu. Ja nie byłem w pogotowiu; nie byłem — w tamtej chwili. Nie chcę się usprawiedliwiać; ale takbym pragnął wytłumaczyć — takbym chciał żeby ktoś zrozumiał — ktokolwiek — choćby tylko jeden człowiek! Pan! Dlaczegóżby nie pan?"

— Było to uroczyste, a także i nieco śmieszne — jak zwykle walka jednostki usiłującej ocalić swoje pojęcie o tem, czem być powinna, ten sztuczny wzór postępowania — taki cenny — który jest jednem z prawideł gry, niczem więcej — lecz posiada straszliwą potęgę, bo przywłaszcza sobie bezgraniczną władzę nad przyrodzonemi ludzkiemi instynktami, bo grozi okropną karą za wykroczenie przeciw sobie. Jim zaczął opowiadanie dość spokojnie. Na pokładzie parowca linji Dale, który zabrał tych czterech ludzi płynących łódką w dyskretnym blasku zachodzącego słońca, już na drugi dzień zaczęto patrzeć na nich zukosa. Tłusty szyper opowiedział jakąś historję, tamci trzej milczeli, i z początku wzięto wszystko za dobrą monetę. Nie bada się biednych rozbitków, których miało się szczęście ocalić — jeśli nie od okrutnej śmierci, to w każdym razie od okrutnych cierpień. Potem, kiedy już był czas na zastanowienie, może uderzyło oficerów na *Avondale*, że jest „coś podejrzanego" w całej tej sprawie; ale oczywiście zachowali swoje wątpliwości dla siebie. Wzięli na pokład kapitana, oficera i dwóch maszy-

nistów z zatopionego parowca *Patna;* to im wystarczało i powinno było wystarczyć. Nie pytałem Jima o uczucia, których doznawał podczas tych dziesięciu dni spędzonych na statku. Ze sposobu w jaki mi o tem opowiadał, mogłem wnosić że był poniekąd ogłuszony odkryciem dokonanem na samym sobie — i niewątpliwie usiłował je wytłumaczyć jedynemu człowiekowi, który był zdolny zrozumieć całą jego straszliwą doniosłość. Zrozumcie, że nie starał się pomniejszyć tego odkrycia. Jestem tego pewien — i to go właśnie wyróżnia w moich oczach. A jakie przeżył wrażenia, gdy wysiadł na brzeg i dowiedział się o nieprzewidzianem zakończeniu historji, w której odegrał rolę tak opłakaną, nic mi o tem nie mówił i trudno to sobie wyobrazić. Ciekaw jestem czy doznał uczucia, że ziemia zapada mu się pod nogami? Chciałbym to wiedzieć! Lecz zapewne zdołał bardzo prędko odzyskać równowagę. Spędził na lądzie całe dwa tygodnie, czekając w Domu marynarzy, a że jednocześnie z nim przebywało tam sześciu czy siedmiu ludzi, miałem o nim trochę informacyj. Obojętna opinja tych ludzi wyrażała się w zdaniu, że w dodatku do innych wad Jim jest posępnym gburem. Spędził te dni na werandzie, zagłębiony w leżaku, i opuszczał swe legowisko tylko w czasie posiłków lub późno w noc, kiedy włóczył się samotnie po bulwarach, oderwany od otoczenia, niepewny i milczący, jak duch pozbawiony domu gdzieby mógł straszyć.

— „Nie przemówiłem pewnie nawet trzech słów do nikogo przez cały ten czas — rzekł, budząc we mnie wielkie współczucie, i dodał natychmiast: — Któryś z tych ludzi byłby napewno rąbnął coś, czego postanowiłem płazem nie puścić, a burdy nie chciałem.

Nie! Wówczas nie. Byłem zanadto — zanadto... Nie miałem na to ochoty“.

— „A więc ta gródź ostatecznie wytrzymała“ — zauważyłem raźno.

— „Tak — mruknął — wytrzymała. A jednak przysięgam panu, że czułem jak mi się wydyma pod ręką.“

— „To nadzwyczajne, jaki napór stare żelastwo może czasem wytrzymać“ — rzekłem. Jim, zagłębiony w swoim fotelu, z wyciągniętemi sztywno nogami i zwieszonemi rękoma, kiwnął lekko głową raz po raz. Nie można było sobie wystawić smutniejszego widoku. Nagle podniósł głowę; wyprostował się; trzepnął się w udo.

— „Co za sposobność przepadła! Mój Boże, co za sposobność!“ — wybuchnął, a dźwięk ostatniego słowa przypominał okrzyk wydarty przez ból.

— Znów milczał i patrzył nieruchomo wdal z namiętną tęsknotą za tą możliwością odznaczenia się, którą stracił; rozdął na chwilę nozdrza, wciągając czarowne tchnienie zmarnowanej okazji. Nie myślcie że mię to zaskoczyło lub przejęło zgorszeniem — byłaby to z waszej strony krzycząca niesprawiedliwość. Jakąż ten młodzik miał bujną wyobraźnię! Zdradzał się przedemną zupełnie; oddawał się w moje ręce. Widziałem w jego wzroku wbitym w noc, jak cała jego dusza porywa się i rzuca naoślep w fantastyczną krainę zuchwałych, bohaterskich rojeń. Nie miał czasu żałować tego co stracił, tak całkowicie i poprostu przejął się tem, czego osiągnąć nie zdołał. Był bardzo daleko odemnie, choć obserwowałem go z odległości trzech stóp. Z każdą chwilą przenikał głębiej w nieprawdopodobny świat romantycznych czynów. Dotarł wreszcie

do jądra tego świata! Dziwna błogość rozlała się po jego rysach, oczy zaiskrzyły mu się w blasku świecy stojącej między nami; uśmiechnął się nawet! Przeniknął do głębi — do samej głębi. Był to uśmiech pełen ekstazy, który nie pojawi się nigdy na mojej twarzy, ani też na waszych, moi drodzy. Ściągnąłem go na ziemię, mówiąc:

— „Pan chce powiedzieć — gdyby pan był został na statku!"

— Zwrócił się ku mnie z nagłem zdumieniem i bólem w oczach, z przelękłą, zdumioną, cierpiącą twarzą; zdawało się że spadł z jakiejś gwiazdy. Ani wy, ani ja, nie spojrzymy tak nigdy na żadnego człowieka. Wstrząsnął się gwałtownie, jakby zimny palec dotknął mu serca. Wreszcie westchnął.

— Nie byłem w miłosiernym nastroju. Ten młodzik drażnił mię biegunowo sprzecznemi zwierzeniami. — „Jaka szkoda, że pan z góry nie wiedział!" — rzekłem z najzłośliwszą intencją; lecz zdradliwy pocisk nie uczynił mu żadnej szkody — opadł u jego stóp jak zbłąkana strzała, a Jim nie pomyślał nawet o podjęciu go. Może go wcale nie zauważył. Rzekł zaraz, wyciągając się wygodnie w fotelu:

— „A, niech to licho! Mówię panu że gródź się wygięła. Podnosiłem lampę wzdłuż kątownika na międzypokładzie, gdy płat rdzy, wielki jak moja dłoń, odpadł sam z siebie od arkusza. — Przesunął ręką po czole. — Ten płat poruszył się i odskoczył jak coś żywego, w chwili gdy na niego patrzyłem."

— „Nie musiało być panu przyjemnie" — zauważyłem niedbale.

— „Sądzi pan że myślałem o sobie, ze stu sześćdziesięciu ludźmi na karku, śpiącymi głęboko na

przednim międzypokładzie — na tylnym było ich więcej, a jeszcze więcej na górnym pokładzie; spali — nie mieli o niczem pojęcia — jedna trzecia tylko mogła się zmieścić w łodziach, nawet gdyby był czas wszystkie spuścić! Myślałem że żelazo pęknie w chwili, gdy tam stałem, że woda wedrze się i zaleje ich tam, gdzie leżeli... Co ja mogłem zrobić — co?“

— Wyobraziłem go sobie z łatwością w tym zaludnionym mroku podobnym do jaskini; blask latarni oświetlał niewielką część grodzi, na której wspierał się całym ciężarem ocean z drugiej strony — a w uszach Jima rozlegał się oddech śpiących, nieświadomych niczego pielgrzymów. Widzę go jak się wpatruje w żelazną ścianę, przerażony spadającą rdzą, przygnieciony świadomością o nieuchronnej śmierci. Było to wówczas — jak sądzę — gdy Jim po raz drugi został wysłany na przód przez swego szypra, który prawdopodobnie chciał go się pozbyć z mostka. Według słów Jima, pierwszym jego odruchem było krzyknąć i sprawić odrazu, że wszyscy ci ludzie wpadną ze snu w przerażenie; ale ogarnęło go tak przemożne poczucie własnej bezsilności, że nie był w stanie wydobyć z siebie żadnego dźwięku. Ludzie pewnie to mają na myśli, mówiąc, iż język przysechł do podniebienia. „Zaschło mi w gardle“, wyraził się Jim, opowiadając o tem. Bez słowa wydostał się na pokład przez pierwszą lukę. Spuszczony żagiel dotknął go przypadkiem; Jim pamiętał iż lekkie muśnięcie płótna po twarzy strąciło go prawie ze schodków.

— Wyznał mi, że kolana trzęsły mu się porządnie, gdy stał na przednim pokładzie, patrząc znowu na śpiący tłum. Maszyny były już wówczas zatrzymane i para uchodziła. Od jej głębokiego dud-

nienia noc wibrowała jak basowa struna. Cały okręt dygotał.

— Jim widział jak tu i ówdzie głowa odrywała się od maty, niewyraźny kształt podnosił się i siadał, nasłuchując sennie przez chwilę, poczem opuszczał się z powrotem między spiętrzone faliście skrzynie, windy parowe, wentylatory. Wiedział, że pielgrzymi zamało się orjentują aby zrozumieć szczególny ów hałas. Żelazny statek, ludzie o białych twarzach, wszystko na co patrzyli, co słyszeli, co działo się na pokładzie, było jednakowo dziwne dla ciemnego i pobożnego tłumu, i równie budzące zaufanie jak niemożliwe do zrozumienia. Mignęło Jimowi przez głowę, iż tak jest lepiej. Ta myśl była wręcz straszliwa.

— Musicie sobie uprzytomnić, że Jim wierzył — tak jak każdy inny wierzyłby na jego miejscu — iż statek pójdzie na dno każdej chwili; wygięte, zżarte przez rdzę arkusze, które powstrzymywały ocean, musiały niechybnie ustąpić — nagle — jak podminowana tama, i wpuścić raptowny, nieodparty zalew. Jim stał bez ruchu, patrząc na te wyciągnięte ciała — skazaniec, świadom swego losu, oglądający niemych, martwych towarzyszy. Byli martwi! Nic ich nie mogło ocalić! Łódki starczyłyby może dla połowy, ale nie było czasu. Nie było czasu! Nie było czasu! Zdawało się że nie warto otworzyć ust, poruszyć ręką lub nogą. Zanim wykrzyknie trzy słowa lub zrobi trzy kroki, będzie się przewalał w morzu pobielałem okropnie od rozpaczliwej walki ludzkich istot, rozbrzmiewającem oszalałemi krzykami o ratunek. Nie było ratunku. Wyobrażał sobie doskonale co nastąpi; przeżył to wszystko w myśli — stojąc nieruchomo u luki z lampą w ręku — aż do najdrobniejszych, dręczących szczegółów. Zdaje

mi się że przeżył to jeszcze raz właśnie wówczas, gdy opowiadał mi rzeczy, których nie mógł opowiedzieć w sądzie.

— „Widziałem — tak jak pana teraz widzę — że nic absolutnie zrobić nie mogę. Zdawało mi się że to poczucie odejmuje mi władzę w członkach. Pomyślałem że wyjdzie na jedno, jeśli będę stał na miejscu i czekał. Sądziłem iż niewiele sekund mi pozostało...“ — Nagle para przestała uchodzić. Jim zauważył, że choć hałas przyprawiał go o szaleństwo, cisza stała się odrazu ciążącą nie do zniesienia.

— „Zdawało mi się że się uduszę, nim woda mnie zaleje“ — rzekł.

— Zapewnił mię iż nie chciał się ratować. Jedna tylko wyraźna myśl to mu przychodziła do głowy, to znikała: ośmiuset ludzi i siedem łodzi; ośmiuset ludzi i siedem łodzi.

— „Ktoś mówił głośno w mojej głowie — rzekł trochę nieprzytomnie. — Ośmiuset ludzi i siedem łodzi — i ani chwili czasu! Niech pan się tylko zastanowi. — Pochylił się ku mnie nad małym stolikiem, a ja usiłowałem uniknąć jego wzroku. — Czy pan myśli że bałem się śmierci? — zapytał bardzo cicho i zapalczywie. Opuścił na stolik otwartą dłoń z taką siłą, że filiżanki od kawy podskoczyły. — Przysięgam że nie — że nie... Nie, na Boga!“ — Wyprostował się i skrzyżował ramiona; głowa mu opadła na piersi.

— Cichy brzęk zastawy dosięgnął nas słabo przez wysokie okna. Rozległ się gwar głosów i kilku ludzi w świetnych humorach wyszło na werandę. Zamieniali żartobliwe uwagi, wspominając osły w Kairze. Kroczący z pyszną miną obieżyświat o czerwonej twarzy żartował z wybladłego, niespokojnego młodziana, stą-

pającego cicho na długich nogach, i wykpiwał jego zakupy w bazarze.

— „Nie, doprawdy — myśli pan że nabrali mię do tego stopnia?“ — dopytywał się młodzian bardzo wolno i poważnie. Szli dalej, rozsiadając się po fotelach; błysnęły zapałki, oświetliły na chwilę twarze bez krzty wyrazu i płaski połysk białych gorsów; gwar licznych rozmów rozgrzanych biesiadowaniem wydał mi się idjotyczny i nieskończenie daleki.

— „Część załogi spała na pokrywie pierwszej luki, na odległość ramienia ode mnie“ — zaczął Jim znowu.

— Trzeba wam wiedzieć, że mieli na tym okręcie wachtę złożoną z Kalaszów; wszyscy majtkowie spali całą noc i w razie potrzeby wzywano tylko wyznaczonych podoficerów i wartowników. Jim miał ochotę chwycić za ramię najbliższego laskara i potrząsnąć nim, ale tego nie zrobił. Coś więziło mu ręce u boków. Nie bał się wcale, o nie! tylko poprostu nie mógł się ruszyć — to wszystko. Może i nie bał się śmierci, ale wiecie co wam powiem? — bał się tego co miało nastąpić. Przeklęta wyobraźnia roztaczała przed nim całą okropność panicznego popłochu: gwałtowny pęd ludzi tratujących wszystko po drodze, żałosne krzyki, tonące łodzie — straszliwe okoliczności, towarzyszące wszelkim katastrofom na morzu, o jakich słyszał kiedykolwiek. Może i był zrezygnowany na śmierć, ale podejrzewam że chciał umierać bez tej strasznej grozy, spokojnie, jakgdyby w cichym transie. Pewna gotowość na śmierć nie jest znów taka wyjątkowa, ale rzadko kiedy spotyka się ludzi, których dusze, zakute w hartowną zbroję postanowienia, są gotowe zmagać się w beznadziejnej walce do ostatka; w miarę jak nadzieja zanika, żądza spokoju staje się coraz silniejsza,

aż wreszcie przezwycięża nawet żądzę życia. Któż z nas tego nie zauważył, lub nie doświadczył choć w części tych uczuć na własnej osobie — niezmiernego znużenia wrażeniami, marności wysiłków, tęsknoty za spoczynkiem? Ci, którzy borykają się ze ślepemi siłami, znają to dobrze: rozbitkowie w łodziach, wędrowcy zagubieni w pustyni, ludzie wojujący z bezmyślną potęgą natury lub głupią brutalnością tłumów.

Rozdział VIII

— Jak długo stał u luki bez ruchu, spodziewając się każdej chwili, że okręt zapadnie mu się pod nogami, a prąd wody zaleje go z tyłu i podrzuci jak wiór — nie umiem tego powiedzieć. Niebardzo długo — może ze dwie minuty. Dwóch mężczyzn, których nie mógł dojrzeć, zaczęło sennie rozmawiać; doszedł go skądciś dziwny odgłos szurających nóg. Ponad temi słabemi dźwiękami wisiała okropna cisza poprzedzająca klęskę, wisiało dręczące milczenie właściwe chwili przed katastrofą. Nagle przyszło Jimowi do głowy, że może zdąży pobiec i poprzecinać wszystkie rejki od łożysk, aby łodzie mogły się utrzymać na powierzchni, gdy okręt pójdzie na dno.

— *Patna* miała długi mostek; wszystkie łodzie były tam na górze, cztery z jednej strony i trzy z drugiej — najmniejsza z nich przy lewej burcie, prawie na jednej linji z osprzętem sterowym. Jim zapewnił mię, niepokojąc się wyraźnie czy mu uwierzę, że przygotował je z największą starannością do natychmiastowego użytku. Znał swoje obowiązki. Sądzę iż pod tym względem był wcale dobrym oficerem. „Uważałem zawsze, że trzeba być przygotowanym na najgorsze“, rzekł, patrząc mi niespokojnie w twarz. Kiwnąłem potakująco głową, zaznaczając że zgadzam się z tą zdrową zasadą, lecz zamknąłem oczy na nieuchwytną ułomność tego człowieka.

— Mówił mi dalej, iż ruszył z miejsca i biegł niepewnie. Musiał przestępować przez nogi, unikać potknięcia się o głowy. Nagle ktoś chwycił go z dołu za kurtkę i zrozpaczony głos przemówił z pod jego łokcia. Jim trzymał w prawej ręce lampę; światło jej padło na zadartą, ciemną twarz, której oczy błagały go razem z głosem. Otrzaskany z językiem krajowców, Jim zrozumiał słowo woda, powtórzone kilkakroć z naciskiem w tonie modlitwy, prawie z rozpaczą. Szarpnął się aby się wyswobodzić i poczuł że czyjeś ramię opasuje mu nogi.

— „Ten drab uczepił się mnie jak tonący — rzekł z przejęciem. — „Woda, woda!“ Jakąż on wodę miał na myśli? Czy on co wiedział? Z całym spokojem, na jaki tylko mogłem się zdobyć, rozkazałem aby mię puścił. Zatrzymywał mię; czas naglił, inni ludzie zaczęli się ruszać; a ja potrzebowałem czasu — czasu aby poprzecinać więzy trzymające łodzie. Chwycił mię teraz za rękę; czułem iż zacznie krzyczeć! Błysnęło mi, że toby wystarczyło dla wywołania paniki; zamachnąłem się wolną ręką i rzuciłem mu lampę w twarz. Szkło brzękło, lampa zagasła, ale to uderzenie sprawiło że mię puścił; uciekłem — chciałem się dostać do łódek; chciałem się dostać do łódek! Skoczył za mną. Rzuciłem się na niego. Nie myślał się uspokoić; usiłował krzyczeć; o mało go nie udusiłem, nim zrozumiałem o co mu chodzi. Chciał trochę wody — wody do picia; wydzielali im skąpe racje, rozumie pan, a on miał z sobą młodego chłopca, którego przedtem kilka razy zauważyłem. Syn jego był chory — i spragniony. Człowiek ów dojrzał mię, gdym go mijał i poprosił o trochę wody. To było wszystko. Staliśmy w ciemności pod mostkiem. Chwytał mię ciągle za ręce; nie było spo-

sobu go się pozbyć. Wpadłem do swojej kabiny, porwałem butelkę z wodą i wetknąłem mu ją do ręki. Znikł. Dopiero wtedy zdałem sobie sprawę, jak bardzo sam byłem spragniony“.

— Jim oparł się na łokciu i ocienił ręką oczy. Czułem jak mi dreszcz zbiega po grzbiecie; w tem wszystkiem było coś szczególnego. Palce ręki osłaniającej mu czoło drżały zlekka. Przerwał krótkie milczenie.

— „Te rzeczy zdarzają się człowiekowi tylko raz w życiu i... Ale co tam! Kiedy wróciłem wreszcie na mostek, tamte draby usiłowały zdjąć łódź z łożyska. Łódź! Wbiegałem właśnie po drabinie, gdy silne uderzenie spadło mi na ramię, o włos od głowy. Nie zatrzymało mnie to, a główny mechanik — wyciągnięto go już podówczas z koi — zamierzył się znowu drążkiem od pokrowca. Byłem tak jakoś usposobiony, że niczemu się nie dziwiłem. Wszystko to wydawało mi się naturalne — i okropne — okropne. Umknąłem się temu nędznemu warjatowi, podniosłem go z pokładu jak piórko, a on zaczął mi szeptać w ramionach:

— „Niech pan mię puści! Myślałem że to nie pan, tylko jeden z tych tam murzynów“.

— Odrzuciłem go precz; potknął się na mostku i zbił z nóg tego małego drugiego mechanika. Szyper, krzątający się koło łodzi, obejrzał się i zaczął iść na mnie ze spuszczoną głową, warcząc niby dzika bestja. Stałem w miejscu jak słup. Anim drgnął — jakbym był o, tem — stuknął z lekka kostkami palców w ścianę koło swego krzesła. — Zdawało mi się, że słyszałem to wszystko, widziałem to wszystko, przeszedłem przez to wszystko już dwadzieścia razy. Nie bałem się ich.

Cofnąłem wyciągniętą pięść, a on zatrzymał się, mrucząc:

— „A, to pan. Prędko, pomagaj pan“.

— „Tak powiedział. Prędko! Jakby szybkość tu mogła coś znaczyć!“

— „A co wy chcecie zrobić?“ — zapytałem.

— „Zwiać“ — warknął przez ramię.

— „Nie zdaje mi się abym wtedy zrozumiał, co szyper miał na myśli. Tamci dwaj dźwignęli się tymczasem na nogi i pobiegli do łódki. Dreptali, sapali, popychali, klęli na łódź, na okręt, na siebie — klęli na mnie. Wszystko szeptem. Nie ruszałem się wcale, nie mówiłem nic. Śledziłem pochylenie statku. Tkwił tak nieruchomo, jakby był osadzony na blokach w suchym doku — tylko że wyglądał tak. — Podniósł rękę dłonią wdół i pochylił palce. — O tak — powtórzył. — Widziałem przed sobą nad dziobem linję widnokręgu jak na dłoni; widziałem hen daleko wodę czarną, i błyszczącą, i cichą — cichą jak staw — śmiertelnie cichą, cichszą niż kiedykolwiek — tak cichą że nie mogłem znieść jej widoku. Czy pan kiedy śledził statek pochylony dziobem wdół, statek, któremu przeszkadza pójść na dno płyta starego żelaza, zżarta przez rdzę do tego stopnia że nie można jej nawet podeprzeć? Był pan kiedy w takiem położeniu? Aha, podeprzeć! Myślałem o tem — o czem ja wówczas nie myślałem; ale czy można podeprzeć gródź w pięć minut — albo chociażby w pięćdziesiąt? Skąd wziąć ludzi, którzyby poszli tam na dół? A drzewo — drzewo? Czy byłby pan miał odwagę zamachnąć się młotem i uderzyć w gródź, gdyby pan przedtem ją widział? Niech pan nie mówi, że tak; nie widział pan jej; niktby się na to nie odważył. Żeby taką rzecz

zrobić, trzeba wierzyć że jest to możliwe, do licha — że jest możliwość choćby jedna na tysiąc, że jest choćby cień nadziei; a temuby pan nie uwierzył. Nikt nie byłby temu uwierzył. Pan mnie uważa za psa, ponieważ tam stałem bez ruchu, ale co pan byłby zrobił? Właśnie! Ani pan, ani nikt tego powiedzieć nie może. Trzeba mieć czas na zastanowienie. Co ja miałem według pana zrobić? Czy miałem dopuścić żeby wszyscy ci ludzie, których przecież sam wyratować nie mogłem, których nic wyratować nie mogło — żeby ci ludzie poszaleli z trwogi? Proszę pana — tak jak tu na tem krześle przed panem siedzę..."

— Dyszał gorączkowo co kilka słów i rzucał na mnie szybko wzrokiem, jakby w udręce badał na mej twarzy wrażenie, które wywierał. Nie mówił do mnie, mówił tylko przede mną, spierał się z jakąś niewidzialną osobistością, wrogim i nieodłącznym wspólnikiem swego istnienia — drugim właścicielem swej duszy. Wynik sporu był poza kompetencją sądu: ten spór o prawdziwą istotę życia, niezmiernie subtelny i doniosły, sędziego nie potrzebował. Jim pragnął sprzymierzeńca, pomocnika, współwinowajcy. Czułem że grozi mi z jego strony podejście, obałamucenie, pułapka, może nawet gwałt, bylem tylko chciał zająć wyraźne stanowisko w sporze niemożliwym do rozstrzygnięcia — gdyż niepodobna było wymierzyć sprawiedliwości wszystkim zjawom gnieżdżącym się w duszy Jima — i szlachetnym, które miały swoje prawa, i niegodnym, które stawiały swoje wymagania. Nie umiem wam wytłumaczyć mych sprzecznych uczuć, wam, którzyście go nie widzieli i słyszycie jego słowa tylko z moich ust. Zdawało mi się że mnie zmuszają do zrozumienia Niepojętego — a nie znam nic, coby

było przykrzejsze od takiego uczucia. Kazano mi oglądać sztuczność czającą się w każdej prawdzie i zasadniczą szczerość fałszu. Jim przemawiał do wszystkich stron mojej duszy — do tej, która jest zawsze zwrócona ku światłu dnia i do tamtego naszego oblicza, co jak druga półkula miesiąca istnieje potajemnie w wiecznym mroku, oświetlona niekiedy z samego brzegu okropnym, szarym blaskiem. Byłem pod wpływem Jima. Przyznaję się do tego, wyznaję to. Jego wypadek jest nieciekawy, błahy — wszystko co chcecie: zgubiony młodzieniec, wśród miljona innych — ale był to jednak jeden z nas; jego przygoda miała równie małe znaczenie jak zatopienie mrowiska, a przecież tajemnicza postawa tego człowieka zaprzątała mię tak bardzo, jakby był jedną z najwybitniejszych jednostek swego rodzaju, jakby niejasna prawda ukryta w jego głębi dość była doniosła, by wpłynąć na wyobrażenie ludzkości o samej sobie...

Marlow zatrzymał się żeby tchnąć życie w zamierające cygaro; zdawało się iż zapomniał doszczętnie o swem opowiadaniu, gdy nagle zaczął znowu:

— Naturalnie że to moja wina. Człowiek nie powinien doprawdy tak się przejmować. To słabość z mej strony. Jego słabość była innego rodzaju. Moja polega na tem, że nie mam dość bystrego wzroku dla rzeczy przypadkowych — zewnętrznych — że nie dostrzegam koszyka gałganiarza lub cienkiej bielizny sąsiada. Stykałem się z tylu ludźmi — ciągnął z przelotnym smutkiem — a stykałem się z nimi z pewnym... pewnym, powiedzmy, rozpędem, tak jak z tym chłopcem naprzykład, i za każdym razem umiałem w nich dostrzec tylko ludzkie stworzenia. Mam jakiś podły, demokratyczny rodzaj wzroku, który może jest lepszy

od zupełnej ślepoty, ale nigdy mi nic z niego nie przyszło — o tem was mogę zapewnić. Ludzie się spodziewają, że się weźmie pod uwagę ich piękną bieliznę. Ale ja nie umiałem nigdy wzbudzić w sobie zachwytu dla rzeczy tego rodzaju. O, to jest wada; to jest wada bezwzględnie. A tu przychodzi taki łagodny wieczór jak dziś; naokoło mnie siedzą ludzie zbyt leniwi aby grać w wista — no i zaczyna się opowiadanie...

Zatrzymał się znów, może czekając na jakąś zachęcającą uwagę, ale nikt się nie odezwał; tylko gospodarz, niby spełniając niechętnie obowiązek, mruknął —

— „Taki jesteś subtelny, Marlow".

— Kto? ja? — rzekł Marlow cichym głosem. — Ach nie! Ale on był subtelny; i choćbym się nie wiem jak starał, aby to opowiadanie dobrze wypadło, uchodzi mi mnóstwo odcieni — takie są delikatne, takie trudne do oddania w bezbarwnych słowach. A Jim komplikował jeszcze sprawę przez to, że był taki prosty — ileż ten nieborak miał prostoty!... Słowo daję, zdumiewał mnie. Siedział tam i mówił, że tak jak go widzę przed sobą, nigdyby się nie uląkł niczego — i wierzył w to w dodatku! Mówię wam, to było bajecznie naiwne — i niesłychane, niesłychane! Obserwowałem go skrycie, zupełnie jakbym go podejrzewał iż chce mię porządnie nabrać. Był przekonany że, mówiąc uczciwie — „uczciwie, rozumie pan!" — niema rzeczy, przed którąby się cofnął. Już kiedy był „o, takim", „zupełnie małym smykiem", przygotowywał się do wszelkich wypadków, które mogą spaść na człowieka na lądzie i morzu. Przyznawał się z dumą do tego rodzaju przezorności. Obmyślał niebezpieczeń-

stwa i obronę przed niemi, spodziewając się najcięższych prób, przeświadczony że się z nich jaknajlepiej wywiąże. Jego życie musiało być ciągłą egzaltacją. Czy to sobie wyobrażacie? Nieustanny szereg przygód, tyle sławy, zwycięski pochód naprzód. A głębokie poczucie własnej roztropności wciąż przenikało mu duszę. — Jim zapamiętał się zupełnie; oczy mu błyszczały; każde słowo zdradzało coraz wyraźniej całą jego niedorzeczność, i serce ciężyło mi coraz dotkliwiej. Nie miałem najmniejszej ochoty do śmiechu; przybrałem niewzruszony wyraz twarzy aby się nawet nie uśmiechnąć. Po Jimie było znać irytację.

— „Zawsze staje się to, czego człowiek nie oczekiwał“ — rzekłem pojednawczym tonem. Moja tępota wyrwała mu pogardliwy wykrzyk: „Et!“ Pewno chciał dać przez to do zrozumienia, że żadna niespodzianka nie wytrąciłaby go z równowagi; chyba tylko coś niepojętego mogłoby zaszachować bezwzględną jego gotowość na wszystko. Został zaskoczony. Mruknął pod nosem przekleństwo na morze i niebo, na statek, na ludzi. Wszystko go zdradziło! Został chytrze wciągnięty w pewnego rodzaju wzniosłą rezygnację, która nie pozwoliła mu nawet ruszyć palcem; a tymczasem tamci, zdający sobie jasno sprawę z położenia, pracowali w pocie czoła nad spuszczeniem łodzi, potrącając się nawzajem. Coś się tam popsuło w ostatniej chwili. Zdaje się że w pośpiechu doprowadzili jakimś dziwnym sposobem do tego, że bolec z przodu łożyska zaciął się na głucho; stracili resztę przytomności wobec tego fatalnego wypadku. Ładny widok musiały przedstawiać te zapamiętałe wysiłki czterech drabów, mozolących się na nieruchomym statku, który unosił się spokojnie na wodzie wśród ciszy śpiącego świata;

starali się wyzyskać każdą chwilę w walce o oswobodzenie tej łodzi; pełzali na czworakach, dźwigali się z rozpaczą i ciągnęli, pchali, warcząc jadowicie na siebie, gotowi zabić, gotowi płakać; od skoczenia sobie nawzajem do gardła powstrzymywał ich tylko strach przed śmiercią, która stała spokojnie nad nimi jak nieugięty dozorca o chłodnem spojrzeniu. O tak! to musiał być piękny widok. Jim widział to wszystko, i mógł o tem mówić z pogardą i goryczą; a był dokładnie o wszystkiem powiadomiony chyba zapomocą szóstego zmysłu, ponieważ przysiągł mi, że trzymał się cały czas na uboczu i nie spojrzał ani razu na nich i na łódź — ani razu. A ja mu wierzyłem. Sądzę że był zbyt pochłonięty śledzeniem niebezpiecznie pochylonego statku — groźbą zagłady odkrytą wśród najzupełniejszego bezpieczeństwa — że urzekł go miecz, wiszący na włosku nad jego romantyczną głową.

— Wszystko było nieruchome przed jego oczami; nic mu nie przeszkadzało sobie wyobrażać, jak ciemny widnokrąg nagle się wzniesie a rozległa morska równina przechyli się w górę; widział szybkie, ciche zbliżanie się przepaści, brutalny jej skok i chwyt, beznadziejną walkę, gasnące światło gwiazd, mrok zwierający się nazawsze nad jego głową, jak sklepienie grobu — bunt swego młodego życia — czarny kres. Wyobrażał sobie to wszystko! Na Boga, ktoby sobie tego nie wyobraził? A trzeba pamiętać, że Jim był skończonym mistrzem w owym szczególnym zakresie, że ten nieborak miał dar szybkiej wizji poprzedzającej wypadki. Widok, który się przed nim roztoczył, obrócił go od stóp do głów w kamień; ale w głowie kłębiły mu się gorączkowe myśli, kulawe, ślepe, nieme myśli — wir okropnych kalek. Czy nie mówiłem wam, że się

przede mną spowiadał, jakbym miał władzę potępić go lub rozgrzeszyć? Rył się w sobie głęboko w nadziei na moje rozgrzeszenie, któreby mu się na nic nie przydało. Był to jeden z tych wypadków, których żaden uroczysty fałsz nie może złagodzić, którym zaradzić nie w ludzkiej jest mocy; sam Stwórca zdaje się grzesznika opuszczać i zostawiać go samemu sobie.

— Jim stał z prawej strony mostka, odsunąwszy się jaknajdalej od walki o łódź, tajemnej niby spisek i toczącej się wśród warjackiego podniecenia. Tymczasem obaj Malaje pozostali u koła, trzymając ręce na szprychach. Wyobraźcie sobie aktorów tego — dzięki Bogu! — wyjątkowego morskiego epizodu; czterech ludzi wprost oszalałych od gwałtownych, skrytych wysiłków, i trzech przypatrujących im się w zupełnym bezruchu — ponad płóciennym dachem, osłaniającym głęboką nieświadomość setek ludzkich istot, wraz z ich znużeniem, marzeniami, nadziejami — istot zatrzymanych przez niewidzialną rękę na skraju zagłady. Bo że tak było, nie mam co do tego żadnych wątpliwości; zważywszy na stan okrętu, uważam ów wypadek za jeden z najgorszych, jakie się mogą wydarzyć. Te draby u łodzi miały aż nadto powodów do warjowania ze strachu. Mówię szczerze; gdybym się tam był znalazł, nie dałbym i złamanego szeląga, że okręt się utrzyma na powierzchni przez następującą sekundę. A jednak unosił się wciąż na wodzie. Przeznaczeniem tych śpiących pielgrzymów było, aby dokonali swej wędrówki — inny jakiś gorzki koniec był im sądzony. Zdawało się, że Wszechpotęga, w której miłosierdzie wierzyli, potrzebując jeszcze przez chwilę ich skromnego świadectwa na ziemi, spojrzała wdół aby dać znak oceanowi: „Niewolno!“ Ocalenie *Patny*

byłoby dla mnie faktem absolutnie niepojętym, gdybym nie wiedział do jakiego stopnia stare żelazo jest czasem wytrzymałe — równie wytrzymałe niekiedy jak duch ludzi, których się spotyka od czasu do czasu, ludzi zużytych do cna lecz dźwigających ciężar życia.

— Jednym z najdziwniejszych objawów w ciągu tych dwudziestu minut było według mnie zachowanie obu sterników. Należeli do gromady przeróżnych krajowców sprowadzonych z Adenu dla zeznań w czasie śledztwa. Jeden z nich, walczący z wielką nieśmiałością, bardzo był młody, a sądząc z jego gładkiej, żółtej, wesołej twarzy, można było myśleć że jest jeszcze młodszy niż w rzeczywistości. Pamiętam doskonale jak Brierly zapytał go przez tłumacza, co myślał w owej chwili, tłumacz zaś, zamieniwszy z nim kilka słów, zwrócił się do sądu z godną miną:

— „Mówi, że nic nie myślał“.

— Drugi sternik o cierpliwych, mrugających oczach, miał na głowie zwiniętą zręcznie niebieską bawełnianą chustę, wyblakłą od prania, z pod której sterczało mnóstwo siwych kosmyków. Twarz jego była pomarszczona, zapadła, ponura a cera brunatna, pociemniała od sieci zmarszczek; wyjaśnił że wiedział, iż coś złego się dzieje ze statkiem, ale nie otrzymał żadnego rozkazu; nie pamiętał aby mu dano jaki rozkaz; dlaczego miał opuścić ster? Przy dalszych pytaniach wyprężył nagłym ruchem chude barki i oświadczył, że mu nawet nie przyszło do głowy, aby biali mogli opuścić okręt ze strachu przed śmiercią. Nawet i teraz w to nie wierzy. Musiały tam być jakieś ukryte przyczyny. Pokiwał znacząco brodą. Aha! ukryte przyczyny. Jest człowiekiem wielce doświadczonym

i chce aby ten biały tuan wiedział — zwrócił się ku Brierly'emu, który nie podniósł głowy — że on, sternik, nabył wiele wiadomości, służąc białym ludziom na morzu przez długie lata. I nagle, trzęsąc się z podniecenia, zaczął sypać przed skupioną uważnie publicznością mnóstwo dziwacznie brzmiących imion, nazwisk umarłych szyprów, nazw zapomnianych statków krajowych, słów o brzmieniu znanem i wypaczonem, jakby ręka niemego czasu ciążyła na nich od wieków. Zatrzymano go wreszcie. Cisza zaległa salę — cisza nie zamącona conajmniej w ciągu minuty, i przeszła stopniowo w głęboki pogwar. Ten epizod zrobił sensację w drugim dniu śledztwa; wywarł wrażenie na publiczności, wywarł wrażenie na wszystkich prócz Jima, który siedział posępnie u końca pierwszej ławki i nie podniósł oczu ani razu na tego niezwykłego i obciążającego świadka, co zdawał się posiadać jakiś tajemniczy system obrony.

— Tedy obaj laskarowie tkwili u koła tego okrętu, którym nie można już było sterować, i śmierćby ich tam zastała, gdyby takie było ich przeznaczenie. Biali nie popatrzyli na nich nawet przelotnie, zapomnieli widać o ich istnieniu. W każdym razie Jim sobie tego nie przypominał. Pamiętał tylko to, że czuł się zupełnie bezsilny — ponieważ był sam jeden. Pozostawało mu tylko zatonąć razem z okrętem. Czy warto było zakłócać ludziom spokój? I poco? Czekał bez słowa, stężały w tej jednej myśli — w pewnego rodzaju bohaterskiej dyskrecji. Pierwszy mechanik przebiegł ostrożnie wpoprzek mostka i pociągnął go za rękaw.

— „Chodź pan i pomóż! Na miłość boską, chodźże pan i pomóż!"

— Pobiegł do łodzi na palcach i wrócił natychmiast żeby ciągnąć znów Jima za rękaw, błagając go i przeklinając zarazem.

— „Zdawało się że gotów mnie całować po rękach — rzekł Jim z wściekłością — a zaraz potem zaczął się pienić i szeptać mi w twarz: „Gdybym miał czas, z rozkoszą bym łeb panu roztrzaskał". Odepchnąłem go. Nagle mnie chwycił za szyję. Uderzyłem go, psiakrew. Biłem gdzie popadło. „Nie chcesz się wyratować — ty piekielny tchórzu?" zaszlochał. Tchórzu! Nazwał mnie piekielnym tchórzem! Ha, ha, ha, ha! Nazwał mię — ha, ha, ha!..."

— Jim rzucił się wtył i dygotał ze śmiechu. Nigdy w życiu nie słyszałem czegoś równie gorzkiego. Ten śmiech padł jak zaraza na paplaninę o osłach, piramidach, bazarach i tak dalej. Wzdłuż całej galerji długiej i ciemnawej głosy przycichły, blade plamy twarzy zwróciły się jednocześnie w naszą stronę i cisza stała się tak głęboka, że jasny dźwięk łyżeczki, padającej na mozaikową posadzkę werandy, zabrzmiał jak wątły, srebrzysty krzyk.

— „Nie powinien pan tak się śmiać, przecież tu pełno ludzi — strofowałem go. — To nieładnie ze względu na nich, pan przecież rozumie".

— Z początku nie było po nim widać czy mię usłyszał, ale po chwili mruknął niedbale, patrząc mimo mnie wzrokiem, który zdawał się przenikać wgłąb jakiegoś straszliwego zjawiska:

— „Ach, pomyślą że jestem pijany."

— Sądząc po jego wyglądzie, można było przypuszczać, że nigdy nie wyrzeknie już ani słowa. Ale gdzieżtam! Nie mógł już teraz przestać mówić, tak jakby nie mógł przestać żyć przez sam wysiłek woli.

Rozdział IX

— „Mówiłem w myśli: toń, przeklęty! toń!“ — To były słowa, od których rozpoczął na nowo. Pragnął, żeby to się już raz skończyło. Zostawiono go w zupełnym spokoju i zwracał się tak w duszy do statku, złorzecząc mu, a jednocześnie miał przywilej oglądania scen — o ile mogę sądzić — jakby wyjętych z nędznej komedji. Mordowali się wciąż nad tym bolcem. Szyper rozkazywał:

— „Wleźcie podspód i starajcie się łódź podnieść“; tamci naturalnie nie chcieli. Rozumiecie — nie byłoby przyjemnie dać się zaskoczyć, leżąc napłask pod kilem łodzi, w razie gdyby okręt poszedł nagle na dno.

— „A czemu pan nie wlezie? pan jest najsilniejszy“ — zaskomlał mały maszynista.

— „Gott-for-dam! Jestem za gruby“ — wykrztusił szyper z rozpaczą. Takie to było zabawne, że człowiek mógł umrzeć ze śmiechu. Stali przez chwilę bezczynnie; nagle główny mechanik podbiegł znów do Jima.

— „Chodźże i pomóż, człowieku! Czyś oszalał, żeby odrzucać jedyny ratunek? Ruszże się i pomóż! Człowieku! Patrz, tam, patrz!“

— Jim zwrócił się wreszcie w stronę rufy, gdzie tamten wskazywał z uporem manjaka. Ujrzał niemy, czarny szkwał, który już był pożarł jedną trzecią nieba. Wiecie, jak te szkwały pojawiają się w tamtych stro-

nach o tej porze roku. Naprzód ściemnia się tylko widnokrąg; potem wznosi się chmura, nieprzenikniona jak ściana. Prosta krawędź mgły, obrzeżona mdłym, białawym połyskiem, nadbiega z południo-zachodu, połykając gwiazdy całemi konstelacjami; jej cień pędzi po wodzie i stapia morze z niebem w jedną otchłań ciemności. A wszędzie jest cicho. Ani grzmotów, ani wiatru, ani najlżejszego szmeru; błyskawic ni śladu. Potem w mrocznej nieskończoności pojawia się siny łuk; przebiegają nieliczne fale, które są niby rozkołysaną ciemnością, i nagle wicher i deszcz uderzają ze szczególnym impetem, jakby się przedarły przez jakąś twardą zaporę. Taka właśnie chmura zjawiła się podczas gdy patrzyli. Tamci dopiero co ją spostrzegli i przypuszczali z całem prawdopodobieństwem, że o ile w zupełnej ciszy *Patna* mogłaby jeszcze utrzymać się na wodzie przez parę minut, o tyle najlżejsze wzburzenie morza oznaczałoby natychmiastową jej zgubę. Pierwsze pochylenie statku na fali, która poprzedza wybuch takiego szkwału, byłoby także ostatniem; *Patna* zanurzyłaby się, a potem dałaby długiego, długiego nurka w dół — aż do samego dna. Stąd pochodził nowy napad strachu tych drabów, stąd ponowne błazeńskie wybryki, w których przejawiała się niezmierna odraza do śmierci.

— „Było czarno, czarno — ciągnął Jim z posępnym spokojem. — Zakradło się to na nas ztyłu. Piekielna zmora! W głębi ducha musiałem mieć jeszcze trochę nadziei. Nie wiem. Ale teraz już wszystko przepadło. Ogarnął mię szał, gdy poczułem że jestem przyłapany. Wściekałem się, jakbym wpadł w potrzask. Znalazłem się doprawdy w potrzasku! Pamiętam też że noc była parna, bez najlżejszego powiewu.

— Pamiętał tak dobrze, iż dyszał, siedząc na krześle, iż zdawał się oblewać potem i dusić w mych oczach. Doprowadzało go to do szału, powaliło go znów — że się tak wyrażę — ale przywiodło mu na myśl ową ważną przyczynę, która kazała mu pobiec na mostek i wyszła mu natychmiast z pamięci. Chciał przecież poprzecinać więzy umacniające łodzie ratunkowe. Wyrwał z kieszeni nóż i zaczął ciąć, jakby nie widział nic, nie słyszał nic, nie znał nikogo na statku. Pomyśleli że jest beznadziejnie uparty i narwany, ale nie śmieli się głośno sprzeciwiać tej bezużytecznej stracie czasu. Kiedy skończył, wrócił na to samo miejsce, gdzie był przedtem. Zastał tam głównego mechanika, który wpił mu się w ramię, szepcząc tuż przy jego głowie, jakby chciał ugryźć go w ucho:

— „Kiepski durniu! Myślisz że będzie choć cień nadziei, kiedy te wszystkie bestje znajdą się w wodzie? Przecież jak nic roztrzaskają ci głowę z tych właśnie łódek!"

— Łamał ręce u boku Jima, który nie zwracał na niego żadnej uwagi. Szyper suwał nerwowo nogami w miejscu i miamlał: „Młotek! młotek! Mein Gott! Przynieście młotek".

— Mały mechanik zaszlochał jak dziecko, ale mimo wszystko, mimo złamanej ręki, okazał się najmniejszym tchórzem z nich wszystkich; zdobył się rzeczywiście na odwagę i pobiegł do maszynowni aby wykonać zlecenie. Nie była to fraszka, co trzeba przyznać bezstronnie. Według słów Jima rozejrzał się przedtem rozpaczliwie, jak człowiek osaczony, zajęczał żałośnie i poleciał. W mig był z powrotem, wbiegł po drabinie z młotkiem w ręku i rzucił się odrazu na ten bolec. Tamci odbiegli Jima natychmiast, aby mu pomóc. Jim

słyszał stukanie młotka, a potem odgłos spadającego bolca. Łódź była wolna. Dopiero wtedy odwrócił się aby spojrzeć — dopiero wtedy. Ale trzymał się zdaleka — trzymał się wciąż zdaleka. Chciał abym wiedział, że trzymał się wciąż zdaleka, że nie było nic wspólnego między nim a tamtymi ludźmi — którzy mieli młotek. Nic a nic! Jest bardziej niż prawdopodobne, że uważał się za odciętego od nich nieprzebytą zaporą, przeszkodą nie do pokonania, przepaścią bez dna. Nie mógł się od nich jeszcze dalej odsunąć — dzieliła ich cała szerokość statku.

— Nogi Jima jakgdyby wrosły w to odległe miejsce, a oczy były przykute do niewyraźnej grupy tamtych ludzi, pochylonych w jedną stronę i miotających się dziwacznie we wspólnych katuszach strachu. Ręczna lampa, przywiązana do słupka nad stolikiem ustawionym na mostku — *Patna* nie miała kajuty nawigacyjnej na śródokręciu — rzucała światło na ich wyprężone ramiona, na wygięte w kabłąk, drgające plecy. Pchali łódź od dziobu; pchali ją w noc; pchali i już nie myśleli oglądać się na Jima. Machnęli na niego ręką, jakby doprawdy był zbyt odległy, zbyt beznadziejnie od nich odcięty, aby zasługiwał na życzliwe słowo, znak, lub spojrzenie. Nie mieli czasu oglądać się na jego bierne bohaterstwo ani czuć żądło jego powściągliwości. Łódź była ciężka; pchali od dziobu, nie tracąc ani jednego oddechu na zachęcające słowo, lecz paroksyzm strachu, który zmiótł ich panowanie nad sobą jak wicher plewy, uczynił z tych rozpaczliwych wysiłków śmieszne błazeństwo, odpowiednie — daję słowo — dla klownów wygłupiających się w cyrku. Pchali rękami, nogami, chodziło przecież o życie, pchali całym ciężarem ciała, całą mocą swych dusz — ale

skoro im się tylko udało odwrócić dziób ku morzu, przestawali pchać jak jeden mąż i gramolili się do łodzi niby szaleni. Naturalnym tego skutkiem było, że łódź cofała się nagle, odtrącając ich wtył, bezradnych i przewracających się na siebie. Stali przez chwilę zbici z tropu, wymyślając sobie w dzikich szeptach najohydniejszemi wyzwiskami, jakie sobie tylko mogli przypomnieć i zaczynali na nowo. Powtórzyło się to trzy razy. Jim opisywał mi wszystko z ponurą dokładnością. Nie uszedł mu ani jeden ruch z tych śmiesznych wysiłków.

— „Brzydziłem się nimi. Nienawidziłem ich. Musiałem na to wszystko patrzeć“ — rzekł z prostotą, zwracając na mnie mroczne, czujne spojrzenie. — Czy był kto kiedy poddany takiej haniebnej próbie!“

— Przytknął na chwilę ręce do głowy, jak człowiek doprowadzony do szału przez jakąś niesłychaną obelgę. Tych rzeczy nie mógł wyjaśnić sądowi — a i mnie nawet; ale nie byłbym człowiekiem odpowiednim do słuchania jego zwierzeń, gdybym nie rozumiał od czasu do czasu pauz między jego słowami. W tym ataku na siłę jego ducha była szydercza celowość jakiejś złośliwej, nikczemnej zemsty; w jego męczarni było coś groteskowego — jakby los chciał go poniżyć, strojąc przed nim dziwaczne miny wobec zbliżającej się śmierci lub niesławy.

— Faktów, które opowiadał, nie zapomniałem, lecz z tej odległości czasu nie mógłbym podać ściśle jego słów; pamiętam tylko, że umiał zdumiewająco przelać głuchą urazę swej duszy w nagi opis wypadków. Dwakroć — jak mi mówił — zamykał oczy w przekonaniu że koniec już nadszedł, i dwakroć musiał je znowu otworzyć. Za każdym razem zauważył ściemnia-

nie się wielkiej ciszy. Cień milczącej chmury padał już na okręt z zenitu, i rzekłbyś zdławił na nim wszelkie dźwięki różnorodnego życia. Jim nie słyszał już głosów pod zasłoną. Powiedział mi, że gdy tylko zamykał oczy, błysk myśli ukazywał mu z niesłychaną wyrazistością tłum ciał wydanych śmierci. Kiedy znów oczy otworzył, widział mętnie walkę czterech ludzi, którzy zmagali się jak szaleni z upartą łodzią.

— „Odskakiwali od niej raz po raz, stali, besztając się nawzajem, i potem nagle rzucali się znów na nią gromadnie... Można było umrzeć ze śmiechu — zauważył ze spuszczonemi oczami, poczem je podniósł na chwilę ze złowieszczym uśmiechem: — Powinno to być dla mnie źródłem wesołości na całe życie, jak mi Bóg miły! bo ten śmieszny widok nawiedzi mię jeszcze nieraz przed śmiercią. — Spuścił znów oczy. — Widzę to i słyszę... Widzę to i słyszę“ — powtórzył po długiej przerwie, podczas której patrzył bezmyślnie przed siebie.

— Ocknął się.

— „Postanowiłem że oczu nie otworzę — rzekł — i nie mogłem wytrzymać. Nie mogłem, i wszystko mi jedno czy kto wie o tem. Niech przejdą przez coś podobnego, nim zaczną mnie sądzić. Niech przejdą przez to i spiszą się lepiej — nic więcej nie żądam. Za drugim razem otworzyłem w mig oczy a także i usta. Poczułem że statek się rusza. Pochylił lekko dziób — i podnosił go ostrożnie — powoli — trwało to całą wieczność. Nie zdarzyło się to statkowi od wielu dni. Chmura popędziła naprzód, i pierwsza fala zdawała się wędrować po morzu z ołowiu. Nie było życia w tym ruchu, a jednak zdołał przewrócić coś w mojej głowie. Co byłby pan zrobił? Pan jest siebie

pewien — prawda? Coby pan zrobił teraz — w tej oto minucie — gdyby pan poczuł że ten tu dom się chwieje — że zachwiał się leciutko pod pańskiem krzesłem? Skoczyłby pan! Na Boga! Dałby pan susa z miejsca gdzie pan siedzi, i wylądowałby pan o tam, w tej kępie krzaków".

— Wyciągnął szybko rękę ku nocy za kamienną balustradą. Siedziałem bez ruchu. Patrzył na mnie bardzo spokojnie i bardzo surowo. To było jasne: chciał mię steroryzować; musiałem siedzieć bez ruchu, aby się nie dać pobudzić do jakiegoś niewczesnego gestu lub słowa, któreby mogło zaważyć na tej sprawie. Nie chciało mi się czegoś podobnego ryzykować. Pamiętajcie iż miałem go przed oczami i doprawdy — tak nas wszystkich przypominał, że był niebezpieczny. A jeśli chcecie wiedzieć, powiem wam chętnie że zmierzyłem szybkiem spojrzeniem odległość, dzielącą mię od ciemnej plamy przed werandą na środku trawnika. Jim przesadzał. Byłbym wyskoczył o kilka stóp bliżej — to jedyna rzecz, której jestem zupełnie pewien.

— Myślał że nadeszła ostatnia chwila, a jednak nie ruszał się wcale. Nogi jego były wciąż przyrośnięte do desek, choć myśli kłębiły mu się w głowie. A przytem właśnie w tej chwili spostrzegł, że jeden z ludzi przy łódce odstąpił nagle wtył, chwycił wyciągniętemi rękami powietrze, zachwiał się i osunął. Nie upadł właściwie, tylko siadł powolutku, skurczony, z plecami opartemi o bok luki od maszynowni.

— „Taki wynędzniały człeczyna o wybladłej twarzy i strzępiastych wąsach. Pełnił funkcje trzeciego mechanika" — wyjaśnił Jim.

— „Umarł — wtrąciłem. — Słyszeliśmy coś o tem w sądzie".

— „Tak mówią — wyrzekł z ponurą obojętnością. — Nic o tem naturalnie nie wiedziałem. Miał słabe serce. Skarżył się już jakiś czas przedtem, że źle się czuje. Był wzburzony — spracował się przy tej łodzi. Djabli go wiedzą. Ha, ha, ha! Jasne było, że nie chciał jednak umierać. Zabawne, prawda? Słowo daję, naciągnęli go poprostu na samobójstwo. Naciągnęli go — ni mniej ni więcej. Naciągnęli go na to, dla Boga! tak jak mnie... Ach! gdybyż był się spokojnie zachował; gdybyż był ich posłał do djabła, kiedy przyszli go wyrwać z koi, wówczas jak statek tonął! Gdybyż był stał na boku i wymyślał im z rękami w kieszeniach!“.

— Zerwał się, potrząsnął pięścią, popatrzył mi w oczy i siadł z powrotem.

— „Stracona okazja, co?“ — szepnąłem.

— „Dlaczego pan się nie śmieje? — rzekł. — To kawał który wylągł się w piekle. Słabe serce! Żałuję czasem, że moje serce nie było słabe“.

— To mnie podrażniło.

— „Żałuje pan?“ — wykrzyknąłem z głęboką ironją.

— „Tak! czy pan tego nie rozumie?“ — zawołał.

— „Czegoż to pan jeszcze będzie żałował!“ — rzekłem gniewnie. Spojrzał na mnie, nie rozumiejąc wcale o co mi chodzi. Ten pocisk minął go także, a Jim nie był człowiekiem, któryby się troszczył o zbłąkane strzały. Słowo daję, zamało był podejrzliwy; partja nie była równa. Cieszyłem się że mój pocisk się zmarnował — że Jim nie słyszał nawet dźwięku cięciwy.

— Oczywiście nie mógł wówczas wiedzieć, że tamten człowiek nie żyje. Następna minuta — ostatnia minuta Jima na pokładzie — kłębiła się od wypadków i uczuć, które biły w niego jak morze w skałę. Uży-

wam rozmyślnie tego porównania, ponieważ, opierając się na jego relacji, muszę wierzyć, że zachował przez cały ten czas dziwne złudzenie bierności, jakby sam nie był czynny, jakby uległ władzy piekielnych sił, które wybrały go na ofiarę swego żartu. Pierwszą rzeczą, z jakiej sobie zdał sprawę, był zgrzyt ciężkich żórawików, które się wreszcie obróciły za burtę — a hałas ten zdawał się przenikać z pokładu przez podeszwy do jego ciała i wędrować w górę po grzbiecie aż do ciemienia. Potem, gdy szkwał prawie minął, druga, cięższa fala podniosła bierny kadłub wśród groźnego kołysania, które zaparło oddech Jimowi, a jednocześnie paniczne krzyki przebiły mu jak miecz umysł i serce:

— „Puszczajcie! Na miły Bóg, puszczajcie! Puszczać! Statek tonie!"

— Zaraz potem liny przesunęły się po zgrzytających blokach a pod płóciennym dachem sporo ludzi zaczęło mówić przerażonemi głosami. „Kiedy te łotry się rozwrzeszczały, byłyby mogły zbudzić umarłych", rzekł Jim. Bezpośrednio po plusku łodzi, rzuconej dosłownie w morze, rozległy się głuche odgłosy gramolenia się w niej i tupania, pomięszane z niewyraźnemi krzykami:

— „Odczepić! Odczepić! Pchnąć! Odczepić! Pchajcie! na miłość boską! szkwał nadciąga!..."

— Jim usłyszał wysoko nad głową słaby szum wiatru i bolesny jęk gdzieś wdole. Jakiś głos zagubiony za burtą jął przeklinać hak od łańcucha. Okręt zaczął brzęczeć na przodzie i rufie jak podrażniony ul; Jim, opowiadając mi to wszystko spokojnie — miał właśnie wtedy bardzo opanowaną twarz, i głos, i postawę — rzekł zupełnie niespodziewanie:

— „Potknąłem się o jego nogi“.

— Pierwszy raz wówczas usłyszałem, że się wogóle poruszył. Nie mogłem wstrzymać pomruku zdziwienia. Coś wreszcie wysadziło go z miejsca, ale o tej przełomowej chwili, o przyczynie, która go wyciągnęła z bezruchu, nie wiedział więcej niż wyrwane drzewo o wietrze, co je powalił. Wszystko sprzysięgło się przeciw Jimowi — dźwięki, obrazy, nogi tamtego trupa — na Boga! Szatańska ręka wciskała mu do gardła piekielny żart, ale — zważcie na to — Jim twierdził stanowczo, że nie zrobił żadnego wysiłku aby go przełknąć. To nadzwyczajne, jaką on miał moc narzucania człowiekowi swych złudzeń. Słuchałem go, jakby opowiadał o martwym człowieku, wydanym na łup praktykom czarnej magji.

— „Mechanik przewrócił się na bok bardzo wolno, i to jest ostatnia rzecz, którą sobie przypominam z pokładu — ciągnął dalej. — Wszystko mi było jedno, co ten człowiek robi. Wyglądało to jakby wstawał, i myślałem naturalnie że wstaje; spodziewałem się że skoczy koło mnie przez poręcz i wpadnie do łodzi za innymi. Słyszałem ich tłukących się tam w dole; rozległ się głos, niby pocisk: „Jerzy!“ Potem trzy głosy krzyknęły razem. Każdy z nich doszedł mnie oddzielnie: jeden beczał, drugi wrzeszczał, trzeci wył. Brrr! — Jim wstrząsnął się lekko; zobaczyłem że się zwolna podnosi, jakby jakaś spokojna ręka wyciągała go z krzesła za włosy. Do góry, powoli — póki nie wyprostował się w całej wysokości, a gdy jego kolana się wyprężyły, ręka puściła go i zachwiał się trochę na nogach. Była jakby okropna cisza w jego twarzy, w jego ruchach, nawet w jego głosie, kiedy mówił: „Krzyknęli“ — i mimowoli nadstawiłem uszu aby pochwycić widmo

tego krzyku, który się rozlegnie natychmiast poprzez złudne wrażenie ciszy.

— „Było ośmiuset ludzi na tym statku — rzekł, przykuwając mię do krzesła okropnem spojrzeniem bez wyrazu. — Ośmiuset żywych ludzi, a oni krzyczeli na tego jednego, martwego, żeby skoczył i wyratował się. „Skacz, Jerzy! Skacz! Dalej! skacz!“ Stałem u burty z ręką na żórawiku. Byłem bardzo spokojny. Noc stała się jak atrament. Nie było widać ani nieba, ani morza. Słyszałem łódź, obijającą się o burtę, stuk, stuk; żaden inny odgłos nie dochodził z dołu przez chwilę, lecz statek pełen był gwaru. Nagle szyper zawył: „Mein Gott! Szkwał! Szkwał! Odepchnąć łódź!“ Gdy deszcz zaczął szumieć i zerwał się wiatr, wrzasnęli znowu: „Skacz, Jerzy! Złapiemy ciebie! Skacz!“ Okręt zaczął się powoli zanurzać; deszcz przewalał się po nim jak wzburzone morze; czapka zleciała mi z głowy; wpierało mi oddech do gardła. Usłyszałem — jakbym stał na szczycie wieży — jeszcze jeden dziki wrzask: „Je-e-e-rzy! No, skaczże!“ Statek zanurzał się coraz głębiej — dziobem naprzód — pode mną...“

— Podniósł zwolna rękę do twarzy i zdejmował z niej coś palcami, jakby go oblazła pajęczyna, a potem patrzył na swoją otwartą dłoń przez całe pół sekundy, zanim mu się wyrwało:

— „Skoczyłem... — Zatrzymał się, odwrócił wzrok... — Jak się zdaje“ — dodał.

— Jasnoniebieskie oczy Jima spojrzały na mnie żałośnie; stał przede mną niemy i obolały, a ja czułem że mię przygniata smutne poczucie bezsilnej, zrezygnowanej mądrości wraz z głęboką litością starca, który patrzy na dziecięcą klęskę, bezradny i ubawiony.

— „Na to wygląda“ — mruknąłem.

— „Nie miałem o tem pojęcia, pókim nie spojrzał w górę“ — wyjaśnił spiesznie. I to jest także możliwe. Musiało się go słuchać, jakby był małym, strapionym chłopczykiem. Nie miał pojęcia, że skacze. To się tak jakoś stało. To się nigdy już nie powtórzy. Upadł połową ciała na kogoś i rozciągnął się wpoprzek ławki. Zdawało mu się że chyba wszystkie żebra z lewej strony ma połamane. Przekręcił się; zobaczył niewyraźnie okręt, z którego uciekł, wznoszący się nad nim, i czerwone boczne światło jaśniejące jak duży krąg wśród deszczu, jak ognisko na szczycie wzgórza widziane przez mgłę.

— „Statek wydał mi się wyższy od muru; majaczył jak skała nad łódką... Zapragnąłem umrzeć! — krzyknął. — Nie mogłem już stamtąd wrócić. Było to jakbym skoczył w studnię — w przepaść bez dna“...

Rozdział X

— Splótł palce i rozplótł je znowu. Była to najprawdziwsza prawda: skoczył istotnie w dziurę bez dna. Spadł z wysokości, na którą nigdy się już wedrzeć nie zdoła. Tymczasem łódź minęła dziób *Patny*. Zbyt wielka ciemność nie pozwalała im się widzieć nawzajem, a przytem byli oślepieni i nawpół zatopieni przez ulewę. Jim mówił mi, że to robiło takie wrażenie, jakby prąd ich niósł przez pieczarę. Zwrócili się plecami do deszczu: jak się zdaje, szyper zanurzył wiosło za rufą aby utrzymać łódź dziobem na wiatr, i przez dwie lub trzy minuty zdawało się że nadszedł koniec świata, że potop zalał całą ziemię wśród czarnego mroku. Morze ryczało jak „dwadzieścia tysięcy kotłów“. To jest porównanie Jima, nie moje. Wyobrażam sobie że wiatr dął gwałtownie tylko z początku; Jim przyznał sam na śledztwie, iż owej nocy morze niezbyt było wzburzone. Przykucnął w dziobie łodzi i obejrzał się ukradkiem. Dostrzegł wysoko w górze jeden jedyny żółty błysk światła na maszcie, zamglony jak gasnąca gwiazda.

— „Przeraziłem się, że go jeszcze tam widzę“ — rzekł. Tak właśnie powiedział. Przeraziła go myśl, że statek jeszcze nie zatonął. Widać pragnął aby ta ohyda skończyła się jaknajprędzej. Nikt w łodzi się nie odzywał. Wśród ciemności zdawało się że pędzą, lecz

naturalnie niedaleko musieli odpłynąć. Wkrótce ulewa pognała naprzód, a potężny, oszałamiający syk wionął za deszczem i zamarł. Nic już nie było słychać prócz wody pluszczącej zlekka o burtę. Czyjeś zęby zaszczękały gwałtownie. Jakaś ręka dotknęła pleców Jima. Słaby głos zapytał: „Jesteś tu?“ Ktoś inny wykrzyknął dygocącym głosem: „Zatonął!“ i wszyscy razem podnieśli się aby spojrzeć na rufę. Nie zobaczyli świateł. Wszystko było czarne. Drobny, zimny kapuśniaczek ciął ich w twarz. Łódź przechyliła się lekko. Szczęk zębów rozlegał się coraz gwałtowniej, potem ustał i powtórzył się jeszcze dwa razy, zanim człowiek dzwoniący zębami zdołał opanować dreszcze i wyrzec: „W sa-sa-mą po-po-porę... Brr.“ Jim poznał głos pierwszego mechanika, który ciągnął dalej zgryźliwie: „Widziałem jak tonął. Akurat wtedy się odwróciłem“.

— Wiatr ucichł prawie zupełnie. Nasłuchiwali w ciemności z głowami nawpół zwróconemi w stronę wiatru, jakby spodziewając się że usłyszą krzyki. Z początku Jim czuł wdzięczność dla nocy, która zakryła tę scenę przed jego wzrokiem, lecz potem wydało mu się szczytem straszliwego nieszczęścia, że wie o wszystkiem, a jednak nic zobaczyć ani usłyszeć nie może.

— „Czy to nie dziwne?“ — szepnął, przerywając swą bezładną opowieść.

— Nie wydało mi się to wcale dziwne. Jim musiał mieć podświadome przekonanie, iż rzeczywistość ani w połowie nie może być taka zła, taka dręcząca, straszna i mściwa jak okropności stworzone przez jego wyobraźnię. Sądzę że w tej pierwszej chwili serce jego przebiły wszystkie cierpienia — dusza zakosztowała wszystkich przerażeń, i trwóg, i rozpaczy, jakich mogło doznawać osiemset ludzkich stworzeń zaskoczonych

w nocy przez nagłą i gwałtowną śmierć — bo inaczej nie rozumiałbym tych jego słów:

— „Zdawało mi się, że wyskoczę z tej przeklętej łodzi i popłynę z powrotem aby widzieć — pół mili — więcej — ile będzie trzeba — aż na to samo miejsce...“ Skąd ten poryw? Czy rozumiecie jego znaczenie? Dlaczegoby Jim miał płynąć z powrotem tam na miejsce? Dlaczego nie chciał się utopić tuż przy łodzi — jeśli zamierzał to zrobić? Czemu się rwał tam z powrotem — aby widzieć — jakgdyby jego wyobraźnia chciała znaleźć ulgę w pewności, że wszystko już się skończyło — zanim śmierć przyniesie ukojenie? Żaden z was nie wyjaśni mi tego inaczej. Była to niezwykła rewelacja — i znowu się ujawniła niby dziwaczny, pasjonujący widok przez mgłę. A wymknęło się to Jimowi jak rzecz najnaturalniejsza pod słońcem. Dalej mówił, że zapanował nad swym porywem i uświadomił sobie wówczas otaczającą ich ciszę morza i nieba, które się stopiły w jeden nieokreślony bezkres głuchy jak śmierć — wokół tych ocalonych, tętniących życiem ludzi.

— „Można było usłyszeć szpilkę padającą na dno łódki — rzekł Jim z dziwacznie wykrzywionemi ustami, jak człowiek który usiłuje poskromić swoją wrażliwość, w chwili gdy opowiada o czemś niezmiernie wzruszającem. Otaczała ich cisza. Jeden Bóg — który chciał mieć Jima takim, jakim go stworzył — wie, co ten człowiek myślał w głębi serca. — Nie wyobrażałem sobie aby gdziekolwiek na ziemi mogło być tak cicho — powiedział. — Nie odróżniało się morza od nieba; nie było nic widać ani słychać. Żadnego przebłysku, żadnego kształtu, żadnego dźwięku. Można było uwierzyć że cały ląd naokoluteńko poszedł na

dno; że wszyscy ludzie zatonęli, prócz mnie i tych kanalij w lodzi. — Oparł się o stół knykciami wśród filiżanek do kawy, kieliszków, wypalonych cygar i mówił dalej. — Zdawało mi się że w to wierzę. Wszystko przepadło — było po wszystkiem... i po mnie."

Marlow wyprostował się nagle i odrzucił cygaro z rozmachem. Mignęło, wlokąc za sobą czerwony ślad, jak dziecinna rakieta puszczona przez zasłonę z pnączy. Nikt się nie poruszył.

— No i co wy o tem myślicie? — zawołał z nagłem ożywieniem. — Powiedzcie sami, czyż to nie było do niego podobne? Jego ocalone życie przepadło; zabrakło mu gruntu pod nogami, oczy jego nie miały na co patrzeć, uszy nie miały czego słuchać. Zupełnie unicestwienie — co? A naokoło wciąż tylko niebo zakryte chmurami, morze bez fal, nieruchome powietrze. Tylko noc; tylko milczenie.

— Trwało to przez jakiś czas, a potem wszyscy naraz zaczęli hałaśliwie rozprawiać o swem ocaleniu.

— „Wiedziałem odrazu że zatonie".

— „Umknęliśmy w ostatniej chwili!"

— „Udało się nam, do jasnej cholery!"

— Jim nic nie mówił, lecz wiatr, który był ucichł, powiał znów łagodnie i wzmagał się stopniowo, a morze dołączyło swój szemrzący głos do wybuchu gadatliwości, który nastąpił po niemych chwilach grozy. Zatonął! Zatonął! To było pewne. I nikt nie mógł temu zaradzić. Powtarzali wciąż raz po raz te same słowa, jakby się nie mogli zatrzymać. Nie wątpili ani przez chwilę, że statek zatonie. Światła zgasły. Z największą pewnością — światła zgasły! Nic innego nie można się było spodziewać. *Patna* musiała zatonąć. Jim zauważył iż rozmawiali o tem, jakby byli zosta-

wili za sobą pusty statek. Doszli do wniosku że to nie mogło trwać długo, kiedy się raz zaczęło. Ta myśl zdawała się im sprawiać pewną przyjemność. Zapewniali jeden drugiego, że to trwać długo nie mogło: — „Poszedł na dno jak kamień.“ Główny mechanik oświadczył, że w chwili zatonięcia światło na maszcie opadło, „jakby ktoś rzucił palącą się zapałkę“. Na to drugi mechanik zaśmiał się histerycznie: „To dobrze, to dobrze.“

— „Zęby jego zaszczękały jak grzechotka — rzekł Jim — a potem naraz zaczął płakać. Mazgaił się i szlochał jak dziecko, chwytając oddech i łkając: „O Jezu, Jezu, o Jezu!“ Przez chwilę siedział cicho, i nagle znów zaczynał: „O moja biedna ręka! O moja biedna ręka!“ Miałem ochotę go trzasnąć. Dwu z nich siedziało w rufie. Ledwie mogłem dostrzec ich cienie. Pomruk głosów dochodził mnie niewyraźnie. Wszystko to było bardzo ciężkie do zniesienia. W dodatku było mi zimno. I nic zrobić nie mogłem. Pomyślałem, że jeśli się ruszę, przyjdzie mi skoczyć za burtę i...“

— Ręka Jima sunąca ukradkiem zetknęła się z kieliszkiem od likieru; cofnął ją nagle, jakby dotknął rozżarzonego węgla. Posunąłem lekko butelkę.

— „Pozwoli pan jeszcze likieru?“ — zapytałem. Spojrzał na mnie z gniewem.

— „Czy pan myśli że muszę się podniecić, aby panu powiedzieć co mam do powiedzenia?“ — zapytał. Banda obieżyświatów poszła już spać. Byliśmy sami, tylko w cieniu stała jakaś biała, niewyraźna postać, która pod moim wzrokiem pochyliła się naprzód, zawahała i milcząc, opuściła werandę. Robiło się późno, lecz nie wspomniałem o tem swemu gościowi.

— Wśród swej rozterki usłyszał, że jego towa-

rzysze zaczynają komuś wymyślać. „Co ci przeszkadzało skoczyć, ty warjacie?“ rzekł gderliwy głos. Główny mechanik opuścił rufę i słychać go było gramolącego się ku przodowi, jakby żywił złe zamiary względem „największego idjoty na świecie“. Szyper wykrzykiwał obelgi chrypliwym, wysilonym głosem, z miejsca gdzie siedział przy wiosłach. Jim podniósł głowę na ten hałas i usłyszał że wołają: „Jerzy“, a jednocześnie czyjaś ręka uderzyła go w piersi. „Co powiesz na swoje usprawiedliwienie, ty durniu?“ zapytał ktoś z pewnego rodzaju szlachetnem oburzeniem.

— „Napadli na mnie wszyscy — mówił Jim. — Wymyślali mi — wymyślali... nazywając mię Jerzym. — Zatrzymał się aby na mnie popatrzeć, usiłował się uśmiechnąć, odwrócił oczy i ciągnął dalej. — Ten mały mechanik podsunął mi twarz pod sam nos: „Cóż znowu! To ten psiakrew oficer“. „Co?“ zawył szyper z drugiego końca łodzi. „Niepodobna!“ wrzasnął pierwszy mechanik i przestał także wiosłować aby mi spojrzeć w twarz“.

— Wiatr nagle ustał. Zaczęło znów padać i cichy, nieustanny, nieco tajemniczy szum, z jakim morze przyjmuje deszcz, podniósł się ze wszystkich stron pośród nocy.

— „Z początku tacy byli zaskoczeni, że im odjęło mowę — opowiadał Jim spokojnie — a cóż ja mogłem powiedzieć? — Zająknął się i zrobił wysiłek aby opowiadania nie przerywać. — Wymyślali mi ohydnemi słowami. — Jego głos, zniżony do szeptu, niekiedy podnosił się nagle, krzepnąc od namiętnej pogardy, jakby mówił o jakichś tajemnych szkaradzieństwach. — Wszystko jedno jak mnie nazywali — rzekł posępnie. —

Słyszałem w ich głosach nienawiść. To wcale dobra rzecz. Nie mogli mi wybaczyć, że się znalazłem w tej łodzi. Nie mogli tego znieść. Przyprawiało ich to o szaleństwo... — Zaśmiał się krótko. — Ale właśnie to mię powstrzymało od... Niech pan patrzy! Siedziałem ze skrzyżowanemi ramionami na burcie! — Usadowił się zręcznie na brzegu stolika i skrzyżował ramiona. — O tak — widzi pan? Nieznaczne przechylenie wtył, i byłbym poszedł — za tamtymi. Leciutkie przechylenie — najlżejsze. — Zmarszczył się, i uderzając w czoło średnim palcem, rzekł z przejęciem: — Ta myśl była tu ciągle — nie opuszczała mnie ani na chwilę. A deszcz — zimny, gęsty — zimny jak topniejący śnieg — jeszcze zimniejszy — na cienkiem bawełnianem ubraniu — nigdy już nie będzie mi tak zimno, wiem o tem. I niebo — czarne — całe czarne. Żadnej gwiazdy, żadnego światełka. Nic poza tą przeklętą łodzią i tymi dwoma, ujadającymi na mnie jak dwa nędzne kundle na osaczonego złodzieja. „Hau! Hau! Co tu robisz? Ładne z ciebie ziółko! Taki psiakrew z niego jaśniepan, że ręki do pracy nie przyłoży. Jakoś przyszedłeś do siebie, co? Wślizgnąłeś się do łodzi, co? Hau, hau! Niegodzien jesteś żyć! Hau, hau!“ Obaj starali się jeden drugiego przeszczekać. Tamten trzeci ujadał w rufie poprzez deszcz — nie mogłem go dojrzeć — nie mogłem nic dosłyszeć z jego plugawego pyskowania. Hau, hau! Wrrr, wrrr! Hau, hau! Miło mi było ich słuchać — mówię panu, utrzymywało mię to przy życiu. Właśnie to ocaliło mi życie. Wszyscy huzia na mnie, jakby mię chcieli wypędzić tym wrzaskiem na burtę! „Dziwię się, żeś się zdobył na odwagę aby skoczyć. Nic tu po tobie. Gdybym wiedział kto skoczył, byłbym go strącił za burtę —

tego tchórza. Coś zrobił z tamtym drugim? Skąd ci się wzięła odwaga żeby skoczyć — tchórzu! Co nam przeszkadza wyrzucić go za burtę?“ Zabrakło im tchu; deszcz poleciał dalej po morzu. A potem nic. Nic naokoło łodzi; żadnego szmeru. Chcieli mnie ujrzeć w morzu, tak? Klnę się na Boga! Byłbym spełnił ich życzenie, gdyby tylko cicho siedzieli. Chcecie mnie wyrzucić za burtę, co? — mówię. — Spróbujcie. Skoczę za dwa pensy. „Zbyt drogo za twoją skórę!“ wrzasnęli razem. Było tak ciemno, że widziałem ich tylko, jeśli który z nich się poruszył. Boże ty mój! czemuż się na mnie nie rzucili!“

— Nie mogłem powstrzymać okrzyku: „Cóż za niesłychana historja!“

— „Niezła, co? — rzekł, jakby w pewien sposób zdziwiony. — Udawali iż wierzą, że dla jakiejś przyczyny sprzątnąłem tamtego człowieka. Pocobym to miał robić? I skądże u djabła mogłem wiedzieć, co się z nim dzieje? Przecież dostałem się jakoś do tej łodzi — do tej łodzi — ja... — Muskuły naokoło ust skurczyły mu się w nieświadomym grymasie, co przedarł się przez maskę jego zwykłego wyrazu — gwałtowny, krótkotrwały i rozświetlający jak zygzak błyskawicy, który dopuszcza na chwilę oko do tajnych warstw chmury. — Ja się przecież tam znalazłem. Byłem tam z nimi — nieprawdaż? Czy to nie okropne, żeby człowiek został doprowadzony do popełnienia takiej rzeczy — i musiał za to odpowiadać? Cóż ja mogłem wiedzieć o tym Jerzym, na którego wrzeszczeli? Pamiętałem że leżał zwinięty w kłębek na pokładzie. „Ty podły tchórzu!“ krzyczał wciąż pierwszy mechanik. Zdawało się że nie jest w stanie żadnych innych słów sobie przypomnieć. Wszystko mi było

jedno, tylko że jego wrzaski zaczęły mię nużyć. „Stul pysk“, mówię. A on jak nie wrzaśnie wściekle ze wszystkich sił: „Zabiłeś go! Zabiłeś go!“ „Nie“ — krzyknąłem — „ale zaraz zabiję ciebie“. Zerwałem się, a on się zwalił wtył na ławkę z okropnym łoskotem — nie wiem dlaczego. Zbyt było ciemno. Pewno chciał się cofnąć. Stałem wciąż twarzą do rufy, a tamten nędzny mały mechanik zaczął skomleć: „Pan chyba nie uderzy człowieka, który ma złamaną rękę — pan się uważa przecież za gentlemana“. Usłyszałem ciężkie kroki — raz, dwa — i sapiący pomruk. Tamta druga bestja zbliżała się do mnie i wlokła za sobą po rufie klekoczące wiosło. Widziałem jak się poruszał, wielki, ogromny — jak się widzi kogoś wśród mgły albo we śnie. „Bliżej tu“, krzyknąłem. Byłbym go wyrzucił za burtę jak kosz ze śmieciem. Zatrzymał się, mruknął coś pod nosem i odszedł z powrotem. Może posłyszał wiatr. Ja nie słyszałem. Było to ostatnie gwałtowne uderzenie wiatru. Szyper wrócił do steru. Żałowałem że wrócił. Byłbym go... byłbym...“

— Otworzył i ścisnął zakrzywione palce, a ręce jego zatrzepotały się okrutnie i zapalczywie. „Spokojnie, spokojnie“, mruknąłem.

— „Co? co? Jestem zupełnie spokojny — odparł, dotknięty do żywego, przyczem ręka drgnęła mu konwulsyjnie i przewrócił łokciem butelkę koniaku. Rzuciłem się naprzód, zgrzytnąwszy krzesłem po flizach. Jim skoczył od stolika, jakby mina wybuchła za jego plecami; w tym skoku zwrócił się nawpół ku mnie, zanim opadł, przykucnąwszy na piętach; w oczach miał przestrach, a nozdrza mu zbielały. Spojrzał na mnie; wzrok jego wyrażał wielką przykrość. — Strasznie pana przepraszam. Co za bałwan ze mnie! — mruknął,

bardzo zmartwiony; ostry zapach rozlanego alkoholu otoczył nas nagle atmosferą podłej knajpy wśród chłodnych, przejrzystych nocnych ciemności. W jadalni zgaszono już światła; nasza świeca połyskiwała samotnie na długiej werandzie a kolumny oblokły się w czerń od podstaw aż do kapiteli. Na tle jasnych gwiazd wysoki zrąb urzędu portowego zarysował się wyraźnie z drugiej strony Esplanady, jakby posępny gmach przysunął się bliżej by patrzeć i słuchać.

— Jim przybrał obojętną minę.

— „Zdaje mi się że jestem mniej spokojny teraz niż wtedy. Byłem gotów na wszystko. To były drobnostki...“

— „Niezbyt miłe rzeczy przeżył pan w tej łodzi“ — zauważyłem.

— „Byłem gotów na wszystko — powtórzył. — Kiedy światła okrętu już znikły, mogło się dziać Bóg wie co w tej łodzi — i niktby się o tem nie dowiedział. Czułem to z zadowoleniem. A przytem było dostatecznie ciemno. Zdawało się że zamurowano nas szybko w przestronnym grobie. Nie mieliśmy żadnej styczności z ziemią. Nikt nie mógł wydawać o nas sądu. Nic już nas nie obchodziło. — Po raz trzeci w ciągu tej rozmowy Jim roześmiał się nieprzyjemnie, ale nie było teraz nikogo, ktoby go mógł podejrzewać że jest tylko pijany. — Nie istniał już dla nas strach, ani prawa, ani dźwięki, ani oczy — nawet nasze własne — aż do wschodu słońca“.

— Uderzyła mię przejmująca prawda jego słów. Jest coś szczególnego w małej łódce zagubionej na rozległem morzu. Na ludzi, którzy uszli cieniowi śmierci, zdaje się padać cień szaleństwa. Kiedy statek zawiedzie, zdaje się iż cały świat zawiódł człowieka —

ten świat, który go urobił, okiełznał, który miał nad nim pieczę. Rzekłbyś iż dusze ludzi, pływających po wodnej przepaści, wyzwalają się w zetknięciu z ogromem, gotowe na szczytne bohaterstwo, szał głupoty, lub też najniższą ohydę. O katastrofie na morzu można powiedzieć to samo co o wierze, myśli, miłości, nienawiści, przekonaniach, lub nawet o wyglądzie rzeczy materjalnych: jest tyleż katastrof co i ludzi — a w tej oto tkwiła nikczemność, i właśnie dlatego osamotnienie rozbitków było bardziej zupełne; ohydne warunki towarzyszące wypadkowi odcięły tych ludzi bezwzględnie od pozostałej ludzkości, której ideał postępowania nie został poddany próbie szatańskiego i przerażającego żartu. Towarzysze Jima wściekali się na niego, jako na tchórzliwego krętacza — a on znów skupił na nich całą swoją nienawiść do tego co się stało; byłby chciał straszliwie się zemścić za odrażającą pokusę, którą na niego nasłali. Możecie być pewni, że łódź zagubiona na pełnem morzu wydobędzie z człowieka instynkty czające się w głębi wszystkich myśli, wszystkich uczuć, wrażeń i wzruszeń. Charakterystyczne było dla groteskowej nikczemności cechującej ową katastrofę, że między tymi ludźmi nie doszło do bójki. Wszystko polegało tylko na groźbach, na straszliwie skutecznym fałszu, na oszustwie — od początku do końca — uknutem przez bezgraniczną pogardę ciemnych sił. Lecz realne groźby mrocznych potęg, gotowych każdej chwili zatriumfować nad człowiekiem, są stale odpierane przez ludzką nieugiętość. Zapytałem, poczekawszy chwilę:

— „No i co się stało?“ — Zbyteczne pytanie. Wiedziałem już zadużo aby się spodziewać łaski jakiegoś odkupiającego porywu, dobrodziejstwa szału lub mrocznej zgrozy.

— „Nic — odpowiedział. — Ja to brałem poważnie, a im chodziło tylko o pozory. Nic się nie stało“.

— Wschodzące słońce zastało Jima w dziobie łodzi, w tej samej pozycji jaką zajął natychmiast po skoku. Co za wytrwałość w jego gotowości na wszystko! Przez całą noc trzymał w garści rękojeść steru. Upuścili ster za burtę, chcąc go założyć, i snać rękojeść została jakimś sposobem zawleczona aż na przód, podczas kiedy biegali tam i z powrotem, usiłując wykonać naraz wiele manewrów aby się od *Patny* oddalić. Jim widać trzymał przez jakie sześć godzin tę rękojeść — długi, ciężki kawał twardego drzewa. Chyba nie powiecie, że nie był gotów na wszystko! Czy widzicie, jak stoi w milczeniu przez pół nocy z twarzą zwróconą ku falom deszczu, jak się wpatruje w ciemne postacie, śledząc niewyraźne ich poruszenia, natężając słuch aby posłyszeć ciche szepty, rozlegające się zrzadka w stronie rufy! Niezłomna odwaga, czy też wysiłek trwogi? Jak myślicie? A wytrwałości też mu odmówić nie można. Przez sześć godzin mniej więcej mieć się wciąż na baczności; wytrzymać sześć godzin czujnego bezruchu w łódce, która sunie zwolna naprzód lub unosi się nieruchomo na wodzie, stosownie do kaprysu wiatru; a tymczasem morze zasnęło wreszcie, uspokojone, a chmury płynęły wciąż nad głową Jima, a niebo — czarny, matowy ogrom — zmniejszyło się do rozmiarów ciemnego, połyskliwego sklepienia, roziskrzyło się jeszcze wspanialej, poczem jęło blaknąć od wschodu, zszarzało u zenitu; ciemne postacie, zasłaniające za rufą gwiazdy tuż nad horyzontem, nabrały konturów, bryłowatości — obróciły się w ramiona, głowy, twarze, rysy — stały się trzema ludźmi, którzy

patrzyli ponuro na Jima — rozczochrani, w potarganem odzieniu, mrugając czerwonemi powiekami wśród białego świtu.

— „Wyglądali, jakby się włóczyli pijani po rynsztokach przez jaki tydzień“ — opisywał Jim plastycznie, a potem mruknął coś o wschodzie słońca, nadmieniając, że dzień zapowiadał się pogodny. Wiecie, jak to marynarze mają zwyczaj wspominać o pogodzie przy każdej sposobności. Co do mnie, wystarczyło kilka słów wymruczanych przez Jima, abym ujrzał dolny kraniec słonecznej tarczy odrywający się od widnokręgu, całą widzialną przestrzeń morza rozedrganą, pomarszczoną przez biegnące chyżo drobne falki — jakgdyby wody się wzdrygnęły, dając życie świetlistej kuli — jednocześnie zaś ostatni powiew wiatru poruszył powietrzem niby pełne ulgi westchnienie.

— „Siedzieli w rufie ramię w ramię z szyprem pośrodku jak trzy plugawe sowy i gapili się na mnie. — Słuchałem Jima, który mówił z zawziętą nienawiścią — żrąca jej moc przenikała pospolite słowa jak kropla potężnej trucizny, co pada do szklanki z wodą — lecz myśli moje krążyły wciąż koło tego wschodu słońca. Wyobraziłem sobie pod przejrzystą pustką nieba czterech ludzi zagubionych wśród bezludnego morza, samotne słońce, które, nie bacząc na tę odrobinę życia, wstępowało po czystem sklepieniu niebios, jakby pragnęło spojrzeć ogniście zwysoka na swą własną wspaniałość odbitą w cichym oceanie. — Zaczęli wołać na mnie z rufy — mówił Jim — jak na swego kamrata. Słyszałem ich. Prosili abym się opamiętał i rzucił ten „podły kawał drewna“. Dlaczego tak się zachowuję? Przecież mi nic nie zrobili — prawda? Nic się złego nie stało... Nic złego!“

— Twarz jego poczerwieniała, jakby nie mógł powietrza z płuc wyzionąć.

— „Nic złego! — wybuchnął. — Zostawiam to bez komentarzy. Pan to przecież rozumie. Co? Czy pan mię słyszy? Nic złego! Wielki Boże! Cóż mogło się stać gorszego? O tak, ja wiem dobrze — skoczyłem. Tak. Skoczyłem jak oni. Powiedziałem już że skoczyłem; ale mówię panu, niktby nie mógł z nimi wytrzymać. To wszystko stało się najwyraźniej za ich sprawą, jakby byli zarzucili na pokład hak i ściągnęli mię do łodzi. Czyżby pan tego nie rozumiał? Pan to musi zrozumieć. No dalej — niechże pan powie otwarcie..."

— Jego niespokojne oczy utkwione w moich pytały, prosiły, wyzywały, błagały. Za cenę życia nie byłbym mógł się powstrzymać od szeptu:

— „Ciężko został pan doświadczony".

— „I najniesprawiedliwiej — podchwycił szybko. — Nie miałem żadnych szans — wśród tej hołoty. A teraz zaczęli się do mnie wdzięczyć — ach, tak podle! Przecież są moimi kolegami, towarzyszami! Z tej samej łodzi. Trzeba brać wszystko z dobrej strony. Oni nie mają nic złego na myśli. Jerzy obchodzi ich tyle co zeszłoroczny śnieg. W ostatniej chwili wrócił po coś do swojej kajuty i tam go przychwyciło. Skończony dureń był z niego. Oczywiście bardzo to smutne... Patrzyli na mnie; wargi ich się poruszały; potrząsali głowami tam w końcu łodzi — wszyscy trzej; kiwali porozumiewawczo — na mnie. I cóż w tem dziwnego? Czyż nie skoczyłem? Nie odpowiadałem nic. Niema słów na te rzeczy, które chciałem wypowiedzieć. Gdybym był wtedy usta otworzył, zawyłbym poprostu jak zwierzę. Pytałem się siebie ciągle, kiedy się obudzę.

A oni nawoływali mię aby przyjść do nich na rufę i wysłuchać spokojnie co szyper ma do powiedzenia. Z pewnością jeszcze przed wieczorem znajdzie nas jaki statek — jesteśmy na szlaku kanału Sueskiego; już teraz widać dym na północo-zachodzie“.

— „Wstrząsnąłem się okropnie, kiedym dostrzegł tę nikłą, nikłą plamkę, — ten ślad brunatnej mgły tuż nad morzem, — przez którą było widzieć granice nieba i ziemi. Krzyknąłem do nich, że usłyszę wszystko doskonale ze swego miejsca. Szyper zaczął kląć głosem chrypliwym jak krakanie kruka. Oświadczył iż nie myśli wysilać głosu dla *mojej* wygody. „Czy pan się boi że usłyszą pana z brzegu?“ zapytałem. Spojrzał na mnie, jakby mię chciał rozszarpać w kawały. Pierwszy mechanik poradził mu aby uległ memu kaprysowi, bo jeszcze niezupełnie dobrze mam w głowie. Szyper podniósł się w rufie niby gruby słup mięsa; zaczął mówić i mówić...“

— Jim zamyślił się. „No i co?“ rzekłem.

— „Cóż mnie to obchodziło, jaką historję postanowili wymyśleć? — zawołał niedbale. — Pozwoliłem im mówić co im się żywnie podobało. To była ich sprawa. Wiedziałem, jak się to odbyło. Nic się dla mnie zmienić nie mogło, choćby nie wiem co ludziom wmówili. A szyper gadał, dowodził — i znów gadał, i znów dowodził. Bez końca. Nagle poczułem że nogi się uginają pode mną. Osłabłem — byłem znużony — śmiertelnie znużony. Wypuściłem z ręki sterownicę i siadłem na najdalszej ławce, odwracając się do nich plecami. Miałem już tego dosyć. Wołali na mnie, pytając czy zrozumiałem; przecież to była prawda — prawda w każdem słowie! Mój Boże, była to prawda — z ich punktu widzenia. Nie odwróciłem głowy. Sły-

szałem jak rozprawiali między sobą. „Ten głupi osioł nie chce nic powiedzieć“. „Oho, ale rozumie doskonale“. „Dajcie mu pokój; i tak potrafi się znaleźć“. „I coby mógł nam zrobić?“ Rzeczywiście — co byłbym mógł im zrobić? Czyż nie znajdowaliśmy się wszyscy razem w tej łodzi? Starałem się udawać głuchego. Dym znikł w północnym kierunku. Nastała martwa cisza. Pili wodę z beczki, ja piłem także. Potem z wielkim trudem rozpostarli żagiel na burcie. Zgodziłem się objąć wachtę. Wleźli pod żagiel i znikli mi z oczu. Bogu dzięki! Byłem znużony, znużony, skonany, jakbym nie spał ani chwili od urodzenia. Blask słońca przeszkadzał mi patrzeć na wodę. Niekiedy któryś z nich wyłaził z pod żagla, stawał w łodzi aby się rozejrzeć i wpełzał z powrotem. Słyszałem od czasu do czasu chrapanie. Mogli spać! A przynajmniej jeden z nich. Ja spać nie mogłem. Wszystko naokoło było tylko blaskiem i łódź zdawała się w blask ten zapadać. Niekiedy czułem ze zdumieniem że siedzę na ławce..“

— Zaczął chodzić miarowemi krokami przed mojem krzesłem, tam i z powrotem, z ręką w kieszeni od spodni, pochyliwszy głowę w zamyśleniu; czasem podnosił prawą dłoń ruchem, który zdawał się usuwać z drogi niewidzialnego natręta.

— „Pan myśli pewnie że mię ogarniało szaleństwo — rzekł zupełnie odmiennym tonem. — I to jest zrozumiałe, jeśli pan pamięta że zgubiłem czapkę. Nad moją gołą głową słońce odbyło całą swą drogę ze wschodu na zachód, ale widać tego dnia nic mi nie mogło zaszkodzić. Nawet słońce nie mogło zrobić ze mnie szaleńca... — Odepchnął prawą ręką myśl o szaleństwie. — I zabić mnie także nie mogło... — Znów

ręka jego odsunęła jakiś cień. — Tylko ja sam mogłem to zrobić".

— Ach tak? — rzekłem, niezmiernie zdumiony tym nowym zwrotem, i spojrzałem na niego z takiem uczuciem, jakby się odwrócił na pięcie i zmienił mi się w oczach.

— „Ani nie dostałem zapalenia mózgu, ani nie padłem martwy — ciągnął dalej. — Słońce nie obchodziło mnie zupełnie. Rozmyślałem spokojnie i chłodno, jakgdybym siedział w cieniu. Ta opasła bestja — szyper — wystawił z pod płótna wielki, krótko ostrzyżony łeb i wparł we mnie rybie oczy. *„Donnerwetter!* Umrze pan" — warknął i cofnął głowę jak żółw. Widziałem go. Słyszałem. Nie przeszkodził mi w rozprawianiu się z sobą. Mówiłem sobie właśnie wtedy, że nie umrę".

— Jim rzucił mi w przejściu uważne spojrzenie, usiłując przeniknąć co myślę.

— „Czy pan chce przez to powiedzieć, że pan rozmyślał o samobójstwie?" — zapytałem, starając się zdobyć na ton jaknajbardziej nieprzenikniony. Skinął głową, nie przestając chodzić.

— „Tak, do tego doszedłem, kiedym tam siedział samotnie — rzekł. Uszedł jeszcze kilka kroków aż do wyimaginowanego kresu swej przechadzki, poczem zawrócił, trzymając obie ręce głęboko w kieszeniach. Przystanął nagle przed mojem krzesłem i spojrzał na mnie. — Czy pan mi wierzy?" — spytał z natężoną ciekawością. Pobudziło mię to do uroczystego oświadczenia, że gotów jestem uwierzyć bezwzględnie we wszystko, co uzna za stosowne mi powiedzieć.

Rozdział XI

— Wysłuchał mnie z głową przechyloną na ramię, a ja znów ujrzałem go przez szparę we mgle, w której się obracał i żył. Świeca paliła się ciemno, trzeszcząc wewnątrz szklanego klosza — było to jedyne światło, przy jakiem mogłem Jima oglądać; za nim rozpościerała się ciemna noc z jasnemi gwiazdami, których migot, coraz bardziej odległy, wabił oko dalej i dalej w ciemniejsze głębie mroku; a jednak — rzekłbyś — tajemniczy jakiś blask rozświetlił chłopięcą głowę Jima, jakby w tej właśnie chwili młodość zajaśniała w nim na chwilę i zgasła.

— „Strasznie pan jest dobry, że tak pan mnie słucha — rzekł. — To dla mnie prawdziwe dobrodziejstwo. Pan nie wie, czem to jest dla mnie. Pan...“

— Zdawało się iż słów mu brakuje. Ujrzałem go znów — i tym razem wyraźnie. Ten chłopiec należał do gatunku ludzi, których lubimy widzieć naokoło siebie i chętnie sobie wyobrażamy, żeśmy byli do nich podobni; sam ich widok przywołuje owe ułudy, które się uważało za przepadłe, wygasłe, wyziębłe, a jednak — przy zbliżeniu się cudzego płomienia — trzepoczą się gdzieś głęboko, głęboko, błyskają światłem... i ciepłem!.. Tak; ujrzałem go wówczas wyraźnie... i nie po raz ostatni..

— „Pan nie wie, czem to jest dla człowieka w mojem położeniu — czuć że mi ktoś ufa — móc zwierzyć

się ze wszystkiego komuś starszemu. Takie to wszystko ciężkie — takie okropnie niesprawiedliwe — takie trudne do pojęcia“.

— Mgły zamknęły się znów. Nie wiem, jakie miał wyobrażenie o mym wieku — i o mej mądrości. Czułem się w owej chwili taki stary, że brał mię pewnie za dwakroć młodszego — i nie doceniał zapewne ani w połowie mej bezużytecznej mądrości. W żadnym innym zawodzie — prócz marynarskiego — serca tych, co już się puścili na morze by pływać po niem lub utonąć, nie wyrywają się tak gwałtownie do chłopca na wybrzeżu, wpatrzonego błyszczącemi oczami w migotanie rozległej przestrzeni — które jest tylko odbiciem młodzieńczych spojrzeń pełnych ognia. Tak cudownie nieuchwytne są nadzieje, co pchnęły każdego z nas na morze, taka w nich wspaniała mglistość, taka piękna żądza przygód — a wszystko to jest samo przez się wyłączną i jedyną nagrodą! To, co zdobywamy... ech, lepiej zamilczę o tem; ale któż z nas zdoła powstrzymać uśmiech wobec młodzieńczych wspomnień? W żadnym innym rodzaju życia złudzenie nie leży dalej od rzeczywistości: w żadnym innym zawodzie początek nie jest wyłącznie złudzeniem — rozczarowanie nie następuje tak szybko — ujarzmienie nie jest bardziej zupełne. Przecież wszyscy zaczynaliśmy z temi samemi porywami, kończyliśmy bogaci w to samo doświadczenie, przechowywaliśmy pamięć tych samych ukochanych, złudnych marzeń przez ohydne, przeklęte dni. Nic więc dziwnego, że czujemy się z sobą związani, gdy jaki ciężki cios którego z nas dosięgnie; że prócz koleżeństwa w zawodzie łączy nas siła głębszego uczucia — uczucia, które wiąże człowieka z dzieckiem. Jim stał tam przede mną, wierząc

iż wiek i mądrość mogą znaleźć lekarstwo na ból prawdy, a ja patrzyłem na tego młodego chłopca w opałach — i to piekielnych zaiste — takich, nad któremi siwobrodzi starcy kręcą uroczyście głową, kryjąc jednocześnie uśmiech. A więc Jim rozważał, czy ma odebrać sobie życie — niech go licho! Pogrążył się w rozmyślaniach o samobójstwie, bo choć uszedł cało, piękno jego życia przepadło wśród nocy razem z okrętem. Cóż bardziej naturalnego od tych jego myśli? Wszystko to było takie tragiczne i śmieszne zarazem, że wołało głośno o współczucie — a w czemże jestem lepszy od innych, aby mu odmówić litości? I właśnie gdy na niego patrzyłem, mgły zasnuły szparę i głos jego przemówił:

— „Czułem się zupełnie wytrącony z równowagi, rozumie pan. To była taka historja, jakiej się człowiek nie spodziewa. Naprzykład — nie miało to nic wspólnego z walką“.

— „Tak“ — potwierdziłem. Jim wydawał mi się zmieniony, jakgdyby nagle dojrzał.

— „I nic się nie wiedziało napewno“ — mruknął.

— „Ach, więc pan nie wiedział napewno...“ — rzekłem, lecz ułagodził mię szmer lekkiego westchnienia, które przewiało między nami jak lot ptaka wśród nocy.

— „Nie, nie wiedziałem napewno — rzekł odważnie. — Ten cały wypadek był czemś w rodzaju owej podłej blagi, którą tamci wymyślili. Ani kłamstwo, ani prawda. Coś pośredniego. Człowiek wie, co jest poprostu kłamstwem. A w tej historji granica między złem a dobrem była cieńsza od włosa“.

— „A jakiejże granicy panu trzeba?“ — spytałem; lecz mówiłem tak cicho, że chyba nie usłyszał. Rozu-

mował w taki sposób, jakby życie było siecią ścieżek przedzielonych od siebie przepaściami. Głos jego brzmiał rozsądnie.

— „Przypuśćmy że nie byłbym — — to znaczy się, przypuśćmy że byłbym został na statku. No dobrze. Na jak długo? Powiedzmy — minutę — pół minuty. Przecież zdawało się wówczas pewnem, że po upływie trzydziestu sekund znajdę się w morzu; a myśli pan, że wtedy nie uczepiłbym się pierwszej lepszej rzeczy, którąby się znalazła na drodze — wiosła, ratowniczej boi, kratówki — czegokolwiek? A czyby pan tak nie zrobił?"

— „I wyratowałby się pan" — wtrąciłem.

— „Byłbym się starał wyratować — odparł. — A tego wówczas nie miałem na myśli, kiedy... — wzdrygnął się, jakby miał przełknąć jakieś obrzydliwe lekarstwo — kiedy skoczyłem — wymówił z konwulsyjnym wysiłkiem, którego napięcie, jakby niesione na fali powietrza, sprawiło że poruszyłem się zlekka na krześle. Utkwił we mnie ponure oczy. — Pan mi nie wierzy? — krzyknął. — Przysięgam!.. Et, do djabła z tem wszystkiem! Pan wyciąga mnie tu na zwierzenia, i... Pan mi musi wierzyć! Pan przecież powiedział, że pan będzie mi wierzył".

— „Naturalnie że panu wierzę" — zapewniłem rzeczowym tonem, który podziałał na niego kojąco.

— „Niech mi pan wybaczy — rzekł. — Nie mówiłbym panu naturalnie o tem wszystkiem, gdyby pan nie był gentlemanem. Powinienem był wiedzieć... Jestem — jestem — również gentlemanem..."

— „Tak, tak" — rzekłem śpiesznie. Patrzył mi prosto w twarz i odwrócił wzrok powoli.

— „Teraz pan rozumie, dlaczego ja — mimo

wszystko... dlaczego nie odebrałem sobie życia. Nie chciałem stchórzyć przed tem co zrobiłem. Przecież gdybym był został na statku, uczyniłbym wszystko aby się tylko ocalić. Ludzie utrzymywali się nieraz na powierzchni całemi godzinami — na otwartem morzu — i wyławiano ich, i doskonale się potem czuli. A ja byłbym mógł to wytrzymać znacznie lepiej niż wielu innych. Moje serce jest w porządku". — Wyciągnął prawą pięść z kieszeni i gruchnął się w pierś; rozległ się jakby zgłuszony strzał wśród nocy.

— „Tak" — rzekłem. Rozmyślał ze spuszczoną głową, rozstawiwszy nieco nogi.

— „O włos — mruknął. — Nie było na włos miejsca między tem a tamtem. A w owej chwili..."

— „O północy trudno jest włos dostrzec — wtrąciłem, zdaje mi się że nieco złośliwie. Czy pojmujecie, co ja rozumiem przez solidarność w naszym zawodzie? Byłem na Jima rozżalony, jakby mnie oszukał — mnie osobiście — jakby mię pozbawił wspaniałej okazji do podtrzymania złudzeń młodości, jakby obdarł nasze wspólne życie z ostatniego promienia czczej chwały.

— „Więc też pan zwiał — odrazu".

— „Skoczyłem — poprawił mię z naciskiem. — Skoczyłem — uważa pan — powtórzył. Zaciekawiła mię jego widoczna lecz niezrozumiała dla mnie intencja. — No tak! może wówczas nie zdawałem sobie z tego sprawy. Ale później miałem ile chcieć czasu — a światła wbród w tej łodzi. I mogłem także rozmyślać. O tem co zaszło nikt się nie miał naturalnie dowiedzieć, ale nie przynosiło mi to żadnej ulgi. Temu musi pan także uwierzyć. Nie chciałem tej całej rozmowy... Nie... Tak!.. nie będę kłamał... Chciałem jej:

to jest właśnie to czego chciałem — i koniec. Ani pan ani nikt inny nie mógłby mnie zmusić do mówienia, gdybym... Ja — ja się mówić nie boję. I nie bałem się także myśleć. Spojrzałem temu w twarz. Uciekać przed tem nie chciałem. Z początku — w nocy, gdyby nie ci ludzie, byłbym... Ale nie! na Boga, nie chciałem im sprawić tej przyjemności. Dość złego mi wyrządzili. Wymyślili sobie jakąś blagę i wierzyli w nią, o ile mi się zdaje. Ale ja znałem całą prawdę, i postanowiłem uporać się z nią — sam jeden. Nie chciałem się ugiąć przed taką ohydną niesprawiedliwością. Czegóż właściwie to wszystko dowiodło? Byłem strasznie ścięty z nóg. I — powiem panu prawdę — miałem obrzydzenie do życia; ale cóżby z tego przyszło, gdybym się od życia wymigał — w — w — taki sposób? To nie była właściwa droga. Ja myślę że — że toby... toby nie było żadne rozwiązanie".

— Przez cały ten czas chodził tam i z powrotem, ale z ostatniem słowem zwrócił się nagle do mnie.

— „A co pan myśli?" — spytał gwałtownie. Nastąpiła przerwa, i nagle poczułem że przygniata mię wielkie, beznadziejne zmęczenie, jakby głos Jima wyrwał mię ze snu — z wędrówki przez puste przestworza, których ogrom znużył mi duszę i wyczerpał ciało.

— „... toby nie było żadne rozwiązanie" — mruknął nade mną uparcie po krótkiej chwili. — Nie! Należało stawić czoło wszystkiemu — samotnie — czekać na sposobność — coś wynaleźć"...

Rozdział XII

— Jak uchem sięgnąć wszystko milczało naokół. Mgła jego uczuć sunęła między nami, jakby wzburzona wewnętrzną walką Jima, a w szparach tej niematerjalnej zasłony ukazywał się wyraźnie moim wpatrzonym oczom i pociągał mię w niejasny sposób, niby symboliczna postać na jakimś obrazie. Chłodne powietrze nocy zdawało się ciężyć na mych członkach jak płyta marmuru.

— „Rozumiem“ — szepnąłem, chyba poto aby dowieść samemu sobie, że potrafię otrząsnąć się z odrętwienia.

— „*Avondale* zabrał nas przed samym zachodem — rzekł Jim posępnie. Płynął prosto na nas. Pozostawało nam tylko siedzieć i czekać“.

— Po długiej przerwie rzekł: „Opowiedzieli swoją historyjkę“. I znów nastało dotkliwe milczenie. „Dopiero wtedy się przekonałem do czego mię doprowadziła moja decyzja“, dodał.

— „A pan sam nic nie mówił“ — szepnąłem.

— „Cóż mogłem powiedzieć? — zapytał równie cicho. — To szyper mówił: „Lekkie zderzenie; zatrzymałem okręt. Sprawdziłem uszkodzenia. Kazałem spuścić łodzie z największą ostrożnością żeby nie wywołać paniki. Po spuszczeniu pierwszej łodzi okręt poszedł na dno wśród szkwału. Zapadł się w wodę niby kamień.“ To jasne jak dzień — zwiesił głowę —

i okropne. — Wargi jego drgnęły, gdy patrzył mi prosto w oczy. — Przecież skoczyłem — prawda? — zapytał z przerażeniem. — Musiałem z tem się uporać. Cóż mnie obchodziła ta ich historyjka... — Splótł dłonie na chwilę, spojrzał w mrok na prawo i lewo: — To było jak oszukiwanie umarłych“ — wyjąkał.

— „A umarłych nie było“ — rzekłem.

— Odsunął się ode mnie na te słowa. Tylko tak mogę to określić. W mig zobaczyłem jego plecy tuż przy balustradzie. Stał tam przez jakiś czas, jakby podziwiając przejrzystość i spokój nocy. Jakiś rozkwitły krzew pod werandą rozsiewał silny aromat w wilgotnem powietrzu. Jim wrócił do mnie szybkim krokiem.

— „To nie ma nic do rzeczy“ — rzekł uporczywiej niż kiedykolwiek.

— „Może“ — zgodziłem się. Zaczęło mi się zdawać że mam już Jima dosyć. Cóż ja o nim właściwie wiedziałem?

— „Czy oni byli umarli, czy żywi, nie mogłem się z tego wyplątać — rzekł. — Musiałem żyć; prawda?“

— „No tak — jeśli pan to w taki sposób rozumie“ — wymamrotałem.

— „Ucieszyłem się naturalnie — rzucił niedbale, myśląc już o czemś innem. — Wtedy, jak się to wszystko wykryło — rzekł zwolna i podniósł głowę. — Wie pan, jaki był pierwszy mój odruch, kiedy mi o tem powiedzieli? Poczułem ulgę. Odetchnąłem, bo się dowiedziałem że te krzyki — czy ja panu mówiłem że słyszałem krzyki? Nie? No więc słyszałem — krzyki o pomoc... które wiatr niósł razem z deszczem. To pewno wyobraźnia. A jednak trudno mi uwierzyć... Jakie to głupie. Tamci nie słyszeli. Pytałem ich potem. Powiedzieli wszyscy, że nie. Nie? A ja wciąż je sły-

szałem! Powinienem był wiedzieć... ale nie zastanawiałem się wcale — nasłuchiwałem tylko. Bardzo słabe krzyki — dzień w dzień. Wreszcie ten mały metys podchodzi do mnie i powiada: „*Patna*... francuska kanonierka... przyholowała ją szczęśliwie do Adenu... Śledztwo... Urząd pocztowy... Dom marynarzy... dostanie pan tam pokój z utrzymaniem." Szedłem obok niego i cieszyłem się — z milczenia. A więc żadnych krzyków nie było. Gra wyobraźni! Musiałem mu uwierzyć. I odtąd nie słyszałem już nic. Ciekawe, jak długo mógłbym to jeszcze wytrzymać. A było z tem coraz gorzej... to znaczy że krzyki stawały się głośniejsze".

— Zatopił się w myślach.

— „Więc to mi się tylko zdawało. Dobrze — niech i tak będzie. Ale światła! Światła przecież zagasły! Przestaliśmy je widzieć. Nie było ich. Gdybym tam widział światła, byłbym popłynął z powrotem, byłbym wrócił i krzyczał u burty — byłbym ich błagał żeby mię wzięli na pokład... Byłbym usiłował... Pan wątpi o tem?... Skąd pan może wiedzieć co czułem? Jakiem prawem pan wątpi?... Ja o mało co nie zrobiłem tego nawet w tamtych okolicznościach — rozumie pan? — głos jego opadł. — Nie było żadnego błysku — najlżejszego błysku — zapewnił posępnie. — Czy pan rozumie, że gdyby nie to, nie widziałby mnie pan teraz przed sobą? Pan mię widzi, a jednak pan wątpi."

— Pokręciłem przecząco głową. Ta sprawa świateł — które znikły, choć łódź nie oddaliła się od statku więcej niż o ćwierć mili — była roztrząsana szczegółowo. Jim twierdził nieugięcie, że kiedy pierwsza ulewa minęła, nic już nie było widać; tamci oświadczyli to samo oficerom na *Avondale*. Oczywiście ludzie

się uśmiechali, kręcąc głową. Pewien stary szyper, który siedział obok mnie w sądzie, połaskotał mię w ucho białą brodą, szepcąc: „Kłamią jak z nut“. A tymczasem nikt nie kłamał, nawet i główny mechanik, gdy opowiadał że światło na maszcie opadło jak rzucona zapałka. W każdym razie nie kłamał świadomie. Wątroba jego znajdowała się w takim stanie, że nie byłoby nic dziwnego, gdyby ujrzał iskrę w kącie powieki, rzucając ukradkiem wtył śpieszne spojrzenie. Nie widzieli żadnego światła, choć byli w pobliżu statku, i mogli to sobie wytłumaczyć w jeden jedyny sposób: że *Patna* poszła na dno. Było to oczywiste i kojące. Przewidywany fakt, który nastąpił tak prędko, usprawiedliwiał ich pośpiech. Nic dziwnego że nie szukali innego wyjaśnienia. A prawdziwe wyświetlenie sprawy było bardzo proste, i z chwilą gdy je Brierly podsunął, sąd przestał się tą kwestją zajmować. Pamiętacie że statek się zatrzymał i leżał na wodzie w kierunku nocnego kursu, gdy rufa podjechała do góry a dziób pochylił się wdół wskutek zalania wodą pierwszej komory. Tedy pozbawiona równowagi *Patna*, gdy szkwał w nią z boku uderzył — skręciła dziobem pod wiatr tak sprawnie, jakby stała na kotwicy. Wskutek tej zmiany położenia wszystkie jej światła odwróciły się w bardzo krótkim czasie od łodzi ku stronie podwietrznej. Bardzo być może, że gdyby światła pozostały widoczne, działałyby jak nieme wezwanie — że ich migot, zagubiony w mroku chmury, miałby tajemniczą siłę ludzkiego wzroku, który może obudzić wyrzuty sumienia i litość. Mówiłby: „Jestem tu — jeszcze jestem“... a cóż więcej mogą powiedzieć oczy najbardziej opuszczonego z ludzkich stworzeń? Lecz *Patna* odwróciła się tyłem, jakby chcąc okazać pogardę dla

losu tych ludzi; skręciła ciężko na miejscu aby wpatrywać się nieugięcie w nowe niebezpieczeństwa, które miała przetrzymać w tak dziwny sposób. Snać było zapisane w jej losach, że dokona swych dni rozbita na złom w doku, pod ciosami wielu młotów. Co się tyczy pielgrzymów, nie umiem powiedzieć, jakie różne przeznaczenia los im gotował, lecz w najbliższej przyszłości — na drugi dzień około dziewiątej rano — pojawiła się francuska kanonierka, wracająca do kraju z wysp Réunion. Raport jej dowódcy był własnością publiczną. Kapitan owej kanonierki zboczył nieco ze swego kursu, aby się przekonać co się dzieje na parowcu, płynącym niebezpiecznie sterem naprzód po spokojnem i mglistem morzu. Z gaflu owego parowca powiewała bandera zawieszona odwrotnie (serang miał na tyle rozsądku, iż wywiesił o brzasku sygnał wzywający pomocy), lecz kucharze zajęci byli jak zwykle gotowaniem w kuchniach na dziobie. Tłok panował na pokładzie, że ani szpilki wetknąć; ludzie sterczeli wzdłuż barjery, zbici byli na mostku w jedną masę; setki oczu patrzało z natężeniem, ale nikt nie odezwał się ani słowem gdy się kanonierka zbliżyła, jakby czar jakiś położył pieczęć milczenia na tych niezliczonych wargach.

— Francuz okrzyknął statek, nie zrozumiał nic z odpowiedzi, i postanowił wysłać łódź, upewniwszy się przez lornetkę, że tłum zapełniający pokład nie wygląda na dotknięty zarazą. Dwaj oficerowie przybyli na pokład, wysłuchali seranga, usiłowali rozmówić się z Arabem, ani w ząb nic nie mogąc zrozumieć; ale naturalnie rodzaj wypadku, któremu uległ okręt, rzucał się w oczy. Oficerowie kanonierki bardzo byli

zdziwieni, odkrywszy na mostku trupa białego człowieka, który leżał zwinięty spokojnie w kłębek.

— *„Fort intrigués par ce cadavre“* — opowiadał mi w długi czas później francuski porucznik, człowiek starszy, z którym zetknąłem się raz popołudniu w Sydney, czystym przypadkiem, w jakiejś niby to kawiarni — i który pamiętał doskonale całą tę sprawę. I rzeczywiście owa historja — zaznaczam to mimochodem — opierała się z niezwykłą siłą czasowi i krótkości ludzkiej pamięci; niesamowicie żywotna, zdawała się żyć ciągle w ludzkich umysłach, była wciąż na końcu języków. Miałem wątpliwą przyjemność często ją słyszeć — tysiące mil dalej, po latach; wyłaniała się z rozmów nie mających z nią nic wspólnego, z napomknień zupełnie oderwanych. Czyż dziś nie zjawiła się między nami? a przecież jestem wśród was jedynym marynarzem — i tylko ja tę historję pamiętam. Tymczasem wyłoniła się znowu! Jeżeli zaś dwóch znających ją ludzi, choćby najzupełniej sobie obcych, zeszło się wypadkiem w pierwszem lepszem miejscu, wypływała niezawodnie zanim się rozstali. Nie widziałem nigdy przedtem owego Francuza i po upływie godziny pożegnaliśmy się na całe życie; nie wydawał się bynajmniej szczególnie rozmowny; było to spokojne, tęgie chłopisko w pogniecionym mundurze, siedzące sennie nad szklanką napełnioną do połowy jakimś ciemnym płynem. Naramienniki jego były nieco wytarte, ogolone policzki wielkie i blade; wyglądał jakby zażywał tabakę — czy mnie rozumiecie? Nie mówię że tak było rzeczywiście, ale że toby pasowało do człowieka jego pokroju. Zaczęło się wszystko od tego, że Francuz podał mi przez marmurowy stolik numer *Home News*, którego nie miałem ochoty przeglądać. Odrzekłem:

„Merci.“ Zamieniliśmy kilka pozornie niewinnych uwag i nagle — zanim się opatrzyłem — znaleźliśmy się w samym środku tej historji. Francuz mówił mi właśnie, jak bardzo ich te zwłoki zaintrygowały. Okazało się że był jednym z oficerów, którzy udali się na pokład *Patny*.

— W knajpie, gdzieśmy siedzieli, można było dostać różnych zagranicznych trunków, które trzymano dla przejezdnych oficerów marynarki; Francuz pociągnął łyk ciemnego napoju wyglądającego na lekarstwo — nie było to pewnie obrzydliwsze od *cassis à l'eau* — i zajrzawszy jednem okiem do szklanki, potrząsnął zlekka głową.

— „*Impossible de comprendre — vous concevez*“ — rzekł ze szczególną mieszaniną obojętności i zadumy. Bardzo łatwo mi było zrozumieć, jak dalece im się to wydało niepojęte. Nikt na kanonierce nie umiał dość dobrze po angielsku aby się połapać w opowiadaniu seranga. W dodatku wielka wrzawa podniosła się naokoło obu oficerów.

— „Tłoczyli się na nas. Pierścień z ludzi otoczył tego umarłego *(autour de ce mort)* — opisywał Francuz. — Trzeba było się zająć tem co najpilniejsze. Tłum zaczynał się burzyć — *parbleu!* Taki motłoch — rozumie pan“ — dodał z filozoficzną pobłażliwością. A co się tyczy owej grodzi, Francuz powiedział swemu dowódcy, że najbezpieczniej wcale jej nie dotykać, taki miała paskudny wygląd. Sprowadzili jaknajprędzej *(en toute hâte)* dwie liny na pokład; zaczęli holować *Patnę*, i to sterem naprzód — co w danych okolicznościach nie było wcale głupie, ponieważ ster zanadto z wody wystawał, aby mógł na coś się przydać; przytem użycie tego manewru zmniejszało napór na

grodź, której stan — wyjaśniał Francuz płynnie a obojętnie — wymagał największej ostrożności *(exigeait les plus grands ménagements.)* Pomyślałem mimowoli, że mój nowy znajomy z pewnością brał udział w wydawaniu owych zarządzeń; robił wrażenie oficera, na którym można polegać — choć niebardzo już był ruchliwy — a przytem czuło się w nim gruntownego fachowca; lecz gdy tak siedział z grubemi palcami splecionemi lekko na brzuchu, wyglądał jak zatabaczony, spokojny wiejski proboszcz, w którego uszy całe pokolenia chłopów wylewają swe grzechy, bóle, wyrzuty sumienia; na twarzach takich księży flegmatyczny, prostoduszny wyraz jest jakgdyby zasłoną spuszczoną na tajemnice cierpienia i niedoli. Ów marynarz powinien był mieć na sobie wytartą, czarną sutannę zapiętą gładko aż po obfity podbródek, zamiast surduta z naramiennikami i mosiężnemi guzikami. Szeroka jego pierś wznosiła się i opadała miarowo, gdy opowiadał mi w dalszym ciągu, że była to wprost cholerna robota — co z pewnością *(sans doute)* sobie wyobrażam, będąc marynarzem z zawodu *(en votre qualité de marin).* Przy końcu zdania pochylił się zlekka ku mnie całem ciałem i ściągnął wygolone wargi, wypuszczając przez nie powietrze z cichym sykiem.

— „Całe szczęście — ciągnął — że morze było gładkie jak ten stół; wiatru nie więcej niż tutaj.“

— Uderzyło mnie, że w sali jest duszno wprost nie do zniesienia i bardzo gorąco; twarz paliła mię, jakbym dość młody był jeszcze aby się ze zmieszania czerwienić. Francuz mówił dalej, że oczywiście *(naturellement)* skierowali się do najbliższego portu, gdzie się ich odpowiedzialność skończyła „*Dieu merci...*“ Wydął zlekka płaskie policzki...

— „Ponieważ, uważa pan *(notez bien)*, na cały czas holowania postawiliśmy z siekierami przy linach dwóch naszych podoficerów, którzy mieli nas odciąć od holowanego statku w razie gdyby... — Spuścił szybko ciężkie powieki, dając najwyraźniej do zrozumienia co ma na myśli. — Cóż pan chce! Robi się co się może *(on fait ce qu'on peut)*. — W swym ociężałym bezruchu potrafił przybrać na chwilę wyraz pełen rezygnacji. — Dwóch podoficerów — przez trzydzieści godzin — bez przerwy. Dwóch — powtórzył, podnosząc nieco lewą rękę i wystawiając dwa palce. Był to dosłownie pierwszy gest, który u niego zauważyłem. Przy tej sposobności spostrzegłem bliznę w kształcie gwiazdy na wierzchu jego ręki — widocznie skutek postrzału; i jakby wzrok mi się zaostrzył od tego odkrycia, zauważyłem także szew dawnej rany, zaczynającej się nieco poniżej skroni i ginącej pod krótkiemi siwemi włosami z boku głowy — draśnięcie włócznią lub cios szabli. Splótł znowu ręce na brzuchu. — Zostałem na pokładzie tej — tej — tracę pamięć *(ma mémoire s'en va.) Ah! Patt-nà. C'est bien ça. Patt-nà. Merci.* To zabawne jak człowiek zapomina. Byłem na tym statku przez trzydzieści godzin..."

— „Co pan mówi!" — wykrzyknąłem. Patrząc wciąż na swoje ręce, ściągnął nieco usta, ale tym razem nie syknął.

— „Uznano za stosowne — rzekł, podnosząc brwi beznamiętnie — aby jeden z oficerów został na pokładzie, czuwając pilnie *(pour ouvrir l'oeil)*... — tu westchnął odniechcenia — ... aby porozumiewał się sygnałami z holującym okrętem — rozumie pan? — i tak dalej. Zresztą było to i moje zdanie. Przygotowaliśmy nasze łodzie do spuszczenia — a ja na tym okręcie

zarządziłem także co trzeba... *Enfin.* Zrobiło się co się mogło. To była trudna sprawa. Trzydzieści godzin. Przyrządzili mi jakiś posiłek. A co do wina — rób co chcesz — ani kropli. — Jakimś nadzwyczajnym sposobem — nie wychodząc napozór z bezwładu — zdołał ujawnić uczucie głębokiego niesmaku — bez żadnej dostrzegalnej zmiany we flegmatycznej twarzy. — Ja — wie pan — kiedy mi przyjdzie jeść bez mojej szklanki wina — ani rusz".

— Obawiałem się że się będzie rozwodził nad tą krzywdą, bo choć nie poruszył żadnym członkiem, choć ani jeden z jego rysów nie drgnął, łatwo było zdać sobie sprawę, jak bardzo go to wspomnienie rozdrażnia. Ale zdawał się wnet o tem zapominać. Powierzyli znaleziony statek „władzom portowym", jak się wyraził. Uderzył go spokój, z jakim to zostało przyjęte.

— „Można było pomyśleć, że przyprowadzają im codzień taką dziwną zgubę *(drôle de trouvaille).* Wy to doprawdy jesteście nadzwyczajni" — zauważył, oparłszy się plecami o ścianę, sam zaś wyglądał na równie zdolnego do ujawniania swych uczuć jak wór z mąką. Tak się złożyło, że w porcie stał wówczas wojenny okręt i parowiec z marynarki indyjskiej; Francuz nie ukrywał podziwu dla sprawności, z jaką łodzie owych statków opróżniły *Patnę.* Nieruchawy sposób bycia tego człowieka nie ukrywał w gruncie rzeczy niczego; była w nim owa tajemnicza, niemal cudowna siła wywierania silnych wrażeń zapomocą środków prawie niemożliwych do odkrycia — co jest ostatniem słowem najwyższej sztuki.

— „Dwadzieścia pięć minut — z zegarkiem w ręku — dwadzieścia pięć, nie więcej... — Rozplótłszy

palce, splótł je znowu, nie odejmując rąk od brzucha; zrobiło to daleko większy efekt, niż gdyby w zdumieniu wyrzucił ramiona ku niebu. — Wszyscy ci ludzie (*tout ce monde)* znaleźli się na brzegu — razem ze swemi manatkami — została tylko straż złożona z marynarzy (*marins de l'état)* i ten interesujący trup (*cet intéressant cadavre)*. Dwadzieścia pięć minut...“

— Wyglądał ze spuszczonemi oczami i głową trochę przechyloną, jakby się rozkoszował ze znawstwem świetnie wykonaną robotą. Przekonał mię bez żadnych dalszych wywodów, jak dalece było warto zasłużyć na jego uznanie. Pogrążywszy się znowu w bezruchu — z którego prawie nie wychodził — opowiadał dalej że, mając rozkaz aby jaknajprędzej dotrzeć do Tulonu, wyruszyli już po upływie dwóch godzin — „tak że (*de sorte que)* w tem zdarzeniu z mego życia (*dans cet épisode de ma vie)* wiele rzeczy pozostało dla mnie niewyjaśnionych.“

Rozdział XIII

— Po tych słowach, nie zmieniając wcale postawy, poddał się biernie, że tak powiem, milczeniu. Dotrzymywałem mu towarzystwa, gdy nagle — choć nie raptownie — przemówił, jakby wypełnił się czas, kiedy mu było sądzone wyjść z bezruchu i odezwać się swym zwykłym głosem, spokojnym i zachrypłym:

— „*Mon Dieu!* jak ten czas mija!“

— Nic pospolitszego od tej uwagi, ale wypowiedzenie jej zbiegło się dla mnie z chwilą wizji. To nie do wiary, jak my idziemy przez życie z przymkniętemi oczyma, z przytępionemi uszami, z senną myślą. Może to i dobrze; może właśnie ta tępota czyni życie — dla niezmiernej większości ludzi — znośnem i pożądanem. Jednakże tylko bardzo nieliczni nie doznają rzadkich chwil ocknienia, kiedy się widzi, słyszy, rozumie tak wiele — wszystko — w jednym błysku — póki się nie zapadnie z powrotem w przyjemną drzemkę. Podniosłem oczy podczas gdy mówił i ujrzałem go, jakbym go nigdy przedtem nie widział. Ujrzałem jego brodę, opuszczoną na piersi, niezgrabne fałdy munduru, splecione ręce, nieruchomą postawę nasuwającą dziwną myśl, że został tam poprostu porzucony. Czas rzeczywiście mijał; prześcignął tego człowieka i wysforował się naprzód. Zostawił go beznadziejnie w tyle z paru ubogiemi darami: siwą jak stal czupryną, znu-

żeniem wypisanem na opalonej twarzy, dwiema bliznami, parą wytartych szlif. Ów człowiek należał do tych spokojnych, godnych zaufania ludzi, stanowiących surowy materjał, z którego wyrastają wielkie sławy; było to jedno z niezliczonych istnień, grzebanych bez trąb i bębnów — istnień, które są podwalinami wspaniałych osiągnięć.

— „Jestem obecnie trzecim porucznikiem na *Victorieuse* (był to wówczas flagowy okręt francuskiej eskadry na oceanie Spokojnym) — rzekł, odrywając plecy od ściany na parę cali ażeby mi się przedstawić. Skłoniłem się lekko po mojej stronie stołu i powiedziałem, że dowodzę handlowym okrętem zakotwiczonym obecnie w Rushcutters'Bay. Oświadczył iż go zauważył — taki ładny, niewielki statek. Mówił o nim po swojemu — bardzo uprzejmie a obojętnie. O ile pamiętam, zdobył się nawet na uprzejme skinienie głową i powtarzał, oddychając ciężko:

— „Tak, tak. Mały statek na czarno pomalowany — bardzo ładny — bardzo ładny *(très coquet)*. Po niejakim czasie obrócił się zwolna całem ciałem, aby się znaleźć nawprost szklanych drzwi po prawej stronie. — Nudne miasto *(triste ville)* — zauważył, wpatrując się w ulicę. Dzień był słoneczny; szalał południowy wicher i tarmosił przechodniów, mężczyzn i kobiety — idących po trotuarze; zalane słońcem fronty domów z drugiej strony ulicy były przesłonięte kłębami pyłu wzbijającego się wysoko. — Wysiadłem na brzeg — powiedział — żeby trochę nogi rozprostować, ale... — Nie skończył i zapadł znów w głąb bezruchu. — Proszę pana, niech mi pan powie — zaczął z rozwagą, ocknąwszy się znowu — co tam było właściwie *(au*

juste) na dnie tej sprawy? To ciekawe. Naprzykład — ten umarły — i tak dalej?"

— „Byli tam również i żywi ludzie — rzekłem — o wiele ciekawsi."

— „Pewnie, pewnie — zgodził się półgłosem i — jakby po chwili dojrzałej rozwagi — szepnął: — Oczywiście."

— Nie dałem się prosić i opowiedziałem mu o tem, co mnie w tej sprawie najbardziej zajmowało. Sądziłem że ma prawo wiedzieć: czyż nie spędził trzydziestu godzin na pokładzie *Patny*, czy jej — że się tak wyrażę — nie odziedziczył, czy nie zrobił wszystkiego co było w jego mocy? Przysłuchując mi się, wyglądał na księdza bardziej niż kiedykolwiek, a przytem — pewnie z powodu spuszczonych oczu — miał wyraz pobożnego skupienia. Raz czy dwa podniósł brwi (nie podnosząc jednak powiek), jakby chciał powiedzieć: „O, do djabła!" Raz jeden wykrzyknął spokojnie: „No, no!" zciszonym głosem, a kiedy skończyłem, ściągnął usta powoli i gwizdnął z żalem.

— U każdego innego mogło to być oznaką nudy, dowodem obojętności; ale on w tajemniczy swój sposób umiał przybrać w bezruchu wyraz głębokiego zrozumienia, rojącego się od cennych myśli. Wreszcie powiedział tylko: „Bardzo zajmujące" — grzecznym tonem, nie głośniejszym prawie od szeptu. Zanim jeszcze przetrawiłem swój zawód, dodał, niby mówiąc do siebie: „Otóż to. Otóż to właśnie." Broda jego opadła jakgdyby niżej na piersi, ciało zaciężyło bardziej na krześle. Chciałem go właśnie zapytać, co ma na myśli, gdy spostrzegłem że coś nakształt drgnienia przebiegło po całem jego ciele — jak się widzi czasem lekką zmarszczkę na stojącej wodzie, nim się jeszcze poczuje wiatr.

— „Więc ten biedny chłopiec uciekł z tamtymi“ — rzekł spokojnie z powagą.

— Nie wiem co mię skłoniło do uśmiechu; o ile pamiętam, jedyny raz się wtedy uśmiechnąłem w związku z ową sprawą. Ale to proste stwierdzenie rzeczy brzmiało tak zabawnie po francusku: „*s'est enfui avec les autres,*“ powiedział porucznik. I nagle zacząłem podziwiać bystrość tego człowieka. Trafił odrazu w sedno: wyłuskał jedyną rzecz, o którą mi chodziło. Miałem wrażenie, że zasięgam opinji znawcy o tym wypadku. Niewzruszony i dojrzały spokój Francuza upodabniał go do eksperta, który owładnął faktami, i dla którego ludzkie kłopoty są poprostu dziecinną zabawką.

— „Ach, ci młodzi, ci młodzi! — rzekł pobłażliwie. — A w gruncie rzeczy z tego się nie umiera.“

— „Z czego? — spytałem szybko.

— „Ze strachu.“

— Wyjaśnił o co mu chodzi i pociągnął łyk ze szklanki. Spostrzegłem iż trzy ostatnie palce ręki, na której miał bliznę, były sztywne i nie mogły się niezależnie od siebie poruszać, tak że podnosił szklankę nieporadnie.

— „Człowiek zawsze się boi. Niech mówią co chcą, ale... — Postawił niezgrabnie szklankę z powrotem. — Strach, strach — uważa pan — jest zawsze tutaj... — Dotknął piersi obok mosiężnego guzika, w tem samem miejscu gdzie Jim się uderzył, zapewniając że jego serce jest w porządku. Prawdopodobnie zrobiłem jakiś ruch przeczący, bo porucznik obstawał przy swojem: — Tak, tak. Człowiek gada i gada, wszystko to bardzo pięknie; ale koniec końców nie jest się mędrszym od pierwszego lepszego człowieka — ani też odważniejszym. Odwaga! O to nie trudno.

Wycierałem kąty — *(J'ai roulé ma bosse)* — rzekł, używając tego wyrażenia z niewzruszoną powagą — po wszystkich częściach świata; znałem ludzi odważnych — i jak jeszcze! *Allez!* — Popił niedbale ze szklanki. — Na służbie — rozumie pan — odważnym być się musi — tego wymaga nasz zawód *(le métier veut ça)*. Prawda? — odwołał się do mnie porozumiewawczo. — *Eh bien!* każdy człowiek — jeśli jest uczciwy *bien entendu* — wyzna że przychodzi chwila — przychodzi taka chwila — na najtęższego z nas — przychodzi skądś taka chwila, kiedy się wszystko z rąk wypuszcza *(vous lâchez tout)*. I trzeba żyć z tą prawdą — uważa pan? Przy pewnym zbiegu okoliczności strach przychodzi napewno. Paniczny strach *(un trac épouvantable.)* A nawet i dla ludzi, którzy tej prawdy nie uznają, strach jednakże istnieje — strach przed samym sobą. Bezwzględnie. Niech mi pan wierzy. Tak, tak... W moim wieku człowiek wie co mówi — *que diable!...* — Wypowiedział to wszystko tak beznamiętnie, jakby oderwana mądrość przez niego mówiła i zaczął zwolna kręcić wielkiemi palcami, co spotęgowało jeszcze wrażenie wywołane przez jego obojętność. — To jest oczywiste — *parbleu!* — ciągnął dalej — bo wbrew wszelkim postanowieniom wystarczy zwyczajny ból głowy albo niestrawność *(un dérangement d'estomac)* ażeby... Weźmy mnie, naprzykład — przetrzymałem różne próby. *Eh bien!* Ja, który do pana mówię, pewnego razu...

— Wysączył resztę napoju i zaczął znów obracać palcami. — Nie, nie, od tego się nie umiera — wyrzekł ostatecznie, a kiedy się przekonałem, że nie ma zamiaru opowiadać dalej swego przeżycia, poczułem wielki zawód, tembardziej że — rozumiecie — trudno było nalegać aby się zwierzał z tego rodzaju historji. Siedziałem,

milcząc, on także, i zdawało się że to mu najbardziej dogadza. Nawet jego palce znieruchomiały. Wtem poruszył znowu wargami. — Tak to, tak — zaczął flegmatycznie. Człowiek urodził się tchórzem *(l'homme est né poltron)*. W tem cała trudność — *parbleu!* Inaczej byłoby zbyt łatwo. Ale przyzwyczajenie — przyzwyczajenie — konieczność — rozumie pan? — oczy innych ludzi — *voilà!* człowiek daje sobie z tem radę. A jeszcze i przykład tych, którzy nie lepsi są od nas a jednak trzymają się dzielnie...“

— Głos jego ucichł.

— „Tamten młody człowiek — niech pan to zauważy — nie miał żadnej z tych podniet, przynajmniej w owej chwili“ — rzekłem.

— Podniósł brwi pobłażliwie.

— „Ja nie mówię — ja nic nie mówię. Młody człowiek, o którym rozmawiamy, mógł mieć najlepsze chęci — najlepsze chęci“ powtórzył, sapiąc zlekka.

— „Cieszy mnie że pan się zapatruje na to wyrozumiale — rzekłem. — On był pod tym względem pełen najlepszych nadziei i...“

— Urwałem, gdyż porucznik szurgnął nogami pod stołem. Podciągnął ciężkie powieki. Mówię: podciągnął, bo żadne inne wyrażenie nie oddałoby spokojnej rozwagi tego ruchu — i nareszcie ujawnił mi się zupełnie. Patrzyły na mnie dwa małe kółka, jak dwa drobne stalowe pierścienie otaczające czerń źrenic. Ten ostry wzrok — w związku z masywnym korpusem porucznika — robił wrażenie niezmiernej sprawności, jak berdysz wyostrzony nakształt brzytwy.

— „*Pardon* — rzekł Francuz z wyszukaną uprzejmością. Podniósł prawą rękę i pochylił się naprzód. — Niech mi pan pozwoli... Twierdziłem że można bardzo

dobrze sobie radzić, choć się wie że odwaga sama z siebie nie przychodzi *(ne vient pas tout seul).* Nic w tem znów niema takiego, coby mogło wytrącić człowieka z równowagi. Jedna prawda więcej nie powinna życia uniemożliwiać... Ale honor — honor, proszę pana... Honor!... to jest rzeczywiste, to istnieje naprawdę. A co życie może być warte, jeśli... — porwał się na nogi gwałtownie i ciężko, niby spłoszony wół gramolący się z trawy — ...jeśli honor jest stracony — *ah ça! par exemple* — nie mogę się co do tego wypowiedzieć — ponieważ — *monsieur* — nic o tem nie wiem.“

— Wstałem również; usiłowaliśmy obaj przybrać jaknajuprzejmiejszą minę, stojąc niemo naprzeciw siebie, jak dwa porcelanowe pieski na kominku. A niechże go! Przekłół bańkę mydlaną. Zaraza błahości, która czyha na ludzkie wywody, spadła na naszą rozmowę i zmieniła ją w puste dźwięki.

— „Bardzo pięknie — rzekłem z zakłopotanym uśmiechem — więc może wszystko polega na tem, żeby ukryć to co należy?“

— Miałem wrażenie że odetnie mi się natychmiast, lecz zmienił zdanie nim jeszcze zaczął mówić.

— „To, proszę pana, jest dla mnie za mądre — to mnie przerasta — ja o takich rzeczach nie myślę.“

— Skłonił się ciężko nad czapką, którą trzymał przed sobą za daszek między wielkim i wskazującym palcem okaleczonej ręki. Skłoniłem się również. Kłanialiśmy się jednocześnie; szurgaliśmy nogami bardzo ceremonialnie jeden przed drugim, a brudny kelner przyglądał się nam krytycznie, jakby był za to przedstawienie zapłacił. — „*Serviteur*“, powiedział Francuz. Znowu szurgnięcie. „*Monsieur*“... „*Monsieur*“... Szklane

drzwi zamknęły się za jego szerokiemi plecami. Widziałem jak południowy wicher porwał go i pchał przed sobą; Francuz trzymał rękę u głowy i naprężał ramiona, a poły munduru oblepiały mu się naokoło nóg.

— Siadłem z powrotem, samotny i zniechęcony do sprawy Jima. Nie dziwcie się, że po upływie trzech lat jego historja pozostała dla mnie aktualna; wtedy właśnie dopiero co z nim się spotkałem. Przybyłem prosto z Samarangu, gdzie brałem ładunek dla Sydneju; była to mała zajmująca tranzakcja — którą obecny tu Karolek nazwałby jednem z mych rozsądnych posunięć. Otóż w Samarangu widywałem się z Jimem od czasu do czasu. Był zatrudniony wtedy u De Jongha, któremu go poleciłem. Pracował jako subjekt. „Mój przedstawiciel na wodzie“, jak go De Jongh nazywał. Nie można sobie wystawić życia bardziej pozbawionego wszelkiej pociechy, bardziej wyzutego z najdrobniejszej iskierki świetnych pozorów — chyba tylko zajęcie agenta od ubezpieczeń. Mały Bob Stanton — obecny tu Karolek znał go dobrze — doświadczył tego na własnej skórze. To ten sam właśnie, który potem utonął, starając się wyratować pannę służącą podczas zatonięcia *Sephory*. Pamiętacie może — taki wypadek zderzenia mglistym rankiem niedaleko hiszpańskiego brzegu. Wszyscy pasażerowie zostali zapakowani porządnie do łódek i odwiezieni dobry kawał od statku, kiedy Bob wrócił i wlazł znowu na pokład po tę dziewczynę. Nie umiem powiedzieć jakim sposobem ją zostawiono; w każdym razie oszalała zupełnie ze strachu — nie chciała statku opuścić, trzymając się poręczy niby kleszczami. Z łodzi widać było dokładnie jak się mocują z Bobem, ale biedak był najmniejszy

wzrostem ze wszystkich oficerów w marynarce handlowej, a ta kobieta miała pięć stóp dziesięć cali i była podobno silna jak koń. Szamotali się to w jedną, to w drugą stronę, nieszczęsna dziewczyna wrzeszczała jednym głosem, a Bob od czasu do czasu krzyczał na swoich ludzi, żeby się trzymali w porządnej odległości od statku. Jeden z majtków mówił mi potem, kryjąc uśmiech na to wspomnienie:

— „Dalibóg, panie kapitanie, wyglądało to jakby niegrzeczny malec bił się ze swoją matką". Ten sam stary majtek opowiadał mi innym razem: „W końcu zobaczyliśmy że pan Stanton przestał ciągnąć dziewczynę, tylko stał i patrzył na nią, jakby jej pilnował. I ot co przyszło nam potem na myśl: pewnie liczył na to, że prąd wody oderwie ją od poręczy i umożliwi mu ratunek. Nie odważyliśmy się zbliżyć do okrętu; po krótkiej chwili poszedł nagle na dno, przechyliwszy się na prawą burtę — chlup! Woda wessała wszystko ze straszliwą siłą. Nie widzieliśmy nigdy aby coś żywego lub martwego wydostało się na powierzchnię".

— Zdaje się że krótki pobyt biednego Boba na wybrzeżu był wynikiem miłosnych komplikacyj. Bob cieszył się nadzieją iż skończył z morzem raz na zawsze, i był przekonany że największe szczęście na ziemi stało się jego udziałem, tymczasem skończyło się na tej agenturze od ubezpieczeń. Jakiś jego kuzyn z Liverpoolu wsadził go do tego interesu. Bob opowiadał nam często swoje doświadczenia na tem polu. Tak nas rozśmieszał, że w końcu zawsześmy się popłakali. A Bob, wcale zadowolony z wywołanego wrażenia, stał między nami, malutki, z brodą po pas, podobny do krasnoludka, i mówił, podnosząc się na czubki palców:

— „Dobrze wam się śmiać, szelmy, ale mówię wam — po tygodniu takiej roboty nieśmiertelna dusza kurczy się w człowieku jak zeschnięte ziarnko grochu“.

— Nie wiem, jak dusza Jima przystosowała się do nowych warunków życia — zanadto mię zaprzątało wynalezienie dla niego zajęcia, któreby mu zapewniło jaką taką egzystencję — ale nie wątpię że bujna jego wyobraźnia cierpiała straszne męki głodu. Z całą pewnością nie miała się czem karmić w tym nowym zawodzie Jima. Boleśnie było patrzeć na niego przy tej pracy, choć trzeba przyznać z uznaniem, że odwalał ją z upartą pogodą. Patrzyłem jak się mozolił nad nędzną robotą, i zdawało mi się że to jest kara za bohaterskie rojenia jego imaginacji — pokuta za pożądanie chwały, której nie był w stanie udźwignąć. Zanadto się rozmiłował w wyobrażaniu sobie, że jest wspaniałym wyścigowcem, a teraz został skazany na niezaszczytny znój, jak szkapa woziwody. Wykonywał bardzo dobrze swe obowiązki. Zamknął się w sobie, spuścił głowę, nie poskarżył się nigdy ani słowem. Bardzo to było piękne, doprawdy — wyjąwszy niektóre fantastyczne i gwałtowne wybryki Jima przy tych nieszczęsnych okazjach, kiedy nieposkromiona historja *Patny* na wierzch wypływała. Ten skandal ze wschodnich wód nie dawał się niestety pogrzebać. I właśnie dlatego nie mogłem mieć poczucia, że na dobre z Jimem skończyłem.

— Siedziałem więc po odejściu francuskiego porucznika, myśląc o Jimie, ale rozpamiętywania moje nie były związane z chłodnym, posępnym pokojem przy sklepie De Jongha, gdzieśmy niedawno zamienili z Jimem pośpieszny uścisk ręki. Wspominałem jak siedzieliśmy sam na sam — przed kilku laty — na

długiej werandzie Malabarskiego hotelu; świeca rzucała ostatnie błyski, a za plecami Jima był chłód i mrok nocy. Dostojny miecz ojczystego prawa wisiał nad jego głową. Jutro — a może już dzisiaj? — (było dobrze po północy nimeśmy się rozeszli) — sędzia pokoju o marmurowej twarzy ukarze grzywnami i więzieniem winnych ze sprawy o napad i pobicie, a potem wzniesie straszną broń i uderzy w pochylony kark Jima. Nasza nocna rozmowa przypominała dziwnie ostatnią noc spędzoną ze skazańcem. Przecież Jim zawinił naprawdę. Powtarzałem to sobie raz po raz: zawinił i był człowiekiem zgubionym; a jednak pragnąłem mu oszczędzić szczegółów formalnej egzekucji. Nie będę tu wyjaśniał dlaczego — zresztą chybabym nie potrafił; ale jeśli nie orjentujecie się jeszcze w tem wszystkiem, to albo moje opowiadanie było bardzo niejasne, albo też wy zbyt senni by uchwycić treść moich słów. Ani myślę bronić swej moralności. Nie było moralności w porywie, który mię skłonił do przedstawienia Jimowi planu Brierly'ego — planu ucieczki — w całej jego że tak powiem prymitywnej prostocie. Miałem przy sobie te rupje — w kieszeni — gotowe do jego użytku. Och, to tylko pożyczka, naturalnie że pożyczka; a może przydałby się Jimowi list polecający do mego znajomego (w Rangunie), któryby mógł mu wynaleźć jakieś zajęcie... Ależ z największą przyjemnością! Mam pióro, atrament i papier w pokoju na pierwszem piętrze. I w chwili gdy to mówiłem, zapragnąłem natychmiast ten list napisać: dzień, miesiąc, rok, druga trzydzieści nad ranem... W imię naszej dawnej przyjaźni proszę cię o wynalezienie jakiegoś zajęcia dla p. Jakóba takiego a takiego, który... i t. d. i t. d. Byłem gotów pisać o Jimie w tym sensie. Jeśli nie zyskał całej mojej sympatji,

zdobył dla siebie coś więcej — dotarł do samego dna, do źródła tego uczucia, do tajnej uczuciowości mego egoizmu. Nic przed wami nie ukrywam, bo w przeciwnym razie wydałbym się wam bardziej niezrozumiały niż sobie człowiek może na to pozwolić; powtóre zaś — jutro zapomnicie i moją szczerość, i wszystkie inne lekcje przeszłości. W tej sprawie — mówiąc brutalnie i jasno — ja byłem człowiekiem bez skazy; lecz subtelna niemoralność mych zamiarów została pokonana przez moralną prostotę przestępcy. Bezwątpienia Jim był też samolubny, ale jego samolubstwo miało szlachetniejsze źródło, wyższy cel. Przekonałem się że — bez względu na wszystkie moje argumenty — Jim pragnął być obecny przy obrzędzie egzekucji; to też nie mówiłem z nim wiele na ten temat, gdyż czułem iż jego młodość będzie potężnym przeciw mnie argumentem: wierzył w to, o czem nawet wątpić już dawno przestałem. Było coś pięknego w szaleństwie jego niewyrażonej, ledwie skrystalizowanej nadziei.

— „Uciec! Nawet myśleć o tem nie mogę“ — rzekł, potrząsając głową.

— „Proponuję panu coś, za co nie żądam ani nie oczekuję żadnej wdzięczności — rzekłem; — odda pan dług, kiedy panu będzie wygodnie, i ...“

— „Strasznie pan jest dobry“ — mruknął, nie podnosząc oczu. Śledziłem go bacznie; jakże niepewnie musiała mu się przyszłość przedstawiać; ale nie ugiął się, jakby rzeczywiście serce miał wytrzymałe na wszystko. Poczułem gniew — zresztą nie poraz pierwszy tej nocy.

— „Sądzę że ta cała nędzna historja — rzekłem — już i tak dość jest gorzka dla takiego jak pan człowieka...“

— „O tak, o tak — szepnął po dwakroć z oczami wbitemi w podłogę. To było rozdzierające. Twarz jego górowała nad światłem; widziałem puch na jego policzku, ciepły kolor rumieńca pod gładką skórą. Wierzcie mi albo nie wierzcie, ale twierdzę że to było okropnie rozdzierające. Pobudziło mię do brutalności.

— „Aha — rzekłem; — więc niech mi pan pozwoli wyznać, że nie jestem w stanie sobie wyobrazić, jakiego pożytku pan się spodziewa po tem babraniu się w błocie“.

— „Pożytku!“ — wyszeptał z głębi swego milczenia.

— „Niech mnie djabli wezmą, jeśli wiem o co panu chodzi“ — rzekłem z wściekłością.

— „Usiłowałem panu powiedzieć wszystko co o tem myślę — rzekł powoli, jakby rozmyślając o czemś, co się nie da wyrazić. — Ale ostatecznie to przecież jest moja sprawa. — Otworzyłem usta aby mu się odciąć i nagle przekonałem się, że tracę do siebie całe zaufanie; a i on także jakby machnął na mnie ręką, gdyż pomrukiwał niby człowiek, który nawpół głośno rozmyśla: — Poszli sobie... poszli do szpitala... Żaden z nich nie chciał stawić temu czoła... Cóż to za... — poruszył zlekka ręką aby zaznaczyć swoją pogardę. — Ale ja muszę przejść przez to, nie wolno mi się od tego wykręcać, bo inaczej... Nie będę się uchylał od niczego“.

— Zamilkł. Wpatrywał się w przestrzeń, jakby go nawiedziła jakaś wizja. Twarz jego odbijała nieświadomie pogardę, rozpacz, postanowienie — odbijała je kolejno, jak zwierciadło magiczne odbija przesuwające się nieziemskie kształty. Żył pośród złudnych widm, pośród surowych cieni.

— „Ależ to głupstwo, kochany chłopcze“ — zacząłem. Poruszył się z niecierpliwością.

— „Mam wrażenie że pan mnie nie rozumie — rzekł dobitnie i dodał, patrząc na mnie nieugięcie: — Mogłem skoczyć, ale uciekać nie będę“.

— „Nie chciałem pana obrazić — rzekłem. — I lepsi od pana uważali czasem ucieczkę za wskazaną“ — zakończyłem w idjotyczny sposób. Pokrył się rumieńcem, a ja w zmieszaniu o mało co się nie udławiłem własnym językiem.

— „Może i tak — rzekł w końcu — widać do nich nie dorosłem; nie mogę sobie na to pozwolić. Jestem obowiązany walczyć z tem do ostatka — i walczę — *teraz*“. — Wstałem z krzesła i poczułem, że członki zupełnie mi zesztywniały. Chcąc przerwać kłopotliwe milczenie, nie potrafiłem wymyślić nic lepszego od uwagi, wypowiedzianej lekkim tonem:

— „Nie miałem pojęcia że już tak późno“.

— „Myślę że pan ma tego wszystkiego dosyć — rzekł szorstko; — a mówiąc szczerze — zaczął się rozglądać za kapeluszem — to i ja także“.

— Więc odrzucił tę jedyną propozycję. Odtrącił moją pomocną dłoń; był teraz gotów do odejścia, a za balustradą noc zdawała się nań czekać bardzo spokojnie, jakby był przeznaczoną dla niej zdobyczą. Usłyszałem jego głos: „Aha, jest tutaj“. Znalazł kapelusz. Wahaliśmy się przez parę sekund.

— „Co pan zrobi po — po“... — zapytałem bardzo cicho.

— „Pójdę sobie pewnie do djabła“ — mruknął cierpko. W pewnej mierze odzyskałem już panowanie nad sobą i osądziłem że będzie najlepiej, gdy wezmę to lekko.

— „Niech pan pamięta — rzekłem — że chciałbym bardzo jeszcze się z panem widzieć, nim pan odjedzie“.

— „Nie widzę coby panu mogło w tem przeszkodzić. Przez tę przeklętą historję nie stanę się niewidzialny — rzekł z głęboką goryczą — to szczęście mi nie grozi“. — A potem, w chwili gdyśmy się żegnali, uraczył mię co się zowie: zaczął się jąkać, a jego ruchy zdradziły okropną wątpliwość. Boże odpuść mu — a i mnie także! Wbił sobie w szaloną głowę, że może będę robił jakieś trudności w podaniu mu ręki. Niepodobna opisać, jakie to było straszne. Zdaje mi się że krzyknąłem raptem na niego, jak się wrzeszczy na człowieka, któremu grozi upadek ze skały; pamiętam nasze podniesione głosy, żałosny uśmiech na jego twarzy, miażdżący uścisk ręki, nerwowy śmiech. Świeca zagasła, trzeszcząc, i wreszcie się to skończyło, tylko z mroku jęk do mnie przypłynął. Jim odszedł. Noc połknęła jego postać. Okropny był z niego niezgraba, okropny. Słyszałem szybki zgrzyt żwiru pod jego stopami. Biegł. Biegł dosłownie, i nie miał dokąd się udać. A nie skończył jeszcze dwudziestu czterech lat.

Rozdział XIV

— Spałem niewiele, zjadłem z pośpiechem śniadanie i po krótkim namyśle zaniechałem rannej bytności na swoim statku. Było to doprawdy niedbalstwo, bo mój pierwszy oficer, dzielny człowiek pod każdym względem, padał często ofiarą tak czarnych przywidzeń, że jeśli naprzykład w oznaczonym czasie nie dostał listu od żony, szalał ze wściekłej zazdrości, wypuszczał z rąk robotę, kłócił się ze wszystkimi i albo płakał u siebie w kajucie, albo podlegał takim napadom gwałtowności iż doprowadzał załogę prawie do buntu. Nigdy nie mogłem zrozumieć tego człowieka; pobrali się przed trzynastu laty; widziałem kiedyś przelotnie jego żonę i mówiąc szczerze, nie umiem sobie wyobrazić człowieka tak opuszczonego, aby mógł się pogrążać w grzechu dla równie mało pociągającej osoby. Nie wiem czy dobrze zrobiłem, powstrzymując się od otwarcia oczu biednemu Selvinowi; dręczył się jak potępieniec, a i ja cierpiałem przez to pośrednio — lecz przeszkodził mi pewien rodzaj delikatności, z pewnością fałszywej. Małżeńskie stosunki marynarzy byłyby tematem bardzo interesującym; mógłbym wam zacytować różne przykłady... Ale tu nie miejsce ani czas na to, zajmujemy się Jimem — który nie był żonaty. Przeczulone jego sumienie, duma, owe cudaczne zjawy i surowe widma — zgubni towarzysze jego młodości — wszystko to nie

pozwalało mu uciec od szafotu; mnie zaś — którego oczywiście nie można podejrzewać o obcowanie z taką jak Jim kompanją, ciągnęło nieodparcie aby ujrzeć jego toczącą się głowę. Poszedłem więc w stronę sądu. Nie cieszyłem się nadzieją, że doznam wstrząsających wrażeń, że będę szczególnie zbudowany, przejęty, lub nawet przestraszony — albowiem porządny strach od czasu do czasu jest zbawienną tresurą dla tych, co mają jeszcze trochę życia przed sobą. Ale nie spodziewałem się także, iż mnie to tak okropnie przygnębi. Gorycz jego kary polegała na jej chłodnej, pospolitej atmosferze. Istotą przestępstwa jest nadużycie ludzkiego zaufania, i z tego punktu widzenia Jim był nie bylejakim przestępcą, ale jego egzekucja okazała się czemś bardzo nędznem. Nie było tam wysokiego rusztowania, ani szkarłatnego sukna (czy też mieli szkarłatne sukno na Tower Hill? powinni byli je mieć), ani też przejętego grozą tłumu, któryby się przeraził jego winy i przejął do łez jego losem; kara, która spadła na Jima, nie wyglądała na ponure zadosyćuczynienie. Natomiast — gdy szedłem do sądu — błyszczało słońce, zbyt olśniewające i namiętne aby koić i uspokajać; ulice pełne były różnokolorowych plam — jak w zepsutym kalejdoskopie — żółtych, zielonych, błękitnych, oślepiająco białych: tu brunatna nagość odkrytego ramienia, tam wóz o czerwonym baldachimie, zaprzężony w bawoły, lub ciemnogłowy oddział krajowej piechoty — w zakurzonych butach — maszerujący brunatną kolumną; policjant krajowiec w ciemnym, ciasnym mundurze, przepasany skórzanym pasem, spojrzał na mnie żałosnemi, wschodniemi oczami, jakby jego wędrowny duch cierpiał dotkliwie nad tym nieprzewidzianym — jakże to się nazywa? — awatarem —

wcieleniem. Na dziedzińcu przed sądem siedzieli w cieniu samotnego drzewa wieśniacy wplątani w sprawę o pobicie; tworzyli malowniczą grupę, podobną kubek w kubek do chromolitografji przedstawiającej obozowisko, z książki o podróży na wschód. Brakowało tylko obowiązkowego słupa dymu na pierwszym planie i pasących się zwierząt jucznych. Za drzewem wznosiła się wyższa od niego pusta żółta ściana i odbijała słoneczny blask. Sala sądowa była mroczna i robiła wrażenie obszerniejszej niż zwykle. Wysoko w półcieniu punki kołysały się krótkim ruchem tam i napowrót. Gdzieniegdzie postać zawinięta w zwoje tkanin, zdrobniała wśród wysokich, nagich ścian, tkwiła bez ruchu między rzędami pustych ław, jakby pogrążona w pobożnych rozmyślaniach. Strona powodowa, krajowiec który został pobity, otyły mężczyzna czekoladowej barwy, o ogolonej głowie, tłustych piersiach, obnażonych z jednej strony i jasnożółtem piętnie kastowem nad mostkiem nosa, siedział w pompatycznym bezruchu; połyskiwały tylko jego oczy, któremi toczył w mroku, a nozdrza rozdymały mu się gwałtownie przy oddychaniu. Brierly opadł na swoje krzesło; robił wrażenie zmęczonego, jakby spędził całą noc na ściganiu się po drodze wysypanej żużlami. Pobożny szyper żaglowca wydawał się podniecony i poruszał się niespokojnie, rzekłbyś opanowując z trudnością poryw aby wstać i wezwać nas żarliwie do modlitwy oraz żalu za grzechy. Twarz sędziego, blada i delikatna pod starannie zaczesanemi włosami, przypominała oblicze beznadziejnie chorego człowieka, którego uczesano, umyto i posadzono na łóżku. Odsunął na bok wazon z pękiem purpurowego kwiecia i paru różowemi kwiatami na długich łodygach, poczem chwycił oburącz

długi arkusz niebieskiego papieru, przejrzał go, wsparł się łokciami o brzeg biurka i zaczął czytać głośno równym, wyraźnym, obojętnym tonem.

— Jak mi Bóg miły! Bredziłem o szafotach i toczących się głowach, ale zapewniam was że to było stokroć gorsze od ścięcia. Dotkliwe poczucie nieodwołalności unosiło się nad tem wszystkiem, nie złagodzone przez nadzieję wypoczynku i bezpieczeństwa po ciosie topora. W tym wyroku była zimna mściwość skazania na śmierć i okrucieństwo skazania na wygnanie. Tak się na to zapatrywałem owego ranka — a nawet jeszcze dziś mi się zdaje, że w mem przesadnem ujęciu tego zwykłego zdarzenia było bezwzględnie trochę słuszności. A możecie sobie wystawić, jak głęboko czułem to w owej chwili. Może właśnie dlatego nie mogłem ani rusz uznać nieodwołalności wyroku. Byłem wiecznie zaprzątnięty tą kwestją, wiecznie spragniony cudzego zdania na ten temat, jakby sprawa nie była już przesądzona w ludzkiej opinji — w międzynarodowej opinji — słowo daję! Przypominam wam zdanie tego Francuza. Wypowiedział opinję swego narodu w beznamiętnej, ścisłej frazeologji, którejby użyła maszyna, gdyby maszyny mogły mówić. Twarz sędziego była nawpół zasłonięta przez papier; czoło jego wyglądało jak alabaster.

— Sąd miał odpowiedzieć na kilka pytań. Po pierwsze: czy statek był pod każdym względem odpowiednio wyekwipowany i gotów do podróży. Sąd uznał, że nie. Następne pytanie, o ile pamiętam, brzmiało: czy aż do chwili wypadku otaczano statek należytą marynarską opieką? Odpowiedzieli na to: tak — Bóg raczy wiedzieć dlaczego — a potem oświadczyli, że niczyje świadectwo nie ustaliło właściwej

przyczyny rozbicia. Może *Patna* natknęła się na pływające resztki jakiegoś statku? Pamiętam, że mniej więcej w tym samym czasie uznano za przepadły norweski bark z ładunkiem dziegciu, a był to właśnie ten rodzaj statku, który mógł się przewrócić wśród szkwału i pływać potem dnem do góry przez całe miesiące — niby morski zły duch, czyhający na okręty aby je mordować w ciemności. Takie wędrujące trupy są dość pospolite na północnym Atlantyku, który jest nawiedzany przez wszystkie morskie straszaki — mgły, góry lodowe, martwe statki o złych zamiarach i długie, ponure burze, które wpijają się w statek jak wampiry, póki nie wyssą z załogi wszystkich sił, i odwagi, i nawet nadziei, tak że człowiek się czuje jak wyciśnięta cytryna. Ale tam — na tamtych morzach — podobny wypadek dość był rzadki i wyglądał na specjalne zrządzenie jakiejś złowrogiej opatrzności — które wydawało się zupełnie bezcelowym szatańskim kawałem — chyba że miało na celu zabicie trzeciego mechanika i ściągnięcie na Jima czegoś gorszego od śmierci. Te myśli odciągnęły moją uwagę. Przez pewien czas głos sędziego dochodził mnie tylko jako dźwięk, ale naraz ukształtował się w wyraźne słowa i przemówił: „... z zupełnem lekceważeniem najprostszych obowiązków...“ Następne zdanie uszło mojej uwadze, a potem słuchałem znów: „... opuszczając w chwili niebezpieczeństwa powierzonych im ludzi oraz ich dobytek...“ ciągnął głos jednostajnie i zatrzymał się. Para oczu pod białem czołem strzeliła mrocznem spojrzeniem z nad brzegu arkusza. Popatrzyłem szybko na Jima, jakbym się spodziewał że zniknie. Siedział zupełnie nieruchomo, ale był tam wciąż na swem miejscu, jasnowłosy, różowy i niezmiernie uważny.

„Z tego powodu...“ zaczął głos dobitnie. Jim wpatrywał się z rozchylonemi ustami w człowieka za biurkiem, chłonąc jego słowa. Rozległy się wśród ciszy, niesione na fali powietrza wiejącego od punk, a mnie tak pochłonęło śledzenie wrażeń na twarzy Jima, że wpadły mi w ucho tylko strzępy urzędowego stylu: „... Sąd... Gustaw taki a taki, kapitan... rodem z Niemiec... Jakób taki a taki... oficer... świadectwa skasowane“. — Zapadło milczenie. Sędzia wypuścił z rąk papier, i oparłszy się bokiem o poręcz krzesła, zaczął rozmawiać swobodnie z Brierlym. Ludzie ruszyli ku wyjściu, inni pchali się na salę, a ja także poszedłem ku drzwiom. Przystanąłem na werandzie; gdy mię Jim mijał, kierując się ku bramie, chwyciłem go za ramię i zatrzymałem. Rzucił mi spojrzenie, które zmieszało mię, jakbym był za jego los odpowiedzialny; popatrzył na mnie niby na wcielone zło życia.

— „Już po wszystkiem“ — wyjąkałem.

— „Tak“ — odrzekł niewyraźnie. — A teraz niech nikt...“ — Wyszarpnął mi ramię. Patrzyłem za nim, gdy odchodził. Ulica była długa i przez pewien czas mogłem go widzieć. Szedł raczej pomału, rozstawiając nogi dosyć szeroko, jakby mu było trudno utrzymać się na prostej linji. Chwilę przedtem nim straciłem go z oczu, wydało mi się że zachwiał się zlekka.

— „Człowiek za burtą!“ — rzekł za mną głęboki głos. Odwróciwszy się, zobaczyłem pewnego marynarza, którego znałem bardzo mało, zachodniego Australijczyka nazwiskiem Chester. On także patrzył za Jimem. Chester miał niebywale rozwiniętą klatkę piersiową, chropowatą wygoloną twarz barwy mahoniu i dwie przystrzyżone kępki wąsów siwych jak stal, gęstych i szczecinowatych. Zajmował się poławianiem

pereł, przewożeniem ładunku z rozbitych statków, handlem, polowaniem na wieloryby, jak mi się zdaje — wogóle, wedle jego własnych słów uprawiał na morzu wszystkie możliwe zajęcia — prócz korsarstwa. Ocean Spokojny — od północy aż na południe — był jego myśliwskim terenem, ale tym razem zawędrował aż tak daleko od zwykłych szlaków, poszukując jakiegoś taniego parowca na sprzedaż. Odkrył niedawno — jak mi mówił — wyspę z pokładami guana, lecz dojazd do niej był niebezpieczny, a grunt kotwiczny conajmniej niepewny.

— „To poprostu kopalnia złota! — wykrzyknął. — W samym środku raf Walpole'a; prawda że nigdzie naokoło nie można zarzucić kotwicy płyciej niż na czterdzieści sążni, ale co z tego? Jeszcze i huragany panują tam w dodatku. Cóż to za interes — palce lizać. Prawdziwa żyła złota — co tam, lepsze to od żyły złota! A jednak żaden z tych durniów nie chce na to patrzeć. Nie mogę namówić ani jednego szypra czy armatora żeby to obejrzał. No więc postanowiłem że sam będę zwoził ten psiakrew towar“...

— Na to właśnie był mu potrzebny parowiec; wiedziałem że targował się zawzięcie z jakąś parsyjską firmą o stary bryg, morski anachronizm o sile dziewięćdziesięciu koni. Spotykaliśmy się i gawędziliśmy kilka razy. Patrzył doświadczonem okiem na Jima.

— „Wziął to do serca?“ — spytał pogardliwie.

— „I bardzo“ — odrzekłem.

— „No to nic nie jest wart — zawyrokował. — I o co tyle krzyku? O ten kawałek oślej skóry? To jeszcze nigdy nie postawiło człowieka na nogi. Trzeba patrzeć jasno na rzeczy — a jeżeli się tego nie potrafi, to lepiej odrazu się poddać: nigdy na tym świecie nie dojdzie

się do niczego. Niech pan spojrzy na mnie. Wziąłem sobie za zasadę nigdy nic nie brać do serca“.

— „Tak — rzekłem — pan to patrzy jasno na rzeczy“.

— „A teraz chciałbym wypatrzyć że mój wspólnik nadchodzi, nic więcej — rzekł. — Zna pan mojego wspólnika? To stary Robinson. Tak; ten Robinson. Czyżby pan nie wiedział? Osławiony Robinson. Człowiek, który swego czasu przemycił więcej opium i upolował więcej fok niż ktokolwiek z żyjących marynarzy. Mówiono o nim, iż napadał szkunery łowiące foki w okolicy Alaski podczas tak gęstej mgły, że tylko sam Pan Bóg mógł jednego człowieka od drugiego odróżnić. Robinson Święty Postrach. To ten właśnie. Robi ze mną w tym interesie z guanem. Najkorzystniejszy z interesów jakie mu się trafiły w życiu. — Zbliżył usta do mego ucha. — Ludożerca? Cóż, przezywali go tak przed wielu laty. Pamięta pan tę historję? Rozbił się statek na zachód od wyspy Stewart... tak, dobrze mówię; siedmiu ludzi dostało się na brzeg, i zdaje się że coś niebardzo się z sobą zgadzali. Niektórzy to są tacy sprzeczni; nie potrafią ani rusz zachować się odpowiednio jak wpadną w tarapaty — nie patrzą na rzeczy bez uprzedzeń — bez uprzedzeń, mój chłopcze! No i co z tego wychodzi? Jasne jak słońce: kłopoty a kłopoty; obrywają po łbie — i dobrze im tak. Największy pożytek z takich kpów, to kiedy wyciągną kopyta. Chodzą gadki, że łódź okrętu Jej Królewskiej Mości *Wolverine* znalazła Robinsona klęczącego na brzegu jak go Pan Bóg stworzył; wyśpiewywał jakiś psalm czy coś w tym rodzaju, a właśnie lekki śnieg padał. Robinson nie ruszył się, póki łódź nie podjechała na długość wiosła od brzegu, wtedy

dopiero zerwał się i w nogi. Polowali na niego po skałach w górę i na dół, wreszcie jeden z majtków rzucił kamieniem, który dosięgnął go szczęśliwie za uchem i zwalił z nóg bez przytomności. Czy był sam na tej wyspie? Oczywiście. Ale z tem jest taksamo jak z owemi pogłoskami o szkunerach łowiących foki: jeden Pan Bóg wie jak to się tam odbyło. Na kutrze nie bawiono się tak dalece w badania. Zawinęli go w pokrowiec od łodzi i odbili jaknajprędzej, bo zbliżała się ciemna noc, pogoda była groźna, a statek nawoływał ich wystrzałami z działa co pięć minut. W trzy tygodnie później Robinson miał się jaknajlepiej. Krzyk, co się podniósł naokoło tej historji po jego powrocie, nie wzruszył go ani trochę; Robinson zaciął zęby i pozwolił ludziom gadać. I tak dosyć miał trosk, bo stracił swój statek i wszystko co posiadał pozatem, to też nie zwracał uwagi na obelgi, które na niego rzucano. O, taki człowiek to mi odpowiada. — Podniósł rękę i kiwnął na kogoś znajdującego się u końca ulicy. — Ma tam trochę pieniędzy, to też musiałem go przypuścić do spółki. Musiałem! Byłoby grzechem przejść koło takiego skarbu, a sam byłem do cna wypłókany. Serce mnie bolało, ale cóż, patrzę się jasno na rzeczy i pomyślałem sobie: jeśli już muszę z kimś się dzielić, to niechże to będzie Robinson. Zostawiłem go w hotelu przy śniadaniu i poszedłem do sądu, bo mi pewna myśl zaświtała... A, dzieńdobry, panie kapitanie. Mój przyjaciel... — kapitan Robinson".

— Wychudły patrjarcha, w ubraniu z białej dymki i kasku z rondem podbitem zieloną podszewką, zbliżył się do nas, drepcząc i suwając nogami. Stanął, wsparty oburącz na rękojeści parasola. Biała broda o bursztynowych smugach zwieszała mu się w kłakach aż po

pas. Mrugał pomarszczonemi powiekami, patrząc na mnie w oszołomieniu.

— „Witam pana, witam“ — pisnął uprzejmie i zachwiał się na nogach. — „Trochę jest głuchy“ — rzekł Chester na stronie.

— „Więc pan wlókł go za sobą sześć tysięcy mil żeby kupić tanio parowiec?“ — zapytałem.

— „Na moje kiwnięcie palcem objechałby dwa razy cały świat dookoła — rzekł Chester z olbrzymią energją. — Ten parowiec postawi nas na nogi, mój chłopcze. Czy to moja wina, że wszyscy szyprowie i właściciele statków z całej Australazji okazali się skończonymi durniami? Mówiłem ja raz przez trzy godziny do jednego człowieka w Auckland. „Wyślij pan statek“, mówię do niego, „wyślijże pan statek. Dostaniesz pan pół pierwszego ładunku gratis — za darmo — byle tylko zrobić dobry początek“. A on odpowiada: „Nie zrobiłbym tego nawet wtedy, gdyby to było jedyne miejsce, dokąd można posłać statek“. Skończony osioł, naturalnie. I gada dalej, że tam naokoło rafy, prądy, kotwowiska ani śladu, chyba czepiać się gołych skał — że żadne towarzystwo ubezpieczeń nie chciałoby wziąć na siebie takiego ryzyka; że nie widzi sposobu aby załadować statek prędzej niż za trzy lata. Osioł! O mało co nie padłem przed nim na kolana. „Ależ patrz pan jasno na rzeczy“, mówię. „Pal sześć skały i huragany. Spójrz pan na to bez uprzedzeń. Przecież tam jest guano, plantatorzy trzciny cukrowej z Queenslandu będą bili się o nie — będą bili się o nie na bulwarze!“ Ale cóż głupiemu po rozumie? „To tam jeden z tych pańskich kawałów, Chester“, mówi do mnie. Ładny kawał! Ledwie się nie popłakałem. Niech pan spyta kapitana Robinsona...

A drugi armator, w Wellington — opasły chłop w białej kamizelce — myślał widocznie że knuję jakieś oszustwo. „Szukaj pan sobie innego kpa“, mówi, „bo ja jestem na razie zajęty. Dowidzenia“. Straszną miałem ochotę wziąć go oburącz i wyrzucić przez okno jego własnego biura. Ale nie zrobiłem tego. Byłem łagodny jak baranek. „Niech pan nad tem pomyśli“, mówię. „Niech pan doprawdy nad tem pomyśli. Jutro pana odwiedzę“. Mruknął coś w ten deseń, że „cały dzień nie będzie go w domu“. Na schodach o mały włos nie zacząłem walić głową o mur ze złości. Niechże kapitan Robinson poświadczy. Okropnie mi było pomyśleć o tym cudownym towarze marnującym się w słońcu — trzcina cukrowa strzeliłaby od niego pod same niebiosa. Cóż to za przyszłość dla Queenslandu! A w Brisbane, dokąd pojechałem żeby sprobować po raz ostatni, zrobili ze mnie warjata. Idjoci! Jedyny rozsądny człowiek, na którego się natknąłem, to dorożkarz co mię obwoził. Zdaje się że to był jakiś podupadły szykowiec, słyszy pan, kapitanie Robinson? Pamięta pan, co panu opowiadałem o moim dorożkarzu w Brisbane, co? Ten chłop to miał nadzwyczajne oko. W mig wszystko przeniknął. Rozkosz była z nim gadać. Raz wieczorem, po piekielnym dniu wśród tych armatorów, tak się źle czułem, że mówię do niego: „Muszę się upić. Chodź pan ze mną; muszę się upić bo oszaleję“. „Jestem na pańskie rozkazy“, mówi, „sypmy“. Nie wiem cobym był bez niego zrobił. Słyszy pan! Kapitanie Robinson!“

— Uderzył kułakiem w żebro swego wspólnika.

— „Hi, hi, hi! — zaśmiał się staruch, patrząc bezmyślnie wzdłuż ulicy, a potem spojrzał na mnie niepewnie smutnemi, mętnemi źrenicami. — Hi, hi, hi!“

— Wsparł się mocniej na parasolu i utkwił wzrok w ziemi. Nie potrzebuję wam mówić, że próbowałem odejść kilka razy, ale Chester zapobiegł tym usiłowaniom, chwytając mię poprostu za kurtkę.

— „Zaraz, zaraz. Przyszedł mi jeden pomysł“.

— „Cóż to za pomysł, u licha! — wybuchnąłem w końcu. — Jeśli pan myśli, że wejdę z panem w spółkę“...

— „Nie, nie, mój chłopcze, zapóźno, choćby pan nie wiem jak tego pragnął. Parowiec już mamy“.

— „Macie cień parowca“ — rzekłem.

— „Dość dobry na początek — głowy sobie tem zawracać nie będziemy. Prawda, kapitanie Robinson?“

— „Tak, tak, tak“ — zakrakał stary grzyb, nie podnosząc oczu, przyczem głowa zaczęła mu latać gwałtownie od tej determinacji.

— „Pan chyba zna tego młodzika — rzekł Chester, wskazując głową na ulicę, z której Jim znikł już oddawna. — Jedliście wczoraj razem obiad w hotelu Malabarskim — jak mi mówiono“.

— Powiedziałem że to jest prawda. Chester rzekł na to, iż lubi także żyć wygodnie i na odpowiedniej stopie, ale na razie musi się liczyć z każdym pensem — „trzeba ich jaknajwięcej na ten interes! Co, kapitanie Robinson?“ Wysunął pierś i pogładził krótkie, gęste wąsy, a osławiony Robinson, pokaszlując u jego boku, trzymał się coraz mocniej rączki parasola, przyczem zdawało się że lada chwila opadnie biernie na ziemię i przemieni się w kupę starych kości.

— „Rozumie pan, pieniądze ma stary w garści — szepnął poufnie Chester. — Ja wypłókałem się docna, usiłując puścić w ruch ten psiakrew interes. Ale pomalutku, pomalutku... Przyjdzie kolej i na nas. —

Wydał się naraz zdumiony oznakami mej niecierpliwości. — Ee, cóż u Pana Boga — zawołał — ja panu opowiadam o najwspanialszym interesie jaki sobie można wyobrazić, a pan...“

— „Umówiłem się z kimś“ — tłumaczyłem łagodnie.

— „I cóż z tego? — zapytał ze szczerem zdumieniem — poczekają na pana“.

— „To właśnie ja teraz czekam — zauważyłem. — Zechce mi pan powiedzieć, czego pan sobie życzy?“ —

— „Kupię dwadzieścia hoteli takich jak ten — mruknął pod nosem — i wszystkich tych błaznów co się tam żywią... Więcej niż dwadzieścia! — Podniósł szybko głowę. — Potrzebuję tego chłopca“.

— „Nie rozumiem pana“ — rzekłem.

— „On jest do niczego, co?“ — rzekł szorstko.

— „Nic o tem nie wiem“ — oświadczyłem.

— „Jakże, przecież pan mi sam mówił, że on wziął tak tę sprawę do serca — dowodził Chester. — Otóż według mnie człowiek, który... Tak czy owak, co on tam może być wart; ale widzi pan, ja szukam teraz kogoś dla siebie i właśnie mam na myśli coś, co mu będzie odpowiadało. Dam mu zajęcie na mojej wyspie. — Pokiwał znacząco głową. — Osadzę tam czterdziestu kulisów — choćbym ich miał ukraść. Ktoś musi przecież robić w tym interesie. O, ja chcę to postawić uczciwie: drewniana szopa, dach z falistej blachy — znam tam jednego człowieka w Hobart, który mi dostarczy materjałów na weksel sześciomiesięczny. Mówię panu, że znam takiego. Słowo honoru. Potem trzeba się będzie postarać o zapas wody. Muszę się pokręcić i kogoś wytrzasnąć, żeby mi dostarczył okazyjnie pół tuzina żelaznych zbiorników na kredyt.

Będziemy łapać deszczową wodę, co? Niechże się tamten chłopiec zajmie tem wszystkiem. Zrobię go szefem kulisów. Dobra myśl, prawda? Co pan na to?"

— „Bywają lata, kiedy kropla deszczu nie spadnie na rafy Walpole'a" — rzekłem, zbyt zaskoczony aby się roześmiać. Zagryzł wargi z zakłopotaniem. „No, już ja tam coś dla nich urządzę, albo też sprowadzę zapas wody. Do djabła z tem! Nie o to tu chodzi".

— Nic nie odrzekłem. W błyskawicznej wizji ujrzałem Jima stojącego po kolana w guanie na skale pozbawionej cienia, z uszami pełnemi krzyku morskich ptaków, z rozpaloną kulą słońca nad głową; naokoło jak okiem sięgnąć puste niebo i pusty ocean, rozdygotane, smażące się w upale.

— „Nie radziłbym najgorszemu wrogowi"... — zacząłem.

— „Co pana ugryzło? — zawołał Chester. — Chcę mu dać porządne wynagrodzenie — naturalnie jak już interes będzie w ruchu. To żadna filozofja. Nic nie będzie miał do roboty; dwa sześciostrzałowce za pasem... Przecież nie będzie się bał jakiegoś kawału ze strony czterdziestu kulisów, mając dwanaście strzałów na podorędziu i będąc jedynym uzbrojonym człowiekiem. Zdaleka wygląda to znacznie gorzej. Chcę żeby pan mi pomógł go namówić."

— „Ani myślę!" — krzyknąłem. Stary Robinson podniósł na chwilę posępne, mętne oczy, Chester zaś spojrzał na mnie z nieskończoną pogardą.

— „A więc pan mu tego radzić nie będzie?" — wyrzekł zwolna.

— „Naturalnie że nie! — odpowiedziałem z oburzeniem, jakby żądał abym mu pomógł kogoś zamordować. — Przytem jestem pewien, żeby się nie

zgodził. Wprawdzie znajduje się w ciężkiem położeniu, ale o ile wiem nie ma bzika“.

— „On jest absolutnie do niczego — rozmyślał głośno Chester. — Świetnieby mi odpowiadał. Gdyby pan umiał patrzeć jasno na rzeczy, zrozumiałby pan że to jest właśnie to, czego mu trzeba. A w dodatku... Jakże! Przecież to jest najwspanialsza, pewna jak mur okazja. — Rozgniewał się nagle. — Muszę mieć kogoś. Rozumie pan? — Tupnął nogą i uśmiechnął się nieprzyjemnie. — W każdym razie wziąłbym na siebie odpowiedzialność, że wyspa się pod nim nie zapadnie — bo zdaje się że na tym punkcie jest trochę przeczulony“.

— „Dowidzenia“ — rzekłem krótko. Chester spojrzał na mnie jak na beznadziejnego durnia.

— „Czas już na nas, panie kapitanie — wrzasnął nagle w ucho staremu. — Ci parsyjscy marynarze czekają na nas żeby dobić targu. — Wziął mocno wspólnika pod ramię, obrócił nim i nagle zerknął w bok na mnie. — Chciałem mu wyświadczyć przysługę“ — wyrzekł z taką miną i takim tonem, że krew we mnie zawrzała.

— „Nie dziękuję panu — w jego imieniu“ — odrzekłem.

— „O, pan to jest djablo cięty — zadrwił — ale zresztą taki pan sam jak inni. Buja pan po obłokach. Zobaczymy co też *pan* z nim zrobi“.

— „Nie twierdzę wcale, że chcę dla niego coś zrobić“.

— „Ach tak?“ — wykrztusił; jego siwe wąsy zjeżyły się z gniewu, obok niego zaś sławetny Robinson, wsparty na parasolu, stał tyłem do mnie, cierpliwy i nieruchomy jak stara szkapa dorożkarska.

— „Ja wyspy z guanem nie znalazłem“ — rzekłem.

— „Jestem pewien że panby jej nie dostrzegł, nawet gdyby pana za rękę do niej przyprowadzić — odciął się szybko; — a na tym świecie trzeba naprzód jakąś rzecz widzieć, dopiero wtedy można z niej wyciągnąć pożytek. Trzeba nawskroś ją przeniknąć — ni mniej ni więcej“.

— „I znaleźć innych, którzy ją także przenikną“ — wtrąciłem, spoglądając na pochylone plecy u boku Chestera. Żachnął się na mnie.

— „Oczy Robinsona są w porządku — niech pana o to głowa nie boli. To nie smarkacz“.

— „Ja myślę!“ — rzekłem.

— „Chodźmy, kapitanie — krzyknął Chester staremu pod rondo hełmu z pewnego rodzaju brutalnym szacunkiem; w odpowiedzi na to Święty Postrach poskoczył potulnie. Czekał na nich cień parowca i skarby Golkondy na tej pięknej wyspie! Ciekawa z nich była para Argonautów. Chester szedł swobodnie, dobrze zbudowany, tęgi, z miną zwycięską; tamten zaś, długi, wychudzony, obwisły, trzymał się kurczowo jego ramienia, suwając wyschniętemi nogami z rozpaczliwym pośpiechem.

Rozdział XV

— Nie zabrałem się zaraz do szukania Jima tylko dlatego, że musiałem się rzeczywiście z kimś spotkać. Pech zrządził, iż w biurze mego agenta przygwoździł mię pewien człowiek, który przybył dopiero co z Madagaskaru i rozpowiadał o projekcie bajecznego interesu. Miało to coś wspólnego z bydłem, nabojami i niejakim księciem Ravonalo, ale osią całej historji była głupota jakiegoś admirała — nazwiskiem Pierre, zdaje mi się. Wszystko się koło tego obracało, i facet nie mógł znaleźć słów dość silnych na wyrażenie swej wiary w ów interes. Miał okrągłe, wyłupiaste oczy o rybim połysku, czoło całe w guzach, i nosił długie włosy zaczesane wtył bez przedziału. Powtarzał wciąż tryumfująco ulubione swoje zdanie: „Minimum ryzyka przy maximum korzyści jest mojem hasłem. I co pan na to?“ Przyprawił mię o ból głowy, zepsuł mi śniadanie, ale wydobył ze mnie wszystko o co mu chodziło. Kiedy mu się wreszcie wyrwałem, poszedłem wprost na wybrzeże. Ujrzałem Jima wspartego o parapet bulwaru. Trzech wioślarzy krajowców kłóciło się tuż pod jego bokiem o pięć annów, hałasując okropnie. Nie słyszał jak nadchodziłem, ale pod lekkiem dotknięciem mego palca odwrócił się błyskawicznie, jakbym nacisnął w nim jakąś sprężynę.

— „Tak sobie patrzę“ — wyjąkał.

— Nie pamiętam już co powiedziałem, w każdym

razie nic ważnego, ale bez trudności dał się zaprowadzić do hotelu.

— Szedł za mną — powolny jak małe dziecko — posłusznie i z prostotą; rzekłbyś że czekał tam właśnie abym przyszedł po niego. Jego potulność nie powinna była tak mnie zaskoczyć. Na całej kuli ziemskiej — która jednym wydaje się tak wielka, podczas gdy drudzy nibyto ją uważają za mniejszą od ziarnka gorczycy — na całej kuli ziemskiej nie miał miejsca, dokądby mógł — jakże to powiedzieć? — dokądby mógł się schronić. Otóż to właśnie! schronić się — zostać oko w oko ze swoją samotnością. Szedł obok mnie bardzo spokojnie, spoglądając tu i ówdzie, raz nawet odwrócił głowę aby spojrzeć za strażakiem krajowcem ubranym w żakiet i żółtawe spodnie; czarna twarz tego człowieka miała jedwabne połyski jak złom antracytu. Wątpię jednak, aby Jim widział cośkolwiek, lub nawet zdawał sobie wciąż sprawę z mej obecności, bo gdybym go nie pchnął tu na prawo, a tam znów nie pociągnął na lewo, sądzę że byłby szedł prosto przed siebie w jakimkolwiek kierunku, pókiby się nie natknął na ścianę lub jaką inną przeszkodę.

— Przyprowadziłem go do swego pokoju i zabrałem się natychmiast do pisania listów. Było to jedyne miejsce na świecie (wyjąwszy może rafy Walpole'a — ale tych nie było pod ręką), gdzie Jim mógł rozprawić się z sobą bez żadnych przeszkód ze strony pozostałego świata. Tamta przeklęta historja nie uczyniła go niewidzialnym, ale zachowywałem się zupełnie tak, jakbym go wcale nie dostrzegał. Ledwie się znalazłszy na krześle, pochyliłem się nad biurkiem niby średniowieczny skryba, i wyjąwszy ruch ręki trzymającej pióro, siedziałem nieporuszenie, pełen niepokoju. Nie

mogę powiedzieć abym był przestraszony, ale naprawdę zachowywałem się tak, jakby w pokoju znajdował się jakiś stwór niebezpieczny, którego najlżejszy mój ruch mógł pobudzić do rzucenia się na mnie. Niewiele tam było sprzętów — wiecie jak wyglądają te sypialnie: łóżko o czterech słupach z siatką od moskitów, dwa lub trzy krzesła, stół przy którym pisałem, goła podłoga. Szklane drzwi otwierały się na werandę pierwszego piętra; Jim stał twarzą do nich zwrócony i cierpiał w jaknajwiększem odosobnieniu. Zmierzchało się; zapaliłem świecę powściągliwemi ruchami i z taką ostrożnością, jakby to była rzecz zakazana. Nie wątpię iż przeżywał bardzo ciężkie chwile — ja także, i to do tego stopnia, że — muszę się przyznać — posyłałem go do wszystkich djabłów, a conajmniej na rafy Walpole'a. Parę razy przyszło mi na myśl, że jednak Chester jest może naprawdę człowiekiem odpowiednim do zaradzenia skutecznie takiemu nieszczęściu. Ten szczególny idealista znalazł odrazu praktyczne wyjście z położenia — jakby wiedziony niezawodnym instynktem. Na tej podstawie można było przypuszczać, że umie istotnie przeniknąć sprawy, które wydają się tajemnicze lub zupełnie beznadziejne ludziom o mniej bujnej wyobraźni. Pisałem i pisałem; załatwiłem całą swoją zaległą korespondencję, a potem zacząłem pisać do ludzi, którzy nie mieli żadnej podstawy do tego aby oczekiwać ode mnie plotkarskiego listu o niczem. Od czasu do czasu rzucałem z pod oka ukradkowe spojrzenie. Jim stał przykuty do miejsca, lecz konwulsyjne wstrząsy przebiegały mu po grzbiecie; barki jego podnosiły się raptownie. Zmagał się z sobą i zmagał — jakby usiłując schwytać oddech. Masywne cienie, które prosty płomień świecy rzucał wszystkie

w jedną stronę, zdawały się posiadać jakąś ponurą świadomość; meble w swym bezruchu rzekłbyś nadsłuchiwały, gdy zerkałem w bok pokryjomu. Zaczęło mi się coś przywidywać podczas tego pracowitego gryzmolenia; gdy szelest pióra na chwilę ustawał, zupełna cisza zapadała w pokoju, a mimo to czułem ów głęboki niepokój i zamęt w głowie, który jest zazwyczaj wynikiem gwałtownego i groźnego hałasu — naprzykład podczas wielkiej burzy na morzu. Niektórzy z was rozumieją może co mam na myśli — ową mieszaninę troski, strapienia i irytacji, do której przyłącza się pewien rodzaj tchórzostwa — uczucie niezbyt przyjemne, lecz nadające szczególną cenę ludzkiej wytrzymałości. Nie uważam tego za żadną zasługę, że wytrzymałem napięcie wzruszeń Jima; znalazłem ucieczkę w listach; byłbym pisał do ludzi zupełnie mi obcych, gdyby zaszła potrzeba. Nagle, w chwili gdy sięgnąłem po świeży arkusz papieru, usłyszałem głuchy dźwięk, pierwszy jaki doszedł mych uszu od czasu gdyśmy się razem zamknęli w półmroku i ciszy. Zamarłem z głową spuszczoną i wyciągniętem ramieniem. Ci, którzy czuwali u łoża chorego, słyszeli takie słabe odgłosy wśród nocnego spokoju, wyrwane udręczonemu ciału lub znużonej duszy. Jim pchnął szklane drzwi z taką siłą, że wszystkie szyby zadźwiękły i wyszedł na balkon; wstrzymałem oddech, wytężyłem słuch, nie wiedząc czego się właściwie spodziewam. Ten chłopiec doprawdy wziął zbytnio do serca pustą formalność, którą surowy krytycyzm Chestera uważał za niegodną uwagi człowieka patrzącego jasno na rzeczy. Pusta formalność; kawałek pergaminu. No tak. Co się zaś tyczy niedostępnych pokładów guana, to było

zupełnie co innego. Każdy zrozumie, że taka historja może wprost złamać serce.

– Słaby rozgwar głosów, zmieszanych z brzękiem srebra i szkła, przypłynął z jadalnej sali na dole; przez otwarte drzwi nikłe światło padające od świecy sięgało pleców Jima, dalej zaś wszystko było czarne; stał na krawędzi rozległej ciemności, jak samotna postać na wybrzeżu ponurego i beznadziejnego oceanu. Z pewnością znajdowały sią tam i rafy Walpole'a, plamka w ciemnej pustce, słomka dla topielca. Moje współczucie dla Jima wyraziło się w myśli, że nie chciałbym aby kto z jego bliskich widział go w owej chwili. Nawet mnie było ciężko patrzeć na niego. Konwulsyjny oddech nie wstrząsał już jego plecami; stał, prosty jak strzała, ledwie widzialny i nieruchomy; a znaczenie tego bezruchu opadło na dno mej duszy jak ołów w wodę i zaciężyło mi tak dotkliwie, że na chwilę zapragnąłem z całego serca, aby mi pozostało tylko jedno wyjście: zapłacić za pogrzeb Jima. Prawo już się z nim załatwiło. Pochowanie go byłoby taką łatwą przysługą! Zgadzałoby się z mądrością życia, która usuwa z widoku wszystko co przypomina nasze szaleństwa, naszą niemoc, naszą śmiertelność — wszystko co osłabia w nas sprawność: pamięć o niepowodzeniach, uczucie wiecznej trwogi, ciała zmarłych przyjaciół. Może istotnie Jim brał to zanadto do serca. A w takim razie propozycja Chestera...

— Tu sięgnąłem po nowy arkusz i zacząłem pisać z determinacją. Tylko ja oddzielałem Jima od ciemnego oceanu. Czułem się za niego odpowiedzialny. Czy ten udręczony chłopiec, stojący tam bez ruchu, skoczy w mrok i chwyci się słomki, jeśli do niego przemówię? Doświadczyłem wówczas, jak trudno czasem słowo

z siebie wydobyć. Dziwna jest moc w wypowiedzianem słowie. Nie przestając pisać, pytałem się siebie uparcie: dlaczegoby to się nie miało udać, do djabła? Nagle pod samym końcem mego pióra pojawiły się na pustej karcie postacie Chestera i jego zgrzybiałego wspólnika; bardzo wyraźne i dokładne, ukazały się przede mną w ruchu, jakby objęte polem widzenia jakiejś optycznej zabawki. Śledziłem je przez chwilę. Nie! Zbyt były mgliste i cudaczne aby na czyimś losie zaważyć. Słowo ludzkie sięga daleko — bardzo daleko — sieje zniszczenie w czasie, jak kula w przestrzeni. Nie powiedziałem nic; a Jim stał tam na werandzie tyłem do światła, w milczeniu i bezruchu, jakby wszyscy niewidzialni wrogowie człowieka spętali go i zakneblowali mu usta.

Rozdział XVI

— Zbliżał się czas, kiedy miałem go ujrzeć otoczonego miłością, zaufaniem, podziwem, kiedy legenda siły i męstwa tworzyła się koło jego imienia, jakby w nim był materjał na bohatera. Zapewniam was że to prawda; taka sama jak to, że tu siedzę i rozprawiam o nim bez celu. Jim posiadał łatwość wywoływania wizyj swych pragnień i snów, a bez tego talentu nie byłoby na ziemi ani kochanków, ani miłośników przygód. Zdobył w puszczy wielką sławę i arkadyjską szczęśliwość (pomijam tu kwestję moralności), a było to dla niego tem, czem jest dla innego człowieka sława i arkadyjska szczęśliwość wśród gwarnych ulic. Szczęście — szczęście... jakby to powiedzieć... pijemy je ze złotej czaszy pod wszelką szerokością geograficzną, ale jego smak jest naszą sprawą — i tylko naszą wyłącznie; można go uczynić tak czarownym jak tylko się pragnie. Jim był z gatunku ludzi, którzy wychylają czarę do dna, co sami możecie wywnioskować.

— Zastałem go — może nie dosłownie upojonego, lecz w każdym razie podnieconego cudownym napojem. Nie zdobył go odrazu. Jak wiecie, przeszedł przez okres próby wśród owych piekielnych dostawców okrętowych; wycierpiał wiele w tym czasie, a ja się martwiłem o... o — powiedzmy, zaufanie, jakie w nim pokładałem. Nie powiem abym i teraz był o niego

zupełnie spokojny, ujrzawszy go w chwale, w pełnym blasku, panującego nad otoczeniem, a przytem w najzupełniejszej z niem harmonji — z życiem lasów i życiem ludzi. Wyznaję że podziałało to na mnie mocno, ale muszę dodać, iż w gruncie rzeczy nie jest to moje najtrwalsze o nim wspomnienie. Strzegła go jego samotność — był tam jedyny z wyższego ludzkiego gatunku i pozostawał też w ścisłym związku z Przyrodą, która dochowuje swym kochankom wierności na tak łatwych warunkach. Lecz nie umiem zatrzymać dłużej przed oczami obrazu jego bezpieczeństwa. Będę zawsze Jima pamiętał tak, jak go widziałem przez otwarte drzwi na werandzie, przejętego może zbyt głęboko skutkami swego błędu. Cieszę się naturalnie, że z powodu mych starań pewna pomyślność a nawet chwała stały się jego udziałem; ale mam niekiedy wrażenie, że dla spokoju mej duszy byłoby lepiej, gdybym nie stanął między nim a przeklętą hojnością Chestera. Ciekaw jestem, co bujna wyobraźnia Jima byłaby zrobiła z wysepki Walpole'a — tej beznadziejnie zatraconej okruszyny lądu na obliczu wód. Prawdopodobnie nie byłbym mógł nigdy ciekawości swej zaspokoić, bo muszę wam powiedzieć że Chester, zatrzymawszy się w jakimś porcie australijskim aby połatać swój morski zabytek, wyruszył na Pacyfik z załogą liczącą zaledwie dwudziestu dwóch ludzi, a jedyną wiadomością, jaka mogła zaważyć na tajemniczym jego losie, była wiadomość o huraganie, który zawadził prawdopodobnie o rafy Walpole'a w miesiąc lub dwa po wyruszeniu wyprawy. Nie zostało najmniejszego śladu po Argonautach, żadne echo nie doszło z morskiego pustkowia. *Finis!* Pacyfik jest najdyskretniejszy z żywych, gwałtownych oceanów;

zimny Antarktyk umie także zachować tajemnicę, ale raczej jak grób.

— A w takiej dyskrecji jest poczucie błogosławionego kresu — i wszyscy godzimy się na nią mniej lub więcej szczerze — bo przecież nie co innego czyni nam znośną myśl o śmierci. Koniec! *Finis!* Potężne słowo, egzorcyzm, który wypędza z domu życia nawiedzające nas widmo losu. Tego mi właśnie brak — mimo świadectwa własnych oczu i gorliwych zapewnień Jima — gdy rozpamiętuję jego powodzenie. Zapewne, tam gdzie jest życie, jest też nadzieja — lecz i niepokój zarazem. Nie chcę przez to powiedzieć, że żałuję swego postępku, albo że pamięć o nim nie daje mi spać po nocach; a jednak narzuca mi się refleksja, iż Jim przejął się tak bardzo swą hańbą, kiedy przecież tylko wina ma znaczenie. Nie był dla mnie przejrzysty, że się tak wyrażę. I to wcale. A podejrzewam, że sam dla siebie także przejrzysty nie był. Dostrzegałem w nim szlachetną wrażliwość, szlachetne uczucia, szlachetne tęsknoty — coś w rodzaju wysubtelnionego, podniosłego samolubstwa. Był — pozwólcie mi się tak wyrazić — bardzo szlachetny i bardzo nieszczęśliwy. Nieco pospolitsza natura nie byłaby wytrzymała tej próby; byłaby musiała się z sobą pogodzić — z westchnieniem, z mruknięciem, lub nawet z wybuchem śmiechu; a jeszcze pospolitszy człowiek pozostałby nietknięty wskutek swojej tępoty — i wcaleby nas nie interesował.

— Ale Jim był zbyt zajmujący lub zbyt nieszczęśliwy aby go rzucić na pożarcie psom, lub choćby Chesterowi. Czułem to, siedząc z głową pochyloną nad papierem — podczas gdy zmagał się z sobą tam w moim pokoju i dyszał, walcząc ukradkiem o oddech

z okropnym wysiłkiem; czułem to, gdy wybiegł na werandę, jakby się chciał z niej rzucić — czego jednak nie zrobił; i czułem to coraz wyraźniej przez cały czas, kiedy stał tam na tle ciemności, oświetlony słabym blaskiem świecy — niby na brzegu mrocznego i beznadziejnego morza.

— Rozległ się nagły, głośny łoskot; podniosłem głowę. Grom potoczył się dalej, gdy raptem badawcze, gwałtowne światło padło na ślepe oblicze nocy. Przeciągłe i olśniewające migotanie zdawało się trwać w nieskończoność. Warkot grzmotu wzmagał się stale, a ja patrzyłem na Jima, który stał niewzruszenie na brzegu morza jasności, wyraźny i czarny. W chwili gdy blask rozjarzył się najjaskrawiej, mrok przyskoczył napowrót z potężnie wzmożonym hukiem, a Jim znikł mi z przed olśnionych oczu tak zupełnie, jakby go rozerwało na strzępy. Wionęło burzliwe westchnienie; jakieś wściekłe ręce zdawały się targać krzakami, zatrzaskiwać drzwi, tłuc okna wzdłuż frontu całego gmachu. Jim cofnął się do pokoju, zamykając drzwi za sobą i zastał mię schylonego nad stołem; nie miałem pojęcia co powie, i ogarnął mię nagle wielki niepokój bardzo podobny do strachu.

— „Da mi pan papierosa?“ — zapytał.

— Podsunąłem mu pudełko, nie podnosząc głowy.

— „Chce mi się... chce mi się palić“ — wymamrotał. Ulżyło mi niezmiernie na sercu.

— „Zaraz, zaraz“ — mruknąłem uprzejmie. Przeszedł kilka kroków tam i z powrotem. Usłyszałem że mówi: „Skończyło się“. Odległy grzmot doszedł nas od strony morza jak wystrzał armatni na alarm.

— „Musson zaczyna się wcześnie w tym roku“ — zauważył Jim swobodnie gdzieś za mojemi plecami.

To mię zachęciło do odwrócenia się, co uczyniłem po zaadresowaniu ostatniej koperty. Palił chciwie na środku pokoju, i choć usłyszał mój ruch, stał jeszcze przez jakiś czas odwrócony plecami.

— „No, zniosłem to wcale nieźle — rzekł, obracając się nagle. — Wyrównałem część długu — niewielką. Ciekaw jestem, co teraz się stanie. — Twarz jego nie zdradzała żadnego wzruszenia, tylko robiła wrażenie nieco ciemniejszej i nabrzmiałej, jakgdyby powstrzymywał oddech. Uśmiechnął się rzekłbyś niechętnie i ciągnął dalej, podczas gdy patrzyłem na niego, milcząc: — W każdym razie — dziękuję panu... Pański pokój jest... bardzo dogodny... dla człowieka... który podle się czuje... — Deszcz chlapał i syczał w ogrodzie; rynna (musiała być dziurawa) tuż za oknem przedrzeźniała rozpaczliwe łkania wśród bulgoczącego lamentu i zabawnych szlochów, przerywanych nagłemi chwilami milczenia. — Miałem się gdzie schronić“ — wymruczał Jim i zamilkł.

— Zygzak spłowiałej błyskawicy wpadł przez czarne ramy okien i odpłynął bez szmeru. Rozmyślałem jak do Jima się zbliżyć (nie miałem ochoty aby znów mnie odepchnął), kiedy zaśmiał się zlekka.

— „Jestem teraz poprostu włóczęgą — koniec papierosa dymił się między jego palcami — bez... bez żadnego... — wyrzekł powoli; — a jednak... — Urwał: deszcz lunął z podwójną gwałtownością. — Przyjdzie dzień, kiedy nadarzy mi się jakaś sposobność, żeby znów wszystko odzyskać. Musi przyjść!“ — szepnął wyraźnie z oczami wlepionemi w moje trzewiki.

— Nie wiedziałem nawet, co pragnął tak bardzo odzyskać, czego mu tak strasznie brakowało. Było to

może zbyt ważne, aby dało się wypowiedzieć. Kawałek oślej skóry, według słów Chestera... Jim spojrzał na mnie badawczo.

— „Może i przyjdzie — jeśli starczy życia — mruknąłem przez zęby z nieuzasadnionym gniewem. — Niech pan zbytnio na to nie liczy“.

— „Słowo panu daję, mam wrażenie że nic mi się stać już nie może — rzekł tonem ponurego przeświadczenia. — Jeśli mi ta historja nie dała rady, to niema strachu aby zabrakło mi czasu na... na wygrzebanie się, i...“ — Spojrzał w górę.

— Przyszło mi nagle na myśl, że to właśnie z pomiędzy takich jak on rekrutuje się wielka armja włóczęgów i przybłędów, armja która schodzi wciąż niżej i niżej poprzez wszystkie rynsztoki świata. Z chwilą kiedy Jim opuści mój pokój, „gdzie mógł się schronić“, zajmie swoje miejsce w szeregach i rozpocznie marsz ku bezdennej otchłani. Ja przynajmniej złudzeń nie miałem; ale nie kto inny tylko ja właśnie byłem przed chwilą taki przeświadczony o potędze słów, a teraz bałem się odezwać, jak człowiek, który lęka się poruszyć aby nie stracić śliskiego oparcia. Dopiero gdy usiłujemy walczyć z istotną potrzebą innego człowieka, dostrzegamy jak niezrozumiałe, jak chwiejne i mgliste są istoty, które dzielą z nami widok gwiazd i ciepło słońca. Rzekłbyś iż samotność jest ciężkim i nieodzownym warunkiem istnienia; powłoka z ciała i krwi, na której zatrzymują się nasze oczy, rozpływa się pod wyciągniętą dłonią; pozostaje tylko kapryśny, nieukojny i nieuchwytny duch, za którym oko nie pójdzie, którego nie ujmie ręka. Trwoga, aby mi się Jim nie wymknął, zamknęła mi usta, bo poczułem nagle z niewytłumaczoną siłą, że

jeśli mu pozwolę ujść w ciemność, nigdy sobie tego nie daruję.

— „No więc — raz jeszcze panu dziękuję. Pan był — hm — niezwykle... doprawdy, niema na to słów!... Niezwykle... I rzeczywiście — nie rozumiem dlaczego. Boję się że nie jestem panu taki wdzięczny, jakby należało, ale to wszystko spadło na mnie tak brutalnie... Bo w gruncie rzeczy... nawet pan... pan sam...“ Zająknął się.

— „Możliwe“ — wtrąciłem. Ściągnął brwi.

— „Mimo wszystko człowiek jest odpowiedzialny“. — Śledził mię jastrzębim wzrokiem.

— „I to jest także prawda“ — rzekłem.

— „No więc — już się z tem uporałem, i nie pozwolę rzucić sobie tego w twarz... nie darowałbym nikomu“. — Zacisnął pięści.

— „To pana maluje...“ — rzekłem z uśmiechem — uśmiechem dość smutnym, Bóg mi świadkiem. Jim spojrzał na mnie groźnie.

— „To już jest moja sprawa — rzekł. Wyraz niezłomnego postanowienia zjawił się na jego twarzy i znikł niby czczy, przelotny cień. Po chwili Jim wyglądał znowu jak miły, zatroskany chłopczyk. Rzucił papierosa. — Dowidzenia — rzekł z nagłym pośpiechem, niby człowiek, który się zagadał, podczas gdy pilna robota nań czeka: potem zaś przez parę sekund stał bez najlżejszego ruchu. Deszcz lał z gwałtownym, nieprzerwanym impetem jak zmiatająca wszystko powódź, z rozpętaną, oszałamiającą wściekłością, która przywodziła na myśl zapadające się mosty, drzewa wyrwane z korzeniami, podmyte góry. Nikt nie mógłby stawić czoła olbrzymiemu, gwałtownemu naporowi wody, rzekłbyś rozbijającej się w wirach o mętną

ciszę, która była naszem niepewnem schronieniem — jak wyspa. Dziurawa rynna bulgotała, krztusiła się, pluła, pluskała wstrętnie i śmiesznie, niby pływak walczący o życie.

— „Deszcz leje — tłumaczyłem mu — a ja...“

— „Czy leje, czy nie — zaczął szorstko, urwał i podszedł do okna. — Istny potop — mruknął po chwili; oparł czoło o szybę. — I ciemno jest także.“

— „Tak, bardzo ciemno“ — rzekłem.

— Obrócił się na pięcie, przeszedł przez pokój i otworzył drzwi, prowadzące na korytarz, nim zdążyłem zerwać się z krzesła.

— „Czekaj pan — krzyknąłem — chciałbym pana...“

— „Nie mogę dziś być u pana na obiedzie“ — cisnął mi, stojąc już jedną nogą za drzwiami.

— „Nie mam najmniejszego zamiaru pana zapraszać“ — zawołałem. Cofnął na to nogę zza progu, lecz zatrzymał się we drzwiach podejrzliwie. Nie tracąc czasu, poprosiłem go usilnie aby dał pokój tym głupstwom — aby wszedł do pokoju i zamknął drzwi.

Rozdział XVII

— Zdecydował się wrócić w końcu, ale sądzę że głównie deszcz się do tego przyczynił; lał wtedy właśnie z niszczącą siłą, która uspakajała się stopniowo podczas naszej rozmowy. Jim zachowywał się bardzo spokojnie i poprawnie; wyglądał teraz na małomównego człowieka opanowanego przez jakąś myśl. Mówiłem mu o materjalnej stronie jego położenia, a wyłącznym mym celem było uratowanie go od upadku, zguby i rozpaczy, które tam na wschodzie opanowują tak szybko samotnych, bezdomnych ludzi; rozumowałem logicznie, namawiając aby przyjął moją pomoc, a za każdym razem, gdy zdarzyło mi się spojrzeć na jego skupioną, łagodną twarz, tak młodzieńczą i pełną powagi, ogarniało mię niepokojące uczucie, że nie jestem mu pomocą, że raczej przeszkadzam jego duchowi w jakimś tajemniczym, niewytłumaczonym, nieuchwytnym wysiłku.

— „Przypuszczam że pan zamierza jeść, i pić, i spać pod dachem jak zwykle — rzekłem wreszcie z rozdrażnieniem. — Pan przecież mówi, że pan nie tknie należących się panu pieniędzy. — Uczynił gest, który — u człowieka tego rodzaju — był oznaką wstrętu. (Należała mu się pensja za trzy tygodnie i pięć dni jako oficerowi z *Patny*). — No tak, to jest zbyt mała suma aby mogła mieć jakieś znaczenie; ale co pan zrobi jutro? Dokąd pan się obróci? Trzeba przecież żyć...“

— „To nie o to chodzi“ — wyrwało mu się szeptem. Pominąłem milczeniem jego słowa i w dalszym ciągu walczyłem z tem, co uważałem za skrupuły przesadnej delikatności. — Ze wszelkich względów — zakończyłem — musi pan przyjąć moją pomoc.“

— „Pan mi pomóc nie może“ — rzekł bardzo prosto i bardzo łagodnie, pochłonięty jakąś głęboką myślą, której przebłyski dostrzegałem niby sadzawkę lśniącą w mroku, myśląc ze zniechęceniem, że nigdy się do niej nie zbliżę na tyle aby ją zgłębić. Patrzyłem na jego harmonijną postać.

— „W każdym razie — rzekłem — mogę przyjść z pomocą temu, co z pana jest widzialne. Nie twierdzę że zrobię coś więcej. — Potrząsnął głową z niedowierzaniem, nie patrząc na mnie. Zapalałem się coraz bardziej. — Otóż właśnie że mogę panu pomóc. Mogę nawet zrobić jeszcze więcej. I *zrobię* to. Ja panu ufam...“

— „Te pieniądze...“ — zaczął.

— „Słowo daję, zasługuje pan na to, żeby pana posłać do wszystkich djabłów — krzyknąłem z przesadzonem oburzeniem. Zaskoczyło go to; uśmiechnął się, a ja nacierałem w dalszym ciągu. — Tu wcale nie chodzi o pieniądze. Pan jest zbyt powierzchowny, rzekłem (a w tej samej chwili myślałem sobie: aha, tum cię czekał! A może i jest zbyt powierzchowny — mimo wszystko). — Niech pan spojrzy na ten list, który pan ma zabrać. Piszę tu do człowieka, którego nigdy o nic nie prosiłem; piszę o panu w takich słowach, jakich ośmielamy się użyć, mówiąc tylko o bliskim przyjacielu. W tym liście biorę na siebie bezwzględną odpowiedzialność za pana. Ni mniej ni więcej. I doprawdy, jeśli pan tylko zastanowi się trochę, co to znaczy...“

— Podniósł głowę. Deszcz już minął; tylko rynna za oknem wciąż jeszcze wylewała idjotyczne łzy: kap, kap. W pokoju panował wielki spokój; cienie przycupnęły po kątach, daleko od cichego płomienia świecy, który jaśniał prostopadle w kształcie miecza. Wydało mi się po chwili, że odblask łagodnego światła zalewa twarz Jima, jakby świt już się był zaczął.

— „Boże mój! — wyszeptał. — Jaki pan szlachetny!"

— Nie czułbym się bardziej upokorzony, gdyby mi nagle język pokazał. Dobrze ci tak, podlizujący się blagierze! powiedziałem do siebie. Jim patrzył na mnie jaśniejącemi oczami, ale spostrzegłem że blask ich nie był szyderczy. Ogarnęło go w mig gorączkowe wzburzenie; przypominał płaskiego, drewnianego pajaca wprawionego w ruch zapomocą sznurka. Podniósł ramiona i opuścił, trzepnąwszy rękami o uda. Stał się zupełnie innym człowiekiem.

— „A ja wcale nie rozumiałem — krzyknął; nagle zagryzł wargi i zmarszczył się. — Co za głupi osioł ze mnie — rzekł bardzo wolno z lękiem. — Na pana to można liczyć — zawołał stłumionym głosem. Porwał mnie za rękę, jakby ją ujrzał poraz pierwszy i puścił ją natychmiast. — Jakto! Przecież to jest właśnie to, czego ja... pan... ja... — zająknął się, i zaczął mówić niezręcznie z nawrotem dawnego, tępego uporu: — Byłbym teraz bydlęciem, gdybym..." — Głos mu się załamał.

— „Tak, tak, rozumiem — rzekłem. Byłem prawie zaniepokojony tym wybuchem uczuć, z których przebijało dziwne uniesienie. Pociągnąłem wypadkowo za sznurek; nie rozumiałem dokładnie mechanizmu zabawki.

— „Muszę teraz już iść — powiedział. — Mój Boże, pan naprawdę mi pomógł! Nie mogę usiedzieć w miejscu. Właśnie to, czego mi było trzeba! — spojrzał na mnie ze zdumieniem i podziwem. — Właśnie to...“

— Tak, tego właśnie było mu trzeba. Z całem prawdopodobieństwem ocaliłem go od głodu — od tego rodzaju głodu, który jest prawie nieuchronnie związany z pijaństwem. I to wszystko. Nie miałem pod tym względem żadnych złudzeń, ale patrząc na Jima, zadawałem sobie pytanie, jakiego rodzaju iluzja opanowała go tak widocznie w przeciągu trzech ostatnich minut? Podsunąłem mu sposobność do prowadzenia w dalszym ciągu przyzwoitego życia, do poważnej pracy, do zarabiania w zwykły sposób na jedzenie, picie, dach nad głową — w chwili gdy jego zraniony duch, jak ptak o przetrąconem skrzydle, byłby się zawlókł, trzepocząc, do jakiejś dziury aby zamrzeć tam spokojnie z wyczerpania. Narzuciłem mu rzecz drobną bezwzględnie; i — patrzcie! przyjął ją w taki sposób, że zamajaczyła w mętnem świetle świecy jak wielki cień — niewyraźny, a może i niebezpieczny.

— „Pan mi za złe nie bierze, że nie mówię panu tego co trzeba — wybuchnął. — Ale co jabym mógł powiedzieć? Już wczoraj wieczorem wyświadczył mi pan nieskończenie wiele dobrego. Słuchając mnie — pan rozumie. Daję panu na to słowo, myślałem nieraz że głowa mi się rozleci w kawałki... — Rzucał się — dosłownie — tu i tam po pokoju, wpychał ręce do kieszeni, wyszarpywał je znów, wsadził z rozmachem czapkę na głowę. Nie miałem pojęcia, że potrafi być taki lekki i żwawy. Przyszedł mi na myśl suchy liść wirujący w wietrze — i tajemniczy niepokój, ciężar

nieokreślonego zwątpienia przygwoździł mię do krzesła. Jim stanął nagle jak wryty, rzekłbyś skamieniał wskutek jakiegoś dokonanego odkrycia. — Pan mi zaufał“ — oświadczył z prostotą

— „Na miłość boską, dosyć tego, kochany chłopcze!“ — błagałem, jakgdyby mię uraził.

— „Dobrze. Będę milczał, — i teraz, i zawsze. Ale myśleć mi pan zabronić nie może... Wszystko jedno! Ja jeszcze dowiodę... — Podszedł śpiesznie do drzwi, zatrzymał się ze spuszczoną głową i wrócił, stąpając powoli. — Myślałem zawsze, że gdyby było można zacząć wszystko nanowo — od czystej karty... A teraz pan... do pewnego stopnia... tak... od czystej karty.“

— Kiwnąłem mu przyjaźnie ręką i odszedł, nie oglądając się więcej. Odgłos jego kroków zamarł stopniowo za zamkniętemi drzwiami; był to pewny krok człowieka stąpającego w jasnem świetle dnia.

— Ja zaś pozostałem naprzeciw samotnej świecy i wszystko wydało mi się dziwnie niejasne. Nie byłem już dość młody, aby widzieć na każdym kroku wspaniałość towarzyszącą naszym błahym poczynaniom — w dobrem czy złem. Uśmiechnąłem się na myśl, że właściwie z nas dwóch — to on światło posiada. I ogarnął mię smutek. Zacząć od czystej karty, tak powiedział? Jakgdyby rozstrzygające słowo o losie każdego z nas nie było wyryte na obliczu skały niezniszczalnemi głoskami.

Rozdział XVIII

— W sześć miesięcy później dostałem list od mego przyjaciela (był to kawaler w więcej niż średnim wieku, cynik o reputacji dziwaka, i posiadał łuszczarnię ryżu); poleciłem mu Jima bardzo gorąco, więc też chciał mi zrobić przyjemność i rozwodził się szeroko o jego doskonałościach. Należały widocznie do gatunku cichych lecz niezawodnych. Przyjaciel mój pisał: „Nie mogąc dotychczas znaleźć w swem sercu nic ponad zrezygnowaną pobłażliwość dla istot mego rodzaju, mieszkałem samotnie w domu, który nawet w tym parnym klimacie można uważać za zbyt obszerny dla jednego człowieka. Już od jakiegoś czasu prosiłem Jima, aby ze mną zamieszkał. Zdaje mi się że to nie jest błąd z mojej strony". Czytając ten list, odniosłem wrażenie iż mój przyjaciel znalazł w swem sercu więcej niż wyrozumiałość dla Jima — że to był początek istotnego przywiązania. Oczywiście wyjaśniał mi w charakterystyczny dla siebie sposób przyczyny tego uczucia. Po pierwsze, Jim w tamtym klimacie nie tracił wcale na świeżości. „Gdyby był młodą panną", pisał mój przyjaciel, „możnaby powiedzieć że kwitnie — kwitnie skromnie jak fjołek, nie zaś jak niektóre z tych jaskrawych kwiatów podzwrotnikowych. Jest już u mnie w domu od sześciu tygodni, a dotychczas ani razu nie usiłował poklepać mnie po plecach, albo powiedzieć do mnie „mój stary", albo dać mi odczuć że

jestem przedpotopowem wykopaliskiem. Niema w nim ani trochę nieznośnej gadatliwości młodego chłopca. Odznacza się miłym charakterem, niewiele ma do powiedzenia, i wcale nie jest sprytny, Bogu dzięki“. Zdaje się jednak że Jim dość na to był sprytny, aby przejawiać w spokojny sposób uznanie dla dowcipu gospodarza, z drugiej zaś strony bawił go swą naiwnością. „Życie jeszcze z niego puchu nie starło, a odkąd miałem szczęśliwą myśl aby dać mu pokój w swym domu i zaprosić go do stołu, czuję się sam odświeżony. Któregoś dnia przyszło mu do głowy przejść przez pokój poprostu w tym celu, żeby drzwi przede mną otworzyć; już od lat nie czułem się tak blisko zespolony z ludzkością. Czy to nie śmieszne? Domyślam się naturalnie, że on ma coś poza sobą — jakąś okropnie przykrą historję — o której ty wiesz wszystko; ale choć jestem pewien że to coś szkaradnego, sądzę jednak iż możnaby to wybaczyć. Co się mnie tyczy, oświadczam że nie umiem sobie wyobrazić, aby popełnił coś gorszego od obrabowania sadu. Czy to coś *daleko* gorszego? Może powinieneś mi był o tem powiedzieć; ale upłynęło już wiele lat, odkąd staliśmy się obaj świętymi, i mogłeś zapomnieć że i my także grzeszyliśmy w swoim czasie. Przyjdzie pewno dzień, kiedy będę musiał o to zapytać, a wówczas spodziewam się że mi odpowiesz. Nie chciałbym go sam wypytywać, póki nie mam pojęcia co to takiego. Zresztą jest jeszcze zawcześnie. Niech jeszcze parę razy drzwi przede mną otworzy...“

— Tyle co do mego przyjaciela. Ucieszyłem się potrójnie: z obiecującego sprawowania się Jima, z tonu listu, z mej własnej przemyślności. Wiedziałem widać co robię. Umiałem przejrzeć nawskroś charaktery tych

ludzi — i tak dalej. A jeśli wyniknie stąd jakaś rzecz niespodziana i cudowna? Owego wieczoru, spoczywając na leżaku pod płóciennym dachem na rufie mego statku — było to w porcie Hong-Kongu — położyłem kamień węgielny pod zamek za lodzie — na intencję Jima.

— „Odbyłem podróż na północ, a po powrocie zastałem znów czekający na mnie list od przyjaciela. Otworzyłem go przed wszystkiemi innemi. „Nie brakuje mi łyżeczek, o ile wiem“, brzmiały pierwsze słowa, „zamało mię to interesuje aby sprawdzać. Jim odszedł, zostawiając na stole zastawionym do śniadania banalną kartkę z przeprosinami, która jest albo głupia albo bez serca. Prawdopodobnie i jedno i drugie, co mnie nic nie obchodzi. Pozwól sobie powiedzieć — na wypadek gdybyś miał w zapasie więcej takich tajemniczych młodzieńców — że skończyłem z tem bezwzględnie i raz na zawsze. To już ostatnie dziwactwo, jakie mam na sumieniu. Nie wyobrażaj sobie przypadkiem aby mię to obeszło, ale przy tenisie żałują go bardzo, więc też przez wzgląd na siebie samego musiałem opowiedzieć w klubie jakieś prawdopodobne kłamstwo...“ Rzuciłem list i zacząłem grzebać w stosie kopert na stole, póki nie natrafiłem na pismo Jima. Czy dacie wiarę? Wydarzyła się jedna możliwość na sto! Ale zawsze się ta setna wydarzy. Otóż ów mały drugi mechanik z *Patny* zjawił się tam w dość opłakanym stanie i dostał w młynie chwilowe zajęcie przy pilnowaniu maszyn. „Nie mogłem znieść poufałości tego łajdaka“, pisał do mnie Jim z portu położonego siedemset mil na południe od miejsca, gdzie powinien był się czuć jak w raju. „Jestem chwilowo w firmie Egström i Blake, dostawców okrętowych, jako ich —

no, poprostu goniec, nazywając rzecz po imieniu. Powołałem się na pana, gdyż znają pana oczywiście, a gdyby pan zechciał do nich słówko o mnie napisać, zatrzymaliby mię na stałe“. Gruzy mego zamku starły mię na proch, lecz naturalnie napisałem list, którego Jim żądał. Przed końcem roku nowy kontrakt zaprowadził mię w tamte strony i miałem znów sposobność zobaczyć się z Jimem.

— Był jeszcze ciągle w firmie Egström i Blake; spotkaliśmy się w tak zwanym „salonie“, którego drzwi wychodziły na sklep. Jim wrócił był właśnie z wyprawy na jakiś okręt i stanął przede mną ze spuszczoną głową, gotów do walki.

— „Co pan ma na swoje usprawiedliwienie?“ — zacząłem natychmiast po przywitaniu.

— „To co panu napisałem — nic więcej“ — rzekł z uporem.

— „Tamten drań wypaplał, czy co?“ — zapytałem. Jim spojrzał na mnie z niepewnym uśmiechem.

— „Ach nie, nic podobnego. Ale uważał że jesteśmy związani czemś w rodzaju poufnego porozumienia. Przybierał wściekle tajemniczą minę za każdym razem kiedym przyszedł do młyna, i mrugał do mnie z szacunkiem, jakby chciał powiedzieć: „Już co my wiemy, to wiemy“. Łasił się z ohydną poufałością — i tak dalej. — Jim rzucił się na krzesło, patrząc na swoje nogi. — Zdarzyło się raz że zostaliśmy sami, i ten człowiek miał bezczelność mi powiedzieć: „No, panie Jakóbie (nazywano mnie tam panem Jakóbem, jakbym był synem domu), znowuśmy się zeszli. Lepiej tu niż na tamtym starym statku, co?“ Czyż to nie było okropne? Spojrzałem na niego, a on przybrał znaczącą minę. „Niechże pan będzie spokojny“, mówił

dalej. „Ja poznaję odrazu prawdziwego pana, dość mi raz spojrzeć — i wiem także co prawdziwy pan czuje. Ale mam nadzieję że pan mię zatrzyma przy tej robocie. Ja też przeszedłem porządne cięgi po awanturze o tamtą starą, parszywą *Patnę*“. Chryste Panie! To było straszne. Nie wiem, cobym był wówczas powiedział lub zrobił, gdyby pan Denver nie zawołał na mnie z korytarza. Podano właśnie drugie śniadanie. Przeszliśmy razem przez dziedziniec i ogród do willi. Zaczął żartować ze mnie w swój miły sposób... Zdaje mi się że mię lubił...“

— Zamilkł na chwilę.

— „Wiem że mię lubił. Właśnie dlatego było to takie ciężkie. Co za wspaniały człowiek! Tego rana wziął mnie pod rękę... On się też poufale ze mną obchodził. — Jim zaśmiał się krótko i opuścił głowę na piersi. — Brr! Kiedy sobie przypomnę jak ten podły wyskrobek do mnie mówił... — zaczął znów drżącym głosem. — Nie mogłem znieść siebie poprostu... Pan mnie chyba rozumie... — skinąłem głową. — Pan Denver był dla mnie jak ojciec! — krzyknął; głos mu się załamał. — Byłbym musiał mu powiedzieć. Nie mogłem pozwolić aby to dłużej trwało — niech pan sam powie.“

— „No więc?“ — szepnąłem po chwili.

— „Wolałem odejść — rzekł zwolna; — trzeba na tem krzyżyk położyć“.

— Słychać było jak w sklepie Blake wymawiał coś Egströmowi obelżywym, podniesionym tonem. Byli w spółce od wielu lat, i codzień, od chwili otwarcia sklepu aż do ostatniej minuty przed zamknięciem, Blake, mały człowieczek o gładkich włosach czarnych jak dżet i smutnych, okrągłych oczach, nie przestawał

wymyślać swemu wspólnikowi z pewnego rodzaju pogardliwą i żałosną wściekłością. Hałas nieustannego łajania był niejako częścią sklepu, jakby należał do inwentarza; nawet obcy ludzie przestawali wnet nań uważać, czasem tylko ktoś mruknął: „A to piła“, lub wstał nagle i zamknął drzwi od „salonu“. Sam Egström, wychudły, ociężały Skandynaw o olbrzymich, jasnych bokobrodach, wiecznie czemś zajęty, wydawał polecenia, sprawdzał paczki, wystawiał rachunki lub pisał listy w sklepie, stojąc przy pulpicie, i wogóle zachowywał się w tym hałasie niby człowiek głuchy jak pień. Od czasu do czasu wyrzucał z siebie machinalnie „szszsz“ udręczonym tonem; nie wywierało to żadnego skutku, którego się też nikt nie spodziewał.

— „Bardzo tu są przyzwoici w stosunku do mnie — rzekł Jim. — Blake trochę jest ordynarny, ale Egström to przyzwoity facet. — Podniósł się szybko i podszedł miarowym krokiem do teleskopu, który stał na trójnogu, zwrócony w stronę przystani. Jim przytknął do niego oko. — Oto właśnie ten statek, który od samego rana był unieruchomiony przez ciszę; dostał teraz wiatr i wjeżdża do portu — rzekł cierpliwie. — Muszę jechać na jego spotkanie“. — Uścisnęliśmy sobie ręce w milczeniu i Jim zwrócił się ku drzwiom.

— „Jimie! — krzyknąłem. Obejrzał się z ręką na klamce. — Pan... pan... to tak jakbyś pan odrzucił majątek!“ — Wrócił do mnie ode drzwi.

— „Taki kochany staruszek — rzekł. — Jakże ja mogłem? Jak mogłem... — Wargi mu drgnęły. — *Tutaj* to jest wszystko jedno.“

— „Doprawdy, pan jest...“ zacząłem i szukałem odpowiedniego słowa, ale nim sobie zdałem sprawę iż niema wyrazu, któryby się tu nadał, Jima już nie

było. Doszedł mię głęboki, łagodny głos Egströma mówiący wesoło: „To *Sarah W. Granger*, Jimmy. Niech pan się postara dostać pierwszy na pokład“. Zaraz potem Blake się wtrącił, skrzecząc jak wściekłe kakadu: „Powiedz pan kapitanowi, że mamy tu dla niego trochę listów. Weźmie się na to. Słyszy pan, panie tego?“ — A Jim odpowiedział Egströmowi chłopięcym tonem: „Dobrze, dobrze. Będzie to wyścig co się zowie“. Miałem wrażenie że Jim szuka pociechy w żeglarskich funkcjach swego marnego zawodu.

— Nie zobaczyłem go już podczas tej podróży, ale gdy przejeżdżałem następnym razem (miałem kontrakt sześciomiesięczny) poszedłem znów do sklepu. Już z odległości dziesięciu jardów doszło mnie wymyślanie Blake'a; gdym wszedł, rzucił mi rozpaczliwe spojrzenie — a Egström cały, w uśmiechach, zbliżył się, wyciągając wielką, kościstą rękę.

— „Jakże mi miło pana widzieć, kapitanie... szszsz... Tak też sobie myślałem, że pan musi tędy wracać. Co pan kapitan mówi? Szszsz... Aha, o niego panu chodzi? Opuścił nas. Niechże kapitan pozwoli do salonu“... Po zatrzaśnięciu drzwi wytężony głos Blake'a osłabł i wydał się głosem człowieka wymyślającego rozpaczliwie na puszczy. „Naraził nas przytem na okropne kłopoty. Muszę powiedzieć, że brzydko sobie względem nas postąpił...“

— „Dokądże on pojechał? Nie wie pan?“ — zapytałem.

— „Nie. I nie warto pytać — rzekł Skandynaw o bujnych bokobrodach, stojąc przede mną uprzejmie z rękoma dyndającemi niezgrabnie u boków; cienki srebrny łańcuszek od zegarka zwisał nisko na jego pofałdowanej kamizelce z granatowego szewiotu. —

Taki człowiek jak on nie jedzie w żadnym określonym kierunku. — Zbyt mię obeszła usłyszana wiadomość, to też nie zapytałem co Egström ma właściwie na myśli, a on ciągnął dalej: — Opuścił nas... zaraz, niech sobie przypomnę... w dzień przyjazdu parowca wiozącego pielgrzymów wracających z morza Czerwonego; śruba okrętowa miała dwa skrzydła złamane. Tak; trzy tygodnie temu".

— „Czy nie było wówczas mowy o wypadku z *Patną?*" — zapytałem, tknięty najgorszem przeczuciem. Wzdrygnął się i spojrzał na mnie, jakbym był czarownikiem.

— „Ależ tak! Skąd pan wie o tem? Kilku ludzi rozmawiało tu właśnie na ten temat. Było między nimi paru kapitanów, kierownik portowych warsztatów reperacyjnych Vanloo'a, jeszcze dwóch czy trzech innych ludzi no i ja. Jim był tu także, jadł właśnie sandwicz i popijał piwem; bo widzi pan, panie kapitanie, kiedy wre robota, to niema czasu na porządny posiłek. Stał przy tym oto stole i jadł, a my wszyscy obstąpiliśmy teleskop, przyglądając się wjazdowi parowca; od słowa do słowa, kierownik warsztatów zaczął mówić o kapitanie *Patny;* naprawiał coś tam kiedyś dla niego. Potem rozpowiadał nam jakie to było stare pudło, ta *Patna,* i ile z niej wyciągnęli pieniędzy. Wspomniał o jej ostatniej podróży, a potem już wszyscyśmy dokładali swoje. Jedni mówili to, drudzy owo — nie gadaliśmy znów tak wiele — to samo coby pan albo każdy inny człowiek powiedział; było też tam trochę śmiechu. Kapitan O'Brien ze statku *Sarah W. Granger,* wielki, hałaśliwy starzec, siedział w tym oto fotelu z laską w ręku, przysłuchując się nam; nagle stuknął kijem w podłogę i krzyknął: „Tchórze!" Podskoczyliśmy

wszyscy. Dyrektor warsztatów mruga na nas i mówi: „O cóż panu chodzi, panie kapitanie?“ „Chodzi, chodzi!“ zaczął krzyczeć stary. „Z czegoż wy się śmiejecie, dzikusy? To nie jest żaden powód do śmiechu. To hańba dla ludzkiego rodu, ot co! Tfu, nie chciałbym się znaleźć w pokoju z którymś z tych ludzi. Tak, mój panie!“ Zdawało mi się, że oczy nasze się spotkały i musiałem przez grzeczność coś odpowiedzieć. „Tchórze“, mówię, „no tak, naturalnie, panie kapitanie, i ja sam nie chciałbym żadnego z nich mieć u siebie, więc też pan jest zupełnie w tym pokoju bezpieczny. Niechże się pan napije czegoś chłodnego“. „Dajże mi pan pokój, do djabła“, mówi z błyskiem w oczach, „kiedy mi się zachce pić, to sam krzyknę żeby mi co dali. Idę sobie. Śmierdzi mi tutaj“. Wszyscy inni wybuchnęli na to śmiechem i dalejże wychodzić za starym. A wówczas, panie kapitanie, ten szelma Jim odkłada sandwicz, który trzymał w ręku, obchodzi naokoło stołu i zbliża się do mnie. Na stole stała jego szklanka piwa, pełniutka, dopiero co nalana. „Odchodzę“, mówi ot tak sobie poprostu. „Niema jeszcze pół do drugiej“, odpowiadam, „zdąży pan wypalić papierosa“. Myślałem że czas mu iść do roboty. Kiedy zrozumiałem wreszcie o co chodzi, ręce mi opadły, o tak! Rozumie pan, panie kapitanie, takiego człowieka to się codzień nie znajduje; prawdziwy djabeł w prowadzeniu żaglówki, gotów był wypłynąć kilka mil na morze o każdej pogodzie, żeby spotkać okręt. Nie raz i nie dwa różni kapitanowie przychodzili tu do mnie, okropnie tem przejęci, i zaraz tak zaczynali: „Panie Egström, cóż to za nieustraszony szaleniec z tego pańskiego subjekta! Wymacywałem drogę o świcie pod skróconemi żaglami, kiedy raptem wy-

latuje z mgły tuż pod zagięcie dziobu łódka nawpół zalana wodą, wśród bryzgów górujących nad masztem, z dwoma struchlałymi negrami na belkach dna i wrzeszczącym czartem u sterownicy: „Hej, hej! Tam na statku! Hej, hej! Kapitanie! Tu firma Egström i Blake pierwsza pana wita! Hej, hej! Egström i Blake! Hallo! Hej! Huhuhu!“ Daje kopniaka negrom — skraca żagle — jednocześnie uderza szkwał — a ten warjat pędzi, okrzykując się, ku dziobowi i wrzeszczy abym dodał żagli, to on mnie wprowadzi do portu — istny djabeł, nie człowiek. Nigdy w życiu nie widziałem, aby kto tak łódź prowadził. Chyba nie mógł być pijany, co? Taki spokojny chłopak, mówił takim cichym głosem, kiedy się dostał na pokład, a czerwienił się jak dziewczyna...“ Mówię panu, panie kapitanie, nikt nie mógł Jima ubiec, kiedy chodziło o zdobycie dla nas nowego statku. Inni dostawcy okrętowi zachowywali tylko poprostu swych dawnych klientów, i...“

— Wzruszenie przygniotło Egströma.

— „Doprawdy, zdawało się że nie wahałby się puścić ze sto mil na morze w starym bucie, byle tylko capnąć statek dla firmy. Gdyby interes był jego własny i chodziło o wyrobienie sobie klienteli na samym początku, nie mógłby na więcej się zdobyć. A teraz... nagle... w taki sposób! Pomyślałem sobie: Oho! chce wyśrubować pensję — o to mu chodzi z pewnością. „Dobrze, Jimmy“, mówię, „ale poco te wszystkie termedje? Niech pan wymieni poprostu cyfrę. Byle nie przesadzoną“. Spojrzał na mnie, jakby chciał przełknąć coś, co mu utkwiło w gardle. „Nie mogę tu zostać“. „Cóż to za kawał u licha?“ pytam. Potrząsnął głową i widziałem po jego oczach, panie kapitanie, że już tak jakby go nie było. Więc jak ja

na niego nie wsiądę — nawymyślałem mu ile wlezie. „Od czegóżże uciekasz, człowieku?“ pytam. „Kto cię skrzywdził? Co cię stąd wypłasza? Mniej masz rozsądku niż szczur, bo one nie opuszczają dobrego okrętu. Gdzież się spodziewasz dostać lepsze miejsce? Ty taki, ty owaki...“ Zzieleniał poprostu, słowo daję. „Nasz interes nie zatonie“, powiadam. Podskoczył o, tak. „Żegnam pana“, mówi, kiwając mi głową jak jaki lord. „Dobry z pana chłop, Egström. Daję panu słowo, gdyby pan znał moje powody, nie chciałby pan mieć mnie u siebie“. „To największe kłamstwo jakie panu przeszło przez gardło“, mówię, „wiem lepiej od pana cobym zrobił“. Tak mnie rozzłościł, że zacząłem się śmiać. „Jakto, więc pan nawet niema czasu wypić tej szklanki piwa? Et, śmieszny warjat z pana!“ Nie mam pojęcia co go napadło; zdawało się że nie może trafić do drzwi; mówię panu, panie kapitanie, to było poprostu komiczne. Wziąłem i wypiłem sam jego piwo. „No, jeśli panu tak się spieszy, piję za pana zdrowie pańskiem własnem piwem“, mówię; „tylko zapamiętaj pan sobie moje słowa: jeśli pan będzie dalej tak sobie poczynał, przekona się pan wkrótce że ziemia jest dla pana za mała — to wszystko“. Rzucił mi ponure spojrzenie i wybiegł z twarzą czarną jak noc.“

— Egström prychnął z goryczą i przeczesał jasny bak sękatemi palcami.

— „Odtąd nie udało mi się już dostać człowieka, któryby był do rzeczy. Nic tylko same troski i troski... A czy mi wolno zapytać, gdzie pan się z nim spotkał, panie kapitanie?“

— „Był pomocnikiem na *Patnie* właśnie podczas tamtej podróży“ — rzekłem, poczuwając się do wyjaśnienia. Egström zamarł na chwilę z palcami

pogrążonemi we włosach u boku twarzy, i wreszcie wybuchnął:

— „A kogóż to u djabła obchodzi?“

— „Pewnie że nikogo — zacząłem...

— „Czemżeż on jest, do licha, żeby tak postępować? — Wepchnął nagle lewy bak do ust i stał w zdumieniu. — Chryste Panie! — wykrzyknął — a ja powiedziałem, że nie starczy mu ziemi dla jego wybryków!“

Rozdział XIX

— Opowiedziałem wam szczegółowo te dwa epizody, aby pokazać jak Jim z sobą się porał wśród nowych warunków życia. Epizodów w tym rodzaju było dużo, więcej niżbym mógł zliczyć na palcach obu rąk.

— A wszystkie cechowała bezsensowna wzniosłość intencji, nadająca tym błahym zajściom wzruszającą głębię. Może to jest akt prozaicznego bohaterstwa, jeśli człowiek odrzuca powszedni chleb dla zmagania się z upiorem. Robili to już inni przed Jimem (choć my, którzyśmy poznali życie, wiemy dobrze, że nie dusza nawiedzana przez widma tylko głodne ciało wykoleja człowieka) — a ludzie, co mają chleba wbród i nie spodziewają się aby im pożywienia zabrakło, przyklaskiwali szlachetnemu szaleństwu. Jim był naprawdę nieszczęśliwy, bo mimo swych zapamiętałych wysiłków nie mógł się pozbyć niesławy. Wątpliwości co do jego odwagi wciąż się ludzi trzymały. Chyba to prawda, że niepodobna pokonać ducha faktu. Można mu stawić czoło lub go unikać — a spotkałem paru ludzi, którzy umieli mrugać na prześladujące ich widma. Jim nie należał oczywiście do tej kategorji, ale nie mogłem nigdy ustalić, jak właściwie postępuje, czy unika swego upiora, czy też mu stawia czoło.

— Wysiliłem całą swą przenikliwość i w rezultacie przekonałem się tylko, że nie umiem tego rozstrzygnąć,

gdyż odcienie w postępowaniu Jima były zbyt nieuchwytne — a da się to powiedzieć o wszystkich naszych czynach. Mogła to być i ucieczka, i pewien sposób walki. Znano Jima ogólnie jako tego, który nigdzie miejsca nie zagrzeje, ponieważ ta strona sprawy była najzabawniejsza; po niejakim czasie znali go wszyscy doskonale; w obrębie swych wędrówek o średnicy, powiedzmy, trzech tysięcy mil, zdobył nawet rozgłos tego samego rodzaju jak dziwak, który mieszka na wsi i znany jest całej okolicy. Naprzykład w Bangkoku, gdzie Jim dostał zajęcie u braci Yuckerów, dzierżawców okrętów i handlarzy drzewem tekowem, tragiczny był wprost widok tego chłopca, który chodził w słońcu, ukrywając troskliwie swą tajemnicę, znaną nawet kłodom drzewa na rzecze. Schomberg — włochaty Alzatczyk o zachowaniu pełnem męskiej energji, właściciel hotelu gdzie się Jim stołował — nieposkromiony plotkarz wałkujący wszystkie skandale miasta, opierał się łokciami o stół i dzielił ulepszoną wersją historji o *Patnie* z każdym gościem, który miał ochotę wchłaniać wiedzę podlewaną co kosztowniejszemi trunkami.

— „I, niech pan sobie wyobrazi, to najmilszy w świecie chłopiec — kończył hotelarz wspaniałomyślnie — człowiek ponad zwykłą miarę“.

— Świadczy to pochlebnie o przygodnej grupie ludzi odwiedzających zakład Schomberga, że Jim mógł wytrzymać w Bangkoku całych sześć miesięcy. Zauważyłem iż lubili go nawet ludzie zupełnie obcy, tak jak się lubi grzeczne dziecko. Obejście Jima było powściągliwe, ale zdawało się że sam jego wygląd, jego włosy, oczy, uśmiech, przyciągają sympatję wszystkich, z którymi się stykał. I oczywiście nie był wcale głupi. Zygmunt Yucker (rodem z Szwajcarji),

łagodny człowieczyna udręczony przez okrutny katar żołądka i tak strasznie kulawy, że głowa jego zakreślała ćwierć koła za każdym krokiem — otóż Zygmunt Yucker oświadczał z uznaniem, co sam słyszałem, że jak na tak młodego człowieka Jim „jest bardzo utalentowany“.

— „Dlaczego pan go nie wyśle wgłąb kraju?“ — poddałem z niepokojem, wiedząc że bracia Yucker mają tam koncesje i lasy tekowe. — Jeśli on jest zdolny, jak pan mówi, połapie się szybko w robocie. I ma potemu wszelkie dane fizyczne. Zdrowie nigdy go nie zawodzi“.

— „Ach! Nie mieć kataru kiszek, to wielka rzecz w tym kraju — westchnął biedny Yucker z zazdrością, zerkając ukradkiem na swój żrujnowany żołądek. Gdy odchodziłem, bębnił palcami po pulpicie i mruczał: — *Es ist eine Idee. Es ist eine Idee.*“ — Na nieszczęście, tego samego wieczoru wydarzył się w hotelu przykry wypadek.

— Nie mogę bardzo Jima potępiać, ale było to doprawdy zajście godne pożałowania. Należało do opłakanej kategorji bójek zdarzających się w barach, a przeciwnikiem Jima był pewien zezowaty Duńczyk, którego bilet opiewał pod dziwacznem nazwiskiem: „pierwszy oficer królewskiej sjamskiej marynarki“. Ten facet oczywista grał w bilard wręcz beznadziejnie, ale sądzę iż przegrywać nie lubił. Wypił przytem sporo, tak że po szóstej partji rozzłościł się i rąbnął coś pogardliwie na karb Jima. Większość obecnych nie dosłyszała co powiedział, a tym, co słyszeli, wypadły jego słowa z pamięci, jakby wypłoszone przez groźne skutki, które natychmiast z tego wynikły. Całe szczęście dla Duńczyka że umiał pływać, gdyż pokój wychodził na werandę, pod nią zaś płynął Menam, bardzo szeroki

i czarny. Łódź z Chińczykami — którzy wyruszyli pewno na jakąś złodziejską wyprawę — wyłowiła oficera królewskiej sjamskiej marynarki, a Jim zjawił się u mnie na pokładzie około północy — bez kapelusza.

— „Zdawało mi się, że wszyscy w pokoju znają moją historję“ — mówił, jakby zdyszany jeszcze od walki. W zasadzie żałował tego co zaszło, choć twierdził że w danych okolicznościach nie pozostawało mu nic innego. Ale przeraził go fakt, iż wszyscy wiedzieli tak dokładnie o jego tajemnicy, jakby ją miał wypisaną na twarzy. Po tem, co się stało, nie mógł naturalnie zostać w Bangkoku. Potępiano go ogólnie za brutalną gwałtowność, tak nieodpowiednią dla człowieka w jego delikatnem położeniu; niektórzy twierdzili, że był wówczas haniebnie pijany, inni znów zarzucali mu brak taktu. Nawet Schomberg był tem bardzo zmartwiony.

— „To miły chłopiec — przekładał mi — ale porucznik jest także pierwsza klasa. Co wieczór je obiad przy moim table d'hôte, uważa pan. W dodatku złamali mi kij bilardowy. Nie mogę na takie rzeczy pozwalać. Dziś rano poszedłem zaraz przeprosić porucznika i zdaje się że sprawę załagodziłem, jeśli chodzi o mnie; ale niech pan tylko pomyśli, panie kapitanie, gdyby każdy zaczął takie hece wyprawiać! Przecież tamten człowiek mógł się utopić. A przytem tu w Bangkoku nie można pobiec na sąsiędnią ulicę i kupić nowy kij. Muszę go wypisać z Europy. Nie, nie! Dziękuję za takie usposobienie! — Ten temat bardzo był dotkliwy dla Schomberga.

— To najprzykrzejszy ze wszystkich wypadków po... po dymisji Jima. Nikt nie bolał nad tem bardziej odemnie. Wprawdzie słyszałem już raz, jak ktoś po-

wiedział o Jimie, kiedy była o nim mowa: „O tak, wiem, on tu się ciągle wałęsa“, lecz jak dotąd Jim zdołał jakoś uniknąć ciężkich obrażeń i guzów. Tymczasem ostatnie zajście poważnie mię zaniepokoiło, bo gdyby się zaczął wplątywać w karczemne bijatyki wskutek niezmiernej swej wrażliwości, straciłby opinję niewinnego choć kłopotliwego półgłówka i utarłoby się, że jest zwykłym włóczęgą. Mimo całego zaufania, jakie w nim pokładałem, mimowoli przyszło mi na myśl, iż w takim wypadku od nazwy do samej rzeczy jest tylko krok. Zapewne rozumiecie, że w owym czasie było już nie do pomyślenia, abym mógł pozostawić Jima własnemu losowi. Zabrałem go z Bangkoku na swym statku i odbyliśmy razem dość długą podróż. Żałośnie było patrzeć, jak się w sobie zamykał. Marynarz, nawet jeśli jest tylko pasażerem, interesuje się wszystkiem na statku i przygląda się morskiemu życiu z przyjemnością i krytycyzmem, jak, dajmy na to, malarz patrzący na dzieło kolegi; jest „na pokładzie“ w każdem tego słowa znaczeniu. Tymczasem mój Jim krył się po większej części na dole w kajucie, jakby jechał na gapę. Tak to na mnie podziałało, że unikałem rozmowy o zawodowych sprawach, które nasuwają się same przez się dwóm marynarzom w czasie podróży. Całemi dniami nie zamienialiśmy ani słowa; bardzo mi też było przykro wydawać oficerom rozkazy w obecności Jima. Często, kiedy siedzieliśmy sam na sam w kajucie lub na pokładzie, nie wiedzieliśmy gdzie podziać oczy.

— Umieściłem go u De Jongha, jak wiecie, zadowolony iż wogóle coś dla niego znalazłem, ale czułem że jego położenie staje się teraz wprost nie do wytrzymania. Stracił był do pewnego stopnia tę

elastyczność, dzięki której mógł się odprężyć po każdej porażce i zająć znów nieustępliwe stanowisko. Pewnego dnia, udawszy się na brzeg, zobaczyłem Jima stojącego na bulwarze; woda na redzie i otwarte morze tworzyły jedną gładką, wznoszącą się równię, a najdalej zakotwiczone okręty zdawały się tkwić nieruchomo na niebie. Jim czekał na swoją łódź, do której ładowano u naszych stóp małe paczki z różnemi towarami dla jakiegoś wyruszającego okrętu. Przywitawszy się, staliśmy ramię w ramię, milcząc.

— „Boże ty mój — odezwał się nagle — jakież to zabójcze“.

— Uśmiechnął się do mnie; trzeba przyznać, że naogół umiał zawsze się zdobyć na uśmiech. Nic nie odrzekłem. Widziałem doskonale, iż nie mówi o swem zajęciu; u De Jongha było mu zupełnie dobrze. A jednak z chwilą, gdy wypowiedział te słowa, przekonał mnie odrazu, że jego położenie jest zabójcze. Nie spojrzałem nawet na niego.

— „Czyby pan nie chciał — rzekłem — opuścić zupełnie tej części świata; sprobować jakiegoś zajęcia w Kalifornji lub na zachodniem wybrzeżu? Zastanowię się, co mógłbym zrobić...“

— Przerwał mi nieco pogardliwie.

— „I cóżby to była za różnica?“

— Poczułem natychmiast, że Jim ma słuszność. Nie byłoby w tem żadnej różnicy; Jim wcale ulgi nie pragnął; zaczęło niewyraźnie mi świtać, że to czego chciał, na co jakgdyby czekał, nie dawało się łatwo określić; że pragnął czegoś w rodzaju odskoczni. Te sposobności, które mu nastręczyłem, pozwalały mu tylko zarabiać na chleb. Ale cóż można było zrobić innego? Położenie wydało mi się beznadziejne; przy-

pomniałem sobie słowa biednego kapitana Brierly: „Niech się wpakuje dwadzieścia stóp pod ziemię i niech tam zostanie“. Przyszło mi na myśl, że toby było lepsze, niż wieczne oczekiwanie czegoś niemożliwego — na ziemi. Ale i tego pewien nie byłem. W tej samej chwili, zanim łódź Jima oddaliła się od bulwaru o trzy długości wiosła, postanowiłem że pójdę wieczorem do Steina aby zasięgnąć jego rady.

— Ów Stein był kupcem bogatym i szanowanym. Jego „dom handlowy“ (miał dom handlowy pod firmą Stein i S-ka oraz coś w rodzaju wspólnika, który — według słów Steina — „pilnował Molukków“) — otóż jego dom handlowy prowadził na wielką skalę interesy na wyspach; mnóstwo handlowych placówek, pozakładanych w najbardziej zatraconych miejscach, gromadziło dlań produkty. Bogactwo Steina i ogólny szacunek, jakim się cieszył, nie były właściwą przyczyną, dla której chciałem zasięgnąć jego rady. Pragnąłem zwierzyć mu się ze swych kłopotów, ponieważ był to jeden z ludzi najbardziej godnych zaufania, jakich kiedykolwiek spotkałem. Łagodne światło prostej, jakby niezmordowanej, inteligentnej dobroci rozjaśniało jego długą, wygoloną twarz o głębokich, prostopadłych bróździach, bladą jak u człowieka, który prowadził zawsze życie siedzące — co nie zgadzało się wcale z rzeczywistością. Włosy miał rzadkie, zaczesane wtył z potężnego i wyniosłego czoła. Można było sobie wyobrazić, że w wieku lat dwudziestu wyglądał podobnie jak teraz, przekroczywszy już sześćdziesiątkę. Miał twarz uczonego; tylko brwi — prawie zupełnie białe, gęste i krzaczaste, oraz stanowcze, badawcze spojrzenie nie harmonizowały z jego powierzchownością książkowego mola. Stein był wysoki, chód miał elastyczny; lekko

pochylona jego postać i niewinny uśmiech robiły wrażenie, że gotów jest słuchać życzliwie zwierzeń; długie ramiona o dużych, bladych rękach poruszały się nieczęsto powolnemi ruchami, jakby coś wskazywał i objaśniał. Rozwodzę się nad tem szeroko, gdyż pod tą powierzchownością ukrywał się człowiek o naturze prawej, pełnej wyrozumiałości, o duchu nieustraszonym i fizycznej odwadze, którą możnaby nazwać zuchwałą, gdyby nie wydawała się przyrodzoną funkcją organizmu — jak naprzykład dobre trawienie — funkcją najzupełniej nieświadomą. Mówi się czasem o człowieku, że trzyma w ręku swoje życie. Takie powiedzenie nie byłoby odpowiednie w stosunku do Steina; przez wczesny okres pobytu na wschodzie igrał tem życiem jak piłką. Wszystko to należało do przeszłości, ale znałem jego historję i źródła majątku. Był także dość wybitnym przyrodnikiem czy też, powiedzmy, uczonym zbieraczem. Zajmował się specjalnie entomologją. Jego zbiór *Buprestidae* i *Longicornes* — samych chrząszczy — okropnych potworów w minjaturze, wyglądających złowrogo w śmierci i bezruchu, jego gabloty z pięknemi motylami, ważącemi się pod szkłem skrzynek na martwych skrzydłach, rozsławiły go szeroko. Nazwisko tego kupca, miłośnika przygód, ongi doradcy malajskiego sułtana (o którym mówił zawsze: „mój biedny Mohamed Bonso“) z powodu kilku korcy martwych motyli stało się znane uczonym ludziom Europy, którzy nie mieli żadnego pojęcia o życiu lub charakterze Steina i których z pewnością nic to nie obchodziło. Wiedząc o nim dużo, uważałem że jest szczególnie odpowiedni do wysłuchania zwierzeń o kłopotach Jima a także i moich własnych.

Rozdział XX

— Późnym wieczorem wszedłem do jego gabinetu, minąwszy imponującą lecz pustą salę jadalną oświetloną bardzo skąpo. W domu panowała cisza. Poprzedzał mię ponury jawajski służący w starszym wieku, ubrany jakby w liberję złożoną z białej kurtki i żółtego sarongu; otworzył drzwi, zawołał zniżonym głosem: „O panie!“ — i usunąwszy się nabok, znikł w tajemniczy sposób — jak duch który się zmaterjalizował tylko na chwilę, dla wykonania tej jednej usługi.

— Stein odwrócił się z krzesłem i w tej samej chwili okulary podjechały mu wysoko na czoło, jakby je kto posunął. Powitał mię swym spokojnym i żartobliwym głosem. Tylko jeden róg obszernego pokoju, róg w którym stało biurko, był silnie oświetlony stojącą lampą o ciemnym kloszu, a reszta rozległego gabinetu gubiła się w niewyraźnym mroku, niby jaskinia. Wąskie półki, zastawione ciemnemi skrzynkami jednostajnego kształtu i barwy, biegły naokoło ścian nakształt ciemnego pasa szerokości jakich czterech stóp. Katakumby chrząszczów. Drewniane tabliczki wisiały nad niemi w nieregularnych odstępach. Światło sięgało jednej z tabliczek i słowo *Coleoptera*, wypisane złotemi literami, błyszczało tajemniczo wśród rozległej, mrocznej przestrzeni. Szklane skrzynki, zawierające zbiór motyli, stały trzema długiemi rzędami na małych cienkonogich stoliczkach. Jedna z tych skrzynek, usu-

nięta ze zwykłego miejsca, znajdowała się na biurku wśród podłużnych pasków papieru pokrytych drobniutkiem pismem.

— „Więc tak oto mnie pan zastaje — rzekł Stein. Jego ręka zawisła nad skrzynką, gdzie wspaniały motyl rozpościerał samotnie ciemnobronzowe skrzydła o średnicy siedmiu cali lub więcej, z przedziwnemi białemi żyłkami i pysznem obramowaniem z żółtych plam. — Tylko jeden taki okaz mają *w waszym* Londynie — i to wszystko. Zapiszę ten zbiór memu rodzinnemu miasteczku. To cząstka mnie samego. Najlepsza".

— Pochylił się na krześle i wpatrzył z natężeniem w motyla, oparłszy brodę o przód skrzynki. Stałem za jego plecami.

— „Cudowny" — szepnął i zdawał się zapominać o mej obecności.

— Historja Steina była ciekawa. Urodził się w Bawarji i jako dwudziestoletni młodzieniec brał czynny udział w ruchu rewolucyjnym 1848-go roku. Był mocno skompromitowany, ale udało mu się uciec; z początku znalazł schronienie w Tryjeście u biednego zegarmistrza republikanina. Stamtąd udał się do Trypolisu z zapasem tanich zegarków na sprzedaż; początek ten nie był wspaniały, ale okazał się wcale szczęśliwym, ponieważ Stein napotkał w Trypolisie holenderskiego podróżnika, człowieka dość znanego, o ile mi się zdaje — nie pamiętam jak się nazywał. Ten to przyrodnik właśnie zaangażował go w charakterze niejako pomocnika i zabrał na wschód. Podróżowali po archipelagu razem i oddzielnie, zbierając ptaki i owady, z jakie cztery lata lub więcej. Potem przyrodnik wrócił do kraju, a Stein — nie mając domu,

do któregoby mógł wrócić — został u pewnego starego kupca, z którym się spotkał uprzednio, podróżując po wnętrzu wyspy Celebes — jeśli można wogóle powiedzieć że Celebes ma wnętrze. Ów stary Szkot, jedyny biały, któremu pozwolono wówczas przebywać w tym kraju, był uprzywilejowanym przyjacielem władczyni państw Wajo. Słyszałem często Steina, opowiadającego jak stary kupiec — który był dotknięty lekkim paraliżem jednej strony ciała — wprowadził go na ów dwór tubylczy; wkrótce potem drugi atak powalił ostatecznie starego. Był to ociężały człowiek o patrjarchalnej białej brodzie i postawie imponującej. Wszedł na salę obrad, gdzie wszyscy radżowie, pangeranowie i dowódcy byli zebrani wokoło królowej, otyłej i pomarszczonej kobiety (bardzo swobodnej w mowie według słów Steina), spoczywającej na wysokiem łożu pod baldachimem. Idąc, powłóczył nogą i stukał kijem; chwyciwszy Steina za ramię, zaprowadził go prosto do łoża.

— „Patrz, królowo i wy radżowie, oto mój syn — oświadczył stentorowym głosem. — Handlowałem z waszymi ojcami, a kiedy umrę, on będzie handlował z wami i waszymi synami.“

— Zapomocą tej prostej formalności Stein odziedziczył uprzywilejowane stanowisko Szkota i cały zapas jego towarów wraz z ufortyfikowanym domem na brzegu jedynej spławnej rzeki w kraju. Wkrótce potem stara królowa, tak swobodna w mowie, umarła, i kraj ogarnęły zamieszki wzniecone przez różnych pretendentów do tronu. Stein przyłączył się do stronnictwa jednego z młodszych synów, tego samego, o którym po upływie trzydziestu lat nie mówił nigdy inaczej jak „mój biedny Mohamed Bonso“. Stali się obaj bo-

haterami niezliczonych walecznych czynów; spotykały ich nadzwyczajne przygody, a raz wytrzymali przez miesiąc oblężenie w domu Szkota, mając tylko dwudziestu ludzi przeciwko całej armji. Jestem pewien, że krajowcy mówią do dziś dnia o tej wojnie. A tymczasem Stein nie omieszkał nigdy dołączyć do swych zbiorów każdego motyla czy chrząszcza, który się dostał do jego rąk. Po jakich ośmiu latach wojen, układów, fałszywych rozejmów, godzenia się, zdrad i tak dalej, właśnie w chwili gdy pokój zdawał się utrwalony na stałe, „biedny Mohamed Bonso“ został zamordowany u wrót własnej królewskiej rezydencji, w chwili gdy zsiadał z konia w najweselszem usposobieniu, wróciwszy z świetnego polowania na jelenie. Wskutek tego wypadku pozycja Steina stała się niezmiernie niebezpieczna, ale mimo to byłby może w kraju pozostał, gdyby w krótki czas potem nie stracił siostry Mohameda („mojej drogiej żony, księżniczki“, mawiał uroczyście), z którą miał córkę. I matka i dziecko umarły w przeciągu trzech dni na jakąś zaraźliwą gorączkę. Wówczas Stein opuścił kraj, którego nie mógł znieść po tej okrutnej stracie. Tak się zakończył pierwszy — pełen przygód — okres jego życia. To, co nastąpiło potem, było tak różne, że — gdyby nie rzeczywistość bólu który w Steinie pozostał — tamten dziwny okres mógłby mu się snem wydawać. Miał trochę pieniędzy; rozpoczął życie na nowo i w ciągu lat zdobył znaczny majątek. Z początku podróżował wiele między wyspami, ale później już wiek zaczął mu ciężyć; w ostatnich czasach opuszczał rzadko swój obszerny dom, leżący o trzy mile za miastem w wielkim ogrodzie, wśród stajen, kuchen, oraz bambusowych chatek dla służby i licznych oficjalistów. Co rano Stein

jeździł bryczką do miasta, gdzie miał biuro pełne białych i chińskich urzędników. Był właścicielem niewielkiej floty, złożonej ze szkunerów i statków krajowych i prowadził rozległy handel produktami z wysp. Pozatem żył samotnie — choć ludzi nie unikał — wśród swoich książek i zbiorów, klasyfikując i preparując okazy, korespondując z entomologami w Europie, zestawiając opisowy katalog swych skarbów. Taka była historja człowieka, do którego się udałem po radę w sprawie Jima — bez żadnej określonej nadziei. Czułem że już samo wysłuchanie tego, co będzie miał do powiedzenia, przyniesie mi ulgę. Bardzo mi zależało na zdaniu Steina, lecz szanowałem wytężone, prawie namiętne skupienie z jakiem się wpatrywał w motyla, jakgdyby w bronzowem lśnieniu kruchych skrzydeł, w białych arabeskach, w jaskrawych piętnach dostrzegał inne rzeczy, wizerunek czegoś równie znikomego i urągającego zniszczeniu jak te delikatne i martwe tkanki, roztaczające przepych nieskażony przez śmierć.

— „Cudowny! — powtórzył, spoglądając ku mnie w górę. — Niech pan patrzy! Skończenie piękny — ale to jeszcze nic — proszę spojrzeć na tę dokładność, na tę harmonję. Jakie to delikatne! Jakie wyraziste! Jakie nieskazitelne! Oto przyroda — równowaga olbrzymich sił. Każda gwiazda jest taka — i każde źdźbło trawy stoi *tak* — i potężny Kosmos w doskonałej równowadze wydaje — to. Ten cud; to arcydzieło przyrody — wielkiego artysty.“

— „Nie słyszałem nigdy aby entomolog tak się wyrażał — zauważyłem wesoło. — Arcydzieło! A co pan powie o człowieku?“

— „Człowiek jest zdumiewający, ale arcydziełem

nie jest“ — rzekł, utkwiwszy oczy w szklanej skrzynce. — Może artysta był trochę szalony. Co? Jak pan myśli? Zdaje mi się czasami, że człowiek zjawił się tam gdzie go nie chcą, gdzie niema dla niego miejsca; bo jeśli tak nie jest, to czemu żąda całej ziemi dla siebie? Czemu biega wkółko tu i tam, robiąc naokoło siebie wiele hałasu, czemu rozprawia o gwiazdach, przeszkadza źdźbłom trawy?...“

— „Łowi motyle“ — podsunąłem w tym samym tonie.

— Uśmiechnął się, rozparł w fotelu i wyciągnął nogi.

— „Niech pan siada — rzekł. — Schwytałem własnoręcznie ten rzadki okaz pewnego bardzo pięknego ranka. A było to dla mnie bardzo wielkie wzruszenie. Pan nie wie, czem jest dla zbieracza schwytanie takiego rzadkiego okazu. Pan tego wiedzieć nie może.“

— Uśmiechnąłem się, siedząc wygodnie w bujającym fotelu. Oczy Steina zdawały się spoglądać daleko poza ścianę, w której były utkwione. Opowiedział mi, jak pewnej nocy przybył wysłaniec od „biednego Mohameda,“ wzywając Steina do „rezydencji“ — jak się wyraził — oddalonej o jakie dziewięć lub dziesięć mil; jechało się tam wąską ścieżką przez uprawną równinę, pokrytą tu i ówdzie plamami lasów. Wyruszył wczesnym rankiem z ufortyfikowanego domu, uściskawszy malutką Emmę i zdawszy dowództwo „księżniczce“, swej żonie. Opisywał mi jak go odprowadziła aż do bramy, trzymając rękę na szyi jego wierzchowca; miała na sobie białą kurtkę, złote szpilki we włosach, a przez lewe jej ramię biegł brunatny skórzany pas, w którym tkwił rewolwer.

— „Mówiła do mnie — opowiadał — jak to

zwykle kobiety, że bardzo to brzydko z mej strony wyruszać samopas; przykazywała abym się miał na baczności i starał się wrócić przed zapadnięciem zmierzchu. Prowadziliśmy wojnę i okolica nie była bezpieczna; moi ludzie zakładali okiennice chroniące od kul i nabijali strzelby, a żona prosiła abym się o nią nie lękał. Potrafi obronić dom przed wszystkimi dopóki nie wrócę. A ja się zaśmiałem z uciechy. Miło mi było na nią patrzeć — taką mężną, i młodą, i silną. Ja także byłem wówczas młody. U wrót wzięła mnie za rękę, uściskała ją i cofnęła się. Zatrzymałem konia za częstokołem, dopókim nie usłyszał że bramę zaryglowano. Miałem zażartego nieprzyjaciela — człowieka wielkiego rodu a przytem skończonego łotra — który włóczył się ze swoją bandą po okolicy. Ujechałem wolnym kłusem cztery czy pięć mil; w nocy padał deszcz, ale mgła się podniosła i oblicze ziemi było czyste; uśmiechało się do mnie, świeże i niewinne jak u małego dziecka. Nagle posypał się grad kul — przynajmniej ze dwadzieścia, o ile mi się zdawało. Słyszałem je świszczące koło uszu, kapelusz zjechał mi na tył głowy. Rozumie pan, to był taki sobie mały spisek. Nakłonili mego biednego Mohameda aby po mnie posłał, a potem urządzili tę zasadzkę. Zrozumiałem to wszystko w lot i myślę sobie — Tu nieco roztropności nie zawadzi. Mój kuc chrapnął, skoczył i stanął, a ja opadłem powoli twarzą na jego grzywę. Ruszył znów stępa; zerknąłem jednem okiem z nad jego szyi i dostrzegłem nikły obłok dymu, unoszący się po lewej stronie nad kępą bambusów. Myślę sobie — Aha! moi mili, dlaczego nie poczekaliście dłużej ze strzałami? To jeszcze nie jest *gelungen*. O nie! Prawą ręką sięgam po rewolwer — spokojnie,

spokojnie. Ostatecznie było tylko siedmiu tych zbójów. Wstają z trawy i puszczają się pędem, podkasawszy sarongi, wymachując włóczniami nad głową i wrzeszcząc do siebie, że trzeba złapać konia, bo ja już nie żyję. Dopuściłem ich do siebie tak blisko jak do tych drzwi, a potem paf, paf, paf — celuję za każdym razem. Posłałem jeszcze jedną kulę w czyjeś plecy, alem spudłował. Było już zadaleko. I znów siedzę samotnie na koniu, naokoło uśmiecha się czysta ziemia, a tam oto leżą ciała trzech martwych ludzi. Jeden był zwinięty w kłębek jak pies, drugi, wyciągnięty nawznak, miał rękę przerzuconą przez oczy, jakby się chronił od słońca, a trzeci podciągnął nogę bardzo wolno i wyprostował ją jednym ruchem. Śledzę go z konia bardzo bacznie, ale na tem koniec — *er bleibt ganz ruhig* — leży nieruchomo. I w chwili gdy wypatrywałem znaku życia na jego twarzy, zauważyłem nagle jakby nikły cień, który przesunął mu się po czole. Był to cień tego motyla. Niech pan spojrzy na kształt skrzydeł. Ten gatunek fruwa wysoko i lot ma szybki. Podniosłem oczy i spostrzegłem jak odlatywał. Myślę sobie — Czyżby to było możliwe? Znikł mi z oczu. Zsiadłem z konia i zacząłem iść bardzo wolno, trzymając lejce i rewolwer jedną ręką — a oczy latały mi w górę i w dół, w prawo i w lewo — wszędzie. Wreszcze zobaczyłem go na małej kupce nawozu, o dziesięć stóp ode mnie. Serce zaczęło mi walić natychmiast. Puściłem konia, trzymając wciąż rewolwer, a drugą ręką zerwałem z głowy miękki filcowy kapelusz. Posunąłem się o krok naprzód. Spokojnie. Jeszcze jeden krok. Hop! Mam go! Kiedy się podniosłem, trzęsłem się jak liść z podniecenia, a kiedy rozwarłem te piękne skrzydła i przekonałem się, jaki rzadki,

jaki skończenie doskonały okaz mam w ręku, zakręciło mi się w głowie a nogi tak mi ze wzruszenia osłabły, że musiałem usiąść na ziemi. Pragnąłem gorąco zdobyć okaz tego gatunku, jeszcze kiedym pracował dla profesora. Odbywałem długie podróże, znosiłem wielkie niewygody; śniłem o nim po nocach — a oto nagle miałem go w ręku — dla siebie. Tak jak to mówi poeta (wymówił: boeta) —

„So halt ich's endlich denn in meinen Händen
Und nenn' es in gewissem Sinne mein.“

— Podkreślił ostatnie słowo, zniżywszy nagle głos i odwrócił zwolna oczy od mojej twarzy. Zaczął w milczeniu napełniać pilnie tytoniem długą fajkę, poczem znów spojrzał na mnie znacząco, trzymając wielki palec na otworze fajki.

— „Tak, kochany mój przyjacielu, owego dnia nie pragnąłem niczego; dokuczyłem porządnie największemu wrogowi; byłem młody, silny; posiadałem przyjaźń, posiadałem miłość kobiety, miałem dziecko, które napełniało mi serce tkliwością — a nawet to, o czem we śnie marzyłem, znalazło się w mojem ręku.“

— Potarł zapałkę, która zabłysła gwałtownie. Po jego myślącej, spokojnej twarzy przebiegł skurcz.

— „Przyjaciel, żona, dziecko — mówił zwolna, patrząc na drobny płomyk — phu!“

— Zdmuchnięta zapałka zgasła. Westchnął i zwrócił się znowu do szklanej skrzynki. Delikatne, cudowne skrzydła drgnęły leciutko, jakby tchnienie Steina zbudziło na chwilę do życia wspaniały cel jego marzeń.

— „Praca posuwa się szybko — zaczął nagle zwykłym tonem, łagodnym i pełnym otuchy, wskazując na rozrzucone paski papieru. — Opisywałem właśnie ten

rzadki okaz... *Na!* A jakież dobre wieści pan mi przynosi?"

— „Jeśli mam wyznać prawdę — rzekłem z wysiłkiem, który mię zdziwił — przyszedłem aby panu opisać pewien okaz..."

— „Motyla?" — zapytał z niedowierzaniem i żartobliwym zapałem.

— „Coś daleko mniej doskonałego — odrzekłem, czując nagle że tracę odwagę, ogarnięty różnemi wątpliwościami. — Człowieka!"

— „Ach tak! — szepnął; uśmiechnięta jego twarz zwrócona ku mnie spoważniała. Popatrzył na mnie przez chwilę i rzekł powoli: — No — ja jestem także człowiekiem."

— Oto go macie całego; tak serdecznie umiał dodawać ducha, że człowiek skrupulatny wahał się u progu zwierzeń; ale jeśli się zawahałem, nie trwało to długo.

— Wysłuchał mnie, siedząc z nogą założoną na nogę. Niekiedy głowa jego znikała zupełnie w wielkim kłębie dymu i współczujące pomruki dobywały się z tego obłoku. Kiedy skończyłem, Stein wyprostował nogi, odłożył fajkę, pochylił się ku mnie poważnie i oparł łokciami o poręcze krzesła, złączywszy czubkami palców obie ręce.

— „Rozumiem bardzo dobrze. To jest romantyk".

— Postawił djagnozę, która zaskoczyła mnie swoją prostotą. Nasza narada była zupełnie podobna do konsultacji u doktora; Stein — wyglądający na uczonego — siedział przed biurkiem w fotelu, a ja w drugim naprzeciwko, trochę z boku, tak że z całą naturalnością nasunęło mi się pytanie:

— „Co na to poradzić?"

— Podniósł długi palec wskazujący:

— „Tylko jeden jest na to środek. Jedna jedyna rzecz może nas wyleczyć od samych siebie.“

— Palec opadł na biurko i stuknął głośno. Sprawa, która w oświetleniu Steina wydawała się przedtem taka prosta, stała się — o ile to możliwe — jeszcze prostsza — i zupełnie beznadziejna. Zapadła cisza.

— „Tak — rzekłem — ale ściśle biorąc, nie o to chodzi jak się wyleczyć, tylko jak żyć.“

— Skinął potakująco głową — trochę smutno, jak mi się wydało.

— „*Ja, ja!* Wogóle, według słów waszego wielkiego poety: „Oto jest pytanie“... — Kiwał wciąż głową ze współczuciem: — Być? Ach! ale jak?“

— Podniósł się, trzymając końce palców na biurku.

— „Chcielibyśmy żyć tak rozmaicie — zaczął znowu. — Ten przepyszny motyl znajdzie małą kupkę nawozu i siedzi na niej spokojnie; ale człowiek nie wytrwa nigdy spokojnie na swojej kupce błota. Chce być to tem, to znów owem... — Podniósł rękę i opuścił ją. — Chce być świętym, i chce być djabłem — a za każdym razem gdy zamknie oczy, widzi siebie w bardzo pięknej postaci — widzi siebie tak pięknym, jakim nie może być nigdy... W marzeniu...“

— Opuścił szklane wieko, automatyczny zamek dźwięknął ostro; Stein wziął skrzynkę oburącz i odniósł ją z religijną czcią na miejsce, przechodząc z jasnego koła lampy do kręgu słabszego światła — i ginąc wreszcie w niewyraźnym zmierzchu. Sprawiło to dziwne wrażenie — jakby tych kilka kroków wywiodło go poza nasz konkretny i zagmatwany świat. Wysoka, niby odcieleśniona postać Steina unosiła się bezszelestnie wśród niewidzialnych przedmiotów, pochylając

się nieokreślonym ruchem; dostrzegało się go zdaleka, zajętego tajemniczo niematerjalnemi sprawami — a głos jego stracił dobitność, zdawał się toczyć, silny i poważny — złagodzony przez oddalenie.

— „Ale niezawsze można zamknąć oczy i stąd właśnie płynie prawdziwa troska — ból serca — ból świata. Mówię panu, kochany panie, niemiło się przekonać, że człowiek nie może urzeczywistnić swego marzenia, bo ma zamało sił, albo zamało zdolności. *Ja!...* A przytem człowiek widzi siebie zawsze w takiej pięknej postaci. *Wie? Was? Gott im Himmel!* Jakże to może być? Hahaha!“

— Cień myszkujący wśród motylich grobów zaśmiał się hałaśliwie.

— „Tak! Ta straszna rzecz jest bardzo zabawna. Człowiek, który się rodzi, wpada w marzenie jak się wpada do morza. Jeżeli usiłuje się wydostać — a robią to niedoświadczeni — topi się, *nicht wahr?...* Nie! mówię panu! Jedyny sposób, to poddać się niszczącemu żywiołowi i wysiłkami rąk i nóg sprawić, że głębokie, głębokie morze utrzyma człowieka. Więc jeśli pan mnie zapyta — jak żyć? — Podniósł głos z niezmierną siłą, jakgdyby czyjś podszept zesłał mu natchnienie tam w mroku. — Powiem panu! Na to jest także tylko jedna rada“.

— Szurając śpiesznie pantoflami, zamajaczył w kręgu słabego światła i nagle ukazał się w jasnem kole lampy. Jego wyciągnięta ręka celowała w moją pierś jak pistolet; głęboko osadzone oczy zdawały się nawskroś mię przewiercać, lecz drgające wargi nie wymówiły ani słowa, a z twarzy znikło surowe uniesienie wywołane pewnością, którą ujrzał tam w mroku. Ręka godząca w moją pierś opadła; zbliżywszy się o krok,

położył mi łagodnie dłoń na ramieniu. Są rzeczy, rzekł posępnie, które może nigdy nie dadzą się wypowiedzieć, ale on tyle czasu przeżył samotnie, że czasem zapomina o tem — zapomina. Światło zniszczyło pewność, którą go natchnął odległy mrok. Usiadł i tarł czoło, oparłszy się łokciami o biurko.

— „A jednak to jest prawda — to jest prawda. Zanurzyć się w niszczącym żywiole... — Mówił stłumionym głosem, nie patrząc na mnie, ująwszy twarz w obie dłonie. — To jedyna właściwa droga. Iść za marzeniem, i znowu iść za marzeniem — i tak — *ewig — usque ad finem...*“

— Jego szept pełen przekonania zdawał się otwierać przede mną rozległą, nieokreśloną przestrzeń, niby widnokrąg mrocznej równiny o świcie — a może o zmierzchu? Nie miałem odwagi rozstrzygnąć; lecz to czarowne, zwodnicze światło zasnuwało nieuchwytną, mglistą poezją wilcze doły i groby. Życie Steina zaczęło się od entuzjazmu, od poświęcenia dla szlachetnych idej; odbywał dalekie podróże po różnych szlakach, po dziwnych ścieżkach, a cokolwiek zamierzył, wykonywał bez wahania, zatem bez wstydu i żalu. Pod tym względem miał słuszność. Jest to niewątpliwie najlepszy sposób postępowania. A jednak mimo wszystko, owa wielka równina, po której ludzie wędrują wśród grobów i wilczych dołów, wyglądała bardzo smutno w półcieniu pełnym nieuchwytnej poezji — mroczna pośrodku, o krańcach rozświetlonych, jakby otoczona przepaścią pełną płomieni. Przerwałem wreszcie ciszę aby wyrazić przekonanie, że nikt nie może być większym romantykiem od niego, Steina.

— Potrząsnął zwolna głową, a potem spojrzał na mnie cierpliwem i badawczem spojrzeniem. To wstyd

doprawdy, powiedział. Oto siedzimy i gadamy jak dwa dzieciaki zamiast się skupić i wynaleźć coś praktycznego — jakiś praktyczny środek — przeciw złu — przeciw wielkiemu złu — powtórzył z żartobliwym i wyrozumiałym uśmiechem. Mimo to jednak rozmowa nasza nie stała się „praktyczniejsza“. Staraliśmy się nie wymawiać imienia Jima, jakbyśmy usiłowali wyłączyć z rozmowy wszystko co realne, albo jakby Jim był tylko błędnym duchem, cieniem cierpiącym i bezimiennym.

— „*Na!* — rzekł Stein, wstając. — Przenocuje pan u mnie, a jutro rano uradzimy coś praktycznego — bardzo praktycznego...“

— Zapalił dwuramienny świecznik i poszedł naprzód. Mijaliśmy puste, ciemne pokoje, odprowadzani przez błyski padające od świateł niesionych przez Steina. Ślizgały się po woskowanych posadzkach, muskając tu i ówdzie gładką powierzchnię stołu, niekiedy zalśniły na wygiętym fragmencie jakiegoś mebla lub błysnęły prostopadle w odległych lustrach, a postacie dwóch mężczyzn i migot dwóch świec ukazywały się na chwilę, sunąc bezgłośnie przez głębie kryształowej pustki. Stein szedł powoli o krok przedemną, uprzejmie pochylony. W jego twarzy był głęboki, jakby zasłuchany spokój; długie lniane pukle przetkane białemi nićmi wiły się zrzadka po nieco zgiętym karku.

— „On jest romantykiem — tak, romantykiem — powtórzył. — A to bardzo źle... bardzo źle... Ale i bardzo dobrze“ — dodał.

— „Czyżby z niego był naprawdę romantyk?“ — zapytałem.

— „*Gewiss* — odrzekł i przystanął, wznosząc kandelabr, ale nie spojrzał na mnie. — Oczywiście.

Czem jest to, co przez wewnętrzny ból zmusza go do poznania samego siebie? Czemże jest to, co sprawia że on dla pana i dla mnie — istnieje?“

— W owej chwili trudno było uwierzyć w istnienie Jima — wywodzące się z wiejskiego probostwa, przesłonięte tłumem ludzi jakby kłębami pyłu, zagłuszone przez głośne wymagania życia i śmierci na tym zmaterjalizowanym świecie — lecz niezniszczalna rzeczywistość tego człowieka stanęła przedemną z przekonywającą, z nieodpartą siłą. Ujrzałem ją żywo, jakbyśmy w czasie naszej wędrówki przez wysokie, ciche pokoje — wśród przelotnych błysków światła i nagłych objawień ludzkich postaci, skradających się z pełgającemi płomykami przez niezmierzone, przejrzyste głębie — jakbyśmy się zbliżyli do absolutnej prawdy, która — tak jak Piękno nieuchwytna i niepojęta — pływa po spokojnych, cichych wodach tajemnicy, nawpół w nich pogrążona.

— „Może on i jest romantykiem — przyznałem z lekkim śmiechem, który rozebrzmiał nadspodziewanie głośno, tak że zniżyłem głos natychmiast; — ale pan jest nim z pewnością.“

— Ruszył znów naprzód z głową spuszczoną na piersi, trzymając świecznik wysoko.

— „No — ja istnieję także“ — powiedział.

— Szedł przede mną. Śledziłem jego ruchy, ale nie widziałem w nim szefa firmy, pożądanego gościa popołudniowych zebrań, korespondenta uczonych towarzystw, gospodarza podejmującego wędrownych przyrodników; widziałem tylko istotę jego przeznaczenia, za którem umiał iść pewnym krokiem — to jego życie zaczęte wśród skromnych warunków, bogate w szlachetny zapał, w przyjaźń, miłość, walkę — we wszystkie

sławione pierwiastki romantyzmu. U drzwi mego pokoju zwrócił się ku mnie.

— „Tak — rzekłem, jakby prowadząc w dalszym ciągu rozmowę — między innemi marzył pan po warjacku o motylu; gdy zaś pewnego pięknego poranka marzenie to zaszło panu drogę, chwycił pan w lot wspaniałą sposobność. Prawda? Podczas gdy on...“

— Stein podniósł rękę.

— „A czy pan wie, ilu sposobnościom pozwoliłem uciec, ile utraciłem marzeń, które zaszły mi drogę? — Pokiwał głową z żalem. — Zdaje mi się że niektóre z nich byłyby bardzo piękne — gdybym je umiał urzeczywistnić. Wie pan, ile ich było? Może i ja sam nawet nie wiem.“

— „Czy marzenia Jima były piękne czy nie — rzekłem — wie on o jednem, którego nie pochwycił napewno.“

— „Każdy z nas wie o takich paru — powiedział Stein; — i stąd właśnie troska — wielka troska...“

— Podał mi rękę na progu i rzucił wzrokiem wgłąb pokoju pod swem wzniesionem ramieniem.

— „Niech pan dobrze śpi. A jutro musimy uradzić coś praktycznego — bardzo praktycznego...“

— Choć sypialnia Steina znajdowała się za moją, zobaczyłem że szedł z powrotem tą samą drogą. Wracał do swoich motyli.

Rozdział XXI

— Chyba żaden z was nie słyszał nigdy o Patusanie? — podjął Marlow po chwili ciszy, podczas której zapalał starannie cygaro. — To nic nie szkodzi; mnóstwo ciał niebieskich tłoczy się nad nami w nocy, a o wielu z nich ludzkość nigdy nie słyszała, ponieważ znajdują się poza sferą naszej działalności; nie mają żadnego znaczenia dla nikogo prócz astronomów, którym płaci się za to, aby rozprawiali mądrze o składzie ciał niebieskich, ich wadze, ich szlakach — o nieprawidłowościach w ich zachowaniu, o aberacjach ich światła — jest to coś w rodzaju uczonych plotek. Tak było i z Patusanem. Wspominano znacząco o tym kraju na poufnych zebraniach kół rządowych w Batawji, szczególniej o jego nieprawidłowościach i aberacjach, a tylko bardzo nieliczne jednostki w świecie handlowym znały Patusan ze słyszenia. Nikt jednak tam nie był i sądzę że nikt nie miał ochoty udać się tam osobiście; podobnie jak astronom — tak sobie to wyobrażam — opierałby się stanowczo, gdyby chciano go przenieść na jakieś odległe ciało-niebieskie, gdzie byłby odcięty od swych ziemskich dochodów i czułby się oszołomiony widokiem obcego mu nieba. Lecz ani ciała niebieskie, ani astronomowie nie mają nic wspólnego z Patusanem. To Jim się tam udał. Chcę tylko abyście zrozumieli, że gdyby Stein wysłał Jima na gwiazdę piątej wielkości, zmiana warunków nie

mogłaby być większa. Jim zostawił za sobą swe ziemskie skazy i reputację, którą sobie wyrobił; znalazł się wśród zupełnie nowych warunków — na terenie podatnym dla jego bujnej wyobraźni, nawskroś odmiennym i niezwykłym. A zawładnął nim w sposób równie niezwykły.

— Człowiekiem, który wiedział o Patusanie więcej niż wszyscy inni, był Stein. Przypuszczam że wiedział nawet więcej niż sfery rządowe. Nie wątpię iż tam był kiedyś, w okresie polowania na motyle albo i później, gdy w niepoprawny swój sposób starał się okrasić szczyptą romantyzmu tuczące potrawy kuchni handlowej. Bardzo niewiele było miejscowości na archipelagu, którychby Stein nie oglądał w zaraniu ich istnienia, nim jeszcze zaniesiono tam światło (i to nawet elektryczne) w imię wyższej moralności i — i... no, większych zysków zarazem. Stein wspomniał o Patusanie nazajutrz po naszej rozmowie na temat Jima, gdy przytoczyłem słowa biednego kapitana Brierly: „Niech się wpakuje dwadzieścia stóp pod ziemię i niech tam zostanie.“ Podniósł na mnie oczy z zajęciem i uwagą, jakbym był jakimś rzadkim owadem.

— „Toby także dało się zrobić“ — rzekł, popijając kawę małemi łykami.

— „Trzeba go gdzieś zagrzebać — tłumaczyłem. — Nie mam oczywiście na to ochoty, ale biorąc pod uwagę charakter Jima, będzie to chyba najlepsze wyjście.“

— „Tak; on jest młody“ — rozmyślał Stein.

— „Najmłodszy ze wszystkich ludzi na świecie“ — potwierdziłem.

— „*Schön*. Otóż jest ten Patusan — ciągnął, nie zmieniając tonu. — A tamta kobieta już nie żyje“ — dodał zagadkowo.

— Nie znam oczywiście historji owej kobiety, domyślam się tylko, że Patusan służył już za grób dla jakiegoś grzechu, wykroczenia czy też nieszczęścia. Niepodobna tu podejrzewać Steina. Jedyną kobietą, jaka kiedykolwiek dla niego istniała, była młoda Malajka, zwana przez niego: „księżniczką, moją żoną“, albo rzadziej, w chwilach wywnętrzeń: „matką mojej Emmy“. Kim była tamta kobieta, o której Stein wspomniał w związku z Patusanem, tego nie umiem powiedzieć; ale z jego aluzyj zrozumiałem, że musiała to być nawpół Holenderka, nawpół Malajka, wykształcona i bardzo ładna, o tragicznej a może tylko żałosnej historji; najboleśniejszym faktem z jej życia stało się bezwątpienia małżeństwo z pewnym Portugalczykiem z Malakki, urzędnikiem jakiejś firmy handlowej w kolonjach holenderskich. Wywnioskowałem ze słów Steina, że ów człowiek był — z niezupełnie jasnych przyczyn — osobistością nieszczególną i odpychającą. Jedynie przez wzgląd na jego żonę Stein mianował go dyrektorem stacji handlowej w Patusanie pod firmą Stein i Sp.; z kupieckiego punktu widzenia nominacja ta nie okazała się jednak korzystna — przynajmniej jeśli chodzi o firmę — to też po śmierci owej kobiety Stein był skłonny osadzić tam na próbę nowego agenta. Portugalczyk, o którym mowa, nazwiskiem Cornelius, uważał się za jednostkę wybitną lecz zapoznaną, zasługującą dzięki swym zdolnościom na lepsze stanowisko. Tego człowieka miał zastąpić Jim.

— „Nie myślę jednak aby Cornelius stamtąd się wyniósł — zauważył Stein. — To mnie zresztą nic nie obchodzi. Osadziłem go tam jedynie ze względu na tę kobietę... Ale zdaje mi się że została po niej

córka; więc jeśli Cornelius będzie chciał zostać, pozwolę mu zamieszkać w starym domu.“

— Patusan jest dalekim okręgiem państwa rządzonego przez krajowców; główna jego osada nosi tę samą nazwę. Z punktu na rzece, odległego o jakieś czterdzieści mil od morza, widać pierwsze domy Patusanu, a jednocześnie ukazują się nad poziomem lasów szczyty dwóch stromych wzgórz, stojących bardzo blisko siebie i przedzielonych głęboką rozpadliną, powstałą jakby wskutek potężnego uderzenia. Dolina między temi wzgórzami jest właściwie tylko wąskim wąwozem; gdy się patrzy z osady, oba pagórki wyglądają jak niesymetryczny stożek rozłupany na dwoje, o leciutko rozchylonych połowach. Trzeciego dnia po pełni księżyc, który oglądałem z otwartego dziedzińca przed domem Jima (w czasie moich odwiedzin Jim miał bardzo ładny dom zbudowany na wzór krajowych) — otóż księżyc wstawał właśnie za owemi wzgórzami; na tle jego rozproszonego blasku najpierw obie sylwety pagórków zarysowały się głęboką czernią, a potem na dnie rozpadliny ukazała się prawie zupełnie okrągła tarcza, rozżarzona do czerwoności, i sunęła w górę między ścianami, aż wreszcie wypłynęła nad szczyty, jakby uchodząc z rozwartego grobu w cichym tryumfie.

— „Wspaniałe — rzekł Jim u mego boku. — Czy nie warto tego zobaczyć?“

— Uśmiechnąłem się na to pytanie pełne osobistej dumy; można było pomyśleć, że Jim brał udział w urządzeniu tego widowiska, jedynego w swoim rodzaju. Miał wpływ na tyle spraw w Patusanie! Spraw, które znajdowały się — rzekłbyś — tak dalece poza zasięgiem jego działalności jak ruchy gwiazd i księżyca.

— Było to niepojęte — a jednak stanowiło właśnie odrębność roli, którą obaj ze Steinem narzuciliśmy niechcący Jimowi, w tym jedynym celu aby usunąć go z drogi — rozumie się jego własnej. Zmierzaliśmy przedewszystkiem do tego, choć — przyznaję — może istniała jeszcze inna przyczyna, która na mnie trochę wpłynęła. Miałem właśnie wrócić na pewien czas do Anglji, i kto wie czy nie pragnąłem — raczej podświadomie — osadzić gdzieś Jima — rozumiecie? osadzić go gdzieś przed wyjazdem. Wracałem do kraju, a on właśnie stamtąd do mnie przybył ze swą nieszczęsną zgryzotą i bezpodstawnemi uroszczeniami — jak człowiek we mgle, dyszący pod jakimś ciężarem. Nie mogę powiedzieć, abym widział go kiedy wyraźnie — nawet i dzisiaj, po naszem ostatniem spotkaniu — ale zdawało mi się, że im mniej go rozumiem, tem większe mam wobec niego obowiązki — w imię tej niepewności, która jest nieodłączną cechą ludzkiego poznania. O sobie niewiele więcej wiedziałem. A przytem, powtarzam, wracałem do kraju, do tego kraju tak odległego, że wszystkie jego domowe ogniska wydawały mi się jednem ogniskiem, u którego najskromniejszy z nas ma prawo zasiąść. Wędrujemy tysiącami po obliczu ziemi, sławni lub nieznani, zarabiając za oceanem na rozgłos, na bogactwo, lub tylko na suchy chleb; ale zdaje mi się, że dla każdego z nas powrót do kraju musi być jakby zdaniem rachunku. Wracamy aby stanąć wobec naszych zwierzchników, krewnych, przyjaciół — tych, którym jesteśmy posłuszni i tych, których kochamy; lecz nawet ludzie nie mający ani jednych ani drugich, zupełnie swobodni, samotni, pozbawieni wszelkich więzów i obowiązków — nawet ci, których nie oczekują kochane twarze i dobrze

znane głosy — muszą się spotkać z duchem przenikającym kraj, duchem, którego pełno pod niebem, w powietrzu, w dolinach i na pagórkach, na polach, w wodzie, w drzewach — z niemym przyjacielem, sędzią i natchnionym doradcą. Mówcie sobie co się wam podoba, lecz jeśli chcemy użyć radości w swym kraju, odetchnąć jego spokojem, spojrzeć w oczy jego prawdzie, musimy wrócić z czystem sumieniem. Może to wszystko wyda się wam poprostu sentymentalizmem; i rzeczywiście, bardzo niewielu z nas ma dość woli lub też zdolności aby spojrzeć świadomie wgłąb znanych wzruszeń. Zaprzątają nas kobiety, które kochamy, mężczyźni, których szanujemy, tkliwość, przyjaźń, różne szczęśliwe sposobności, rozrywki! Ale faktem jest niezaprzeczonym, że trzeba dotknąć swej nagrody czystemi rękoma, aby się nie obróciła w zeschłe liście i ciernie. Zdaje mi się, że właśnie samotnicy bez domowego ogniska lub przywiązania, na któreby mogli liczyć, ci co powracają nie do domu ale do kraju, aby zetknąć się z jego bezcielesnym, wiecznym, niezmiennym duchem — że ci właśnie rozumieją najlepiej jego surowość, jego zbawczą siłę, łaskę jego przedwiecznych praw do naszej wierności, do naszego posłuszeństwa. Tak! Niewielu z nas to rozumie, ale jednak czujemy to wszyscy, powtarzam: wszyscy bez wyjątku — albowiem ci, którzy tego nie czują, nie liczą się wcale. Każde źdźbło trawy ma swoje miejsce na ziemi, skąd czerpie życie i siły; i taksamo człowiek jest wrośnięty w kraj, z którego czerpie swą wiarę wespół z życiem. Nie wiem jak dalece Jim to rozumiał, ale wiem że czuł, czuł niewyraźnie lecz potężnie wymagania tej jakiejś prawdy czy tego złudzenia — wszystko mi jedno jak to nazwiecie, tak drobna jest tu różnica i tak

małą ma wagę. Cała rzecz w tem, że właśnie z powodu owych uczuć Jim wchodził w rachubę. Powiedział, że nigdy już do kraju nie wróci. Broń Boże. Nigdy! Gdyby był zdolny do malowniczego ujawniania swych uczuć, wzdrygnąłby się na tę myśl, i pod jego wpływem wybyście się także wzdrygnęli. Ale nie należał do ludzi tego pokroju, choć po swojemu umiał wcale dobrze wyrazić co czuje. Na myśl o powrocie do kraju kostniał w rozpaczliwym bezruchu, z głową opuszczoną na piersi i bolesnym grymasem na ustach; niewinne jego błękitne oczy jarzyły się ciemnym blaskiem pod ściągniętemi brwiami, jak wobec czegoś oburzającego, czego znieść niepodobna. Miał dużo wyobraźni pod tym swoim twardym czerepem, okrytym gęstemi, wijącemi się włosami, niby czapką. Jeśli chodzi o mnie, który wyobraźni nie posiadam (gdybym ją miał, wiedziałbym dziś więcej o Jimie), nie chcę dać wam do zrozumienia, iż spodziewałem się ujrzeć ducha Anglji — unoszącego się nad białemi skałami Dover — i usłyszeć jak mnie zapyta, wracającego, że tak powiem, z całemi kośćmi — co uczyniłem z mym młodszym bratem? Tak dalece się mylić nie mogłem. Wiedziałem dobrze, że Jim należy do tych, o których się nikt nie zatroszczy; widywałem jak ludzie bardziej od niego wartościowi znikali, przepadali nazawsze, nie wywołując żadnego odruchu ciekawości lub smutku. Duch kraju — jak przystoi kierownikowi wielkich przedsiębiorstw — nie dba o jednostki. Biada maruderom! Istniejemy tylko póty, póki trzymamy się razem. A Jim się w pewien sposób zawieruszył; nie umiał dotrzymać kroku; lecz zdawał sobie z tego sprawę tak głęboko, że to chwytało za serce — podobnie jak większa intensywność życia ludzkiego sprawia, że śmierć

człowieka bardziej nas wzrusza niż śmierć drzewa. Tak się złożyło, że znalazłem się na drodze Jima i że los jego mię wzruszył. To i wszystko. Niepokoiło mię, jak się Jim z tego wyplata. Bolałoby mię, gdyby naprzykład zaczął pić. Ziemia jest taka mała, że lękałem się aby nie zaczepił mnie kiedy utytłany włóczęga o mętnych oczach i zapuchniętej twarzy — w płóciennych trzewikach bez podeszew, z łachmanami powiewającemi naokoło łokci — i aby mnie nie poprosił, na podstawie dawnej znajomości, o pożyczenie pięciu dolarów. Znacie przecież okropny, bezceremonialny sposób bycia tych straszydeł, przychodzących do nas z przyzwoitej przeszłości — chrapliwy, niedbały ich głos, bezczelny wzrok unikający naszych oczu; takie spotkania cięższe są dla człowieka, wierzącego w solidarność obowiązującą nas w życiu, niż dla księdza widok grzesznika, który się nie kaja na łożu śmierci. Jeżeli mam powiedzieć prawdę, było to jedyne niebezpieczeństwo, jakiego się obawiałem i dla Jima, i dla siebie; ale i tu nie ufałem swemu brakowi wyobraźni. Mogło dojść do jeszcze gorszych rzeczy, których moja imaginacja nie była w stanie przewidzieć. Jim nie pozwalał mi zapomnieć, jak bujną ma fantazję, a tacy ludzie zapędzają się dalej od innych w jakimkolwiek kierunku, jakby tkwili u końca dłuższej liny na niepewnem kotwowisku życia. Tak! I rozpijają się także. Może te moje przewidywania krzywdziły Jima. Ale skądże miałem wiedzieć? Nawet Stein zdobył się tylko na orzeczenie, że Jim jest romantykiem. Ja zaś wiedziałem jedynie, iż jest jednym z nas. I skąd mu się wziął ten romantyzm? Opowiadam wam tyle o swych własnych instynktownych uczuciach i mętnych rozmyślaniach, ponieważ tak mało mi już pozostaje

o nim do powiedzenia. Istniał dla mnie, a właściwie mówiąc, tylko przeze mnie dla was istnieje. Wziąłem go za rękę, poprowadziłem i pokazałem go wam uroczyście. Czy moje poziome obawy były uzasadnione? Nie chcę tego rozstrzygnąć — nawet dziś jeszcze. Wy raczej moglibyście na to odpowiedzieć, ponieważ przysłowie mówi, że kibice najlepiej się w grze orjentują. W każdym razie obawy moje były płonne. Jim bynajmniej się nie załamał; przeciwnie, radził sobie wspaniale, szedł naprzód prosto jak strzała i to w doskonałej formie, która dowodziła że potrafi się zdobyć zarówno na wytrwanie jak i na nagły wysiłek. Powinienem być uszczęśliwiony, bo w tem zwycięstwie i ja odegrałem swą rolę; ale nie jestem tak bardzo rad, jakem się tego spodziewał. Pytam się siebie, czy impet Jima wyprowadził go istotnie z owej mgły, w której majaczyła jego postać o płynnych konturach — niezbyt wielka lecz interesująca — postać marudera tęskniącego bezustanku za swem skromnem utraconem miejscem w szeregach. Zresztą ostatnie słowo jeszcze nie jest wyrzeczone i prawdopodobnie nigdy wyrzeczone nie będzie. Może ludzkie życie trwa zbyt krótko abyśmy mogli wypowiedzieć się w całej pełni, choć oczywiście jedyny to cel, przyświecający ludziom stale wśród ich nieudolnego bełkotu. Przestałem już wyczekiwać tych ostatecznych słów, których dźwięk wstrząsnąłby niebem i ziemią, gdyby tylko mogły być wyrzeczone. Nie starczy nigdy czasu na wypowiedzenie ostatniego słowa — słowa naszej miłości, naszych pragnień, wiary, wyrzutów sumienia, poddania się, buntu. Nie wolno wstrząsać niebem i ziemią. W każdym razie nie jest to dozwolone nam, którzy znamy tyle prawd o jednem i drugiem. Moje ostatnie słowa o Jimie będą krótkie.

Twierdzę, że osiągnął wielkość, ale takie sprawy zawsze są pomniejszone przez tego, który opowiada, a raczej przez tych, co słuchają. Szczerze mówiąc, mniej dowierzam waszym duszom niż swoim słowom. Potrafiłbym się zdobyć na wymowę, gdybym się nie obawiał, że głodziliście waszą wyobraźnię aby paść ciało. Nie chciałbym was urazić; brak złudzeń jest rzeczą godną ogólnego szacunku — i bezpieczną — i korzystną — i nudną. Ale wy także musieliście znać swego czasu pełnię życia, ów blask czczej chwały, wynikły ze starcia się błahostek, blask równie zdumiewający jak żar iskier wydartych zimnemu głazowi — i równie krótkotrwały, niestety!

Rozdział XXII

— Zdobycie miłości, honoru, ludzkiego zaufania, wynikająca stąd duma i siła są tematem do bohaterskiej opowieści; tylko że na ludzi oddziaływa strona zewnętrzna powodzenia, a w powodzeniu Jima wcale tej strony nie było. Trzydzieści mil lasu odcinało jego tryumf od oczu obojętnego świata, a szum białej piany wzdłuż wybrzeża tłumił głos sławy. Rzeka cywilizacji rozdwaja się, jakby napotkała przeszkodę sto mil na północ od Patusanu; rozgałęzia się na wschód i południo-wschód, odcinając i pozostawiając w zaniedbaniu równiny i wąwozy tego kraju, jego stare drzewa i starą ludność — niby nieznaczną, kruszącą się wysepkę między dwojgiem ramion potężnego, zachłannego strumienia. Stare opisy podróży wymieniają Patusan dość często. W siedemnastym wieku kupcy udawali się tam po pieprz, gdyż namiętność do pieprzu zdawała się gorzeć jak miłosny płomień w piersi angielskich i holenderskich podróżników z czasów Jakóba Pierwszego. Dokąd oni się nie zapuszczali po ten pieprz! Dla worka pieprzu byliby bez najmniejszego wahania poderżnęli sobie nawzajem gardła i zaparli się własnych dusz, o które skądinąd dbali tak bardzo; dziwaczna uporczywość tego pragnienia zmuszała ich do wyzywania śmierci pod tysiącznemi postaciami nieznanych mórz, wstrętnych i dziwacznych chorób, ran, niewoli, głodu, zarazy i rozpaczy. Ci ludzie stawali się wielcy!

Dalibóg, stawali się bohaterscy! A także i wzruszający w swej żądzy handlu strzeżonego przez nieugiętą śmierć, pobierającą myto od młodych i starych. Wydaje się nie do wiary, aby zwykła chciwość mogła wzbudzić tak nieugięte dążenie do celu, taką ślepą zawziętość w wysiłkach i poświęceniu. Zaiste, ci, którzy wystawiali na sztych swe zdrowie i życie, ryzykowali wszystko co mieli wzamian za bardzo nikłą nagrodę. Zostawiali swe kości, bielejące po dalekich wybrzeżach, aby utorować drogę bogactwu płynącemu do kraju — dla żywych. Nam — ich lżej doświadczanym następcom — ukazują się wyolbrzymieni; nie widzimy w nich agentów handlowych lecz narzędzia przeznaczenia; parli w nieznane, gnani nurtującym ich wewnętrznym głosem, porywem tętniącym we krwi, marzeniem o przyszłości. Byli nadzwyczajni i trzeba przyznać, że byli gotowi na wszystko co nadzwyczajne. Podkreślali je z upodobaniem, opisując swoje cierpienia, wygląd mórz, obyczaje obcych ludów i chwałę wspaniałych władców.

— W Patusanie znaleźli mnóstwo pieprzu i byli pod wrażeniem chwały i mądrości panującego tam sułtana; lecz — jak się zdaje — po stuleciu przerywanych stosunków, handel zaczyna stopniowo coraz bardziej ów kraj pomijać. Może pieprz się wyczerpał. Tak czy inaczej, nikt już się teraz Patusanem nie interesuje; wspaniałość znikła z dworu władcy, a sułtanem jest młody półgłówek o dwóch wielkich palcach u lewej ręki i marnym, niepewnym dochodzie, wyciskanym z nędznej ludności i kradzionym przez licznych wujów.

— Tego dowiedziałem się naturalnie od Steina. Powiedział mi, jak się ci wujowie nazywają i dał

krótki opis życia i charakteru każdego z nich. Stein był naszpikowany wiadomościami o państwach tuziemczych jak urzędowy raport, tylko że jego informacje były daleko bardziej zajmujące. *Musiał* wiedzieć o wszystkiem. Prowadził tak rozległy handel, a w niektórych obwodach — jak naprzykład w Patusanie — tylko jego firma miała agencję za specjalnem pozwoleniem władz holenderskich. Rząd ufał jego dyskrecji, z układu zaś wynikało, że Stein ponosi całe ryzyko przedsięwzięcia. Ludzie, których tam obsadzał, zdawali sobie również z tego sprawę, ale widać Stein wynagradzał ich tak hojnie, że im się to opłacało. Rozmawiał ze mną zupełnie otwarcie przy rannem śniadaniu. Według jego wiadomości (ostatnie datowały z przed trzynastu miesięcy, jak to stwierdził z całą dokładnością) zwykłym stanem rzeczy w Patusanie była absolutna niepewność życia i mienia. Działały tam wrogie sobie siły, a jedną z nich był radża Allang, sprawujący władzę nad rzeką, najgorszy z wujów sułtana. Dopuszczał się na ludności zdzierstw, kradzieży i tak ciemiężył krajowców, jakby ich chciał wytępić, ci zaś byli zupełnie bezbronni i nie mogli nawet szukać ucieczki w emigrowaniu, bo — jak zauważył Stein — „dokądby się udali i jakby się mogli z Patusanu wydostać?“ Z pewnością nawet nie pragnęli uciec. Świat (który jest otoczony wyniosłemi, nieprzebytemi górami) został oddany w ręce wysoko urodzonych; swojego radżę znali, pochodził z ich własnego królewskiego rodu. Miałem sposobność spotkać się później z tym gentlemanem. Był to brudny, niski, zużyty starzec o złych oczach i ustach zdradzających słabość charakteru; co dwie godziny łykał pigułkę opium i wbrew podstawowym zasadom przyzwoitości chodził z odkrytą

głową, przyczem włosy spadały mu w rozkudłanych strąkach na brudną, wyschniętą twarz. Udzielając audjencji, wdrapywał się na coś w rodzaju wąskiej estrady, która znajdowała się w hali przypominającej zniszczoną stodołę; przez szpary w zbutwiałej bambusowej podłodze można było dostrzec, dwanaście czy piętnaście stóp poniżej, kupy śmieci i wszelkich odpadków leżące pod domem. Wśród takich to okoliczności przyjął mię radża, gdy w towarzystwie Jima złożyłem mu ceremonjalną wizytę. Około czterdziestu osób było w sali przyjęć i ze trzy razy więcej wdole na wielkim dziedzińcu. Podczas audjencji panował ciągły ruch, ludzie wchodzili i wychodzili, popychając się i szepcząc za naszemi plecami. Kilku młodzieńców w jasnych jedwabiach gapiło się na nas zdaleka; większość obecnych, niewolnicy i pośledniejsi dworzanie, byli nawpół nadzy, ubrudzeni popiołem i błotem, i mieli popodarte sarongi. Nie widziałem nigdy, aby Jim był tak poważny i opanowany; wyglądał niezbadanie i imponująco. Pośród tych wszystkich ciemnolicych ludzi, jego biało odziana krzepka postać i połyskliwe fale jasnych włosów zdawały się pochłaniać cały blask słońca, który się sączył przez szczeliny i zamknięte okiennice tej mrocznej hali o ścianach z mat i dachu pokrytym strzechą. Jim wydał mi się stworzeniem nietylko innego rodzaju, ale wprost z innej gliny. Gdyby ci ludzie nie widzieli iż przyjechał czółnem, mogliby pomyśleć że zstąpił do nich z chmur. A tymczasem przybył w popękanem czółenku, siedząc na blaszanej skrzynce, którą mu pożyczyłem; nogi miał ściśnięte i siedział prawie bez ruchu aby czółna nie wywrócić, a na jego kolanach leżał rewolwer systemu używanego w marynarce (dostał go ode mnie przed wyjazdem). Czy to wskutek zrządzenia

Opatrzności, czy jakiejś upartej myśli — co zupełnie na Jima patrzyło — czy poprostu wskutek instynktownej roztropności, Jim postanowił rewolweru nie nabijać. Tak oto jechał wgórę rzeki do Patusanu. Trudno o coś bardziej prozaicznego a niebezpiecznego od tej przeprawy, tak szalonej i tak samotnej. Dziwny jest fatalizm, który nadawał wszystkim czynom Jima charakter ucieczki, dezercji dokonanej pod wpływem nieobliczalnego porywu — skoku w nieznane.

— Co mię najbardziej w tem wszystkiem uderza, to właśnie przypadkowość. Kiedy obaj ze Steinem — mówiąc w przenośni — podnieśliśmy Jima i przerzuciliśmy go przez mur bez wielkich ceremonij, żaden z nas nie miał wyraźnego pojęcia, co się może znajdować po tamtej stronie. Pragnąłem wówczas tylko doprowadzić do zniknięcia Jima. Charakterystyczne jest, że Steinem powodowały motywy natury uczuciowej. Powziął myśl aby spłacić (sądzę że w naturze) pewien stary dług — o którym nie zapomniał. Przez całe życie okazywał istotnie szczególną serdeczność wszystkim, którzy pochodzili z wysp Brytyjskich. Wprawdzie nieżyjący już dobroczyńca Steina był Szkotem — i to do tego stopnia że się nazywał Aleksander Mac Neil — Jim zaś pochodził z okolic leżących dobry szmat na południe od Szkocji, lecz z odległości sześciu czy siedmiu tysięcy mil Wielka Brytanja, choć bynajmniej nie pomniejszona, ukazuje się nawet własnym dzieciom w znacznym skrócie, odejmującym wagę podobnym szczegółom. Można to Steinowi wybaczyć; jego zamiary, o których mi napomykał, były tak hojne, iż prosiłem go z całą powagą, aby do czasu zachował je w tajemnicy. Czułem że względy osobistej korzyści nie powinny oddziaływać na Jima, że nie należy

go nawet narażać na ryzyko takiego wpływu. Mieliśmy przed sobą rzeczywistość innego rodzaju. Jim potrzebował schronienia; to schronienie, okupione niebezpieczeństwem, należało mu umożliwić — i nic pozatem.

— Pod wszystkiemi innemi względami byłem z Jimem zupełnie otwarty, a nawet (jak mi się wówczas zdawało) przesadzałem wobec niego groźne warunki przedsięwzięcia. W istocie zaś nie doceniłem niebezpieczeństw, które Jima czekały; pierwszy dzień jego pobytu w Patusanie ledwie że się nie stał ostatnim — co byłoby nastąpiło, gdyby Jim zachował się mniej lekkomyślnie lub też mniej twardo względem samego siebie: gdyby był zechciał łaskawie nabić rewolwer. Pamiętam, że kiedy rozwijałem przed Jimem nasze szacowne plany — dążące do tego aby mu zapewnić schronienie — jego uparta lecz znużona rezygnacja przemieniała się stopniowo w zdumienie, zainteresowanie, podziw i wreszcie zapał chłopięcy. To była właśnie owa sposobność, o której marzył. I nie miał pojęcia, czem sobie na to zasłużył, abym ja... Niechby pękł, jeśli rozumie, czemu zawdzięcza... I to właśnie Stein, kupiec Stein, który... ale to naturalnie tylko dzięki mnie... Przerwałem mu. Nie umiał się wypowiedzieć, a jego wdzięczność sprawiała mi niezrozumiały ból. Oświadczyłem, że jeśli istotnie zawdzięcza komuś tę szczęśliwą okazję, to wyłącznie staremu Szkotowi, o którym nigdy nie słyszał i który umarł przed wielu laty; niewiele wspomnień po nim zostało, pamiętano tylko jego stentorowy głos i pewnego rodzaju szorstką uczciwość. Poza Mac Neilem nie było nikogo, ktoby mógł przyjąć podziękowania Jima. Stein zwracał młodemu człowiekowi pomoc, którą sam otrzymał za swoich młodych lat, a co do mnie, poprostu wymie-

niłem tylko jego nazwisko. Jim zaczerwienił się na to i zauważył nieśmiało, miętosząc w palcach skrawek papieru, że ja mu zawsze ufałem.

— Potwierdziłem to i po chwili milczenia rzekłem, że chciałbym aby Jim mógł brać ze mnie przykład w tym względzie. „Pan myśli że tego nie robię?“ spytał niespokojnie i zauważył szeptem, że trzeba mieć najpierw sposobność, aby się czemkolwiek wykazać. Wkrótce twarz jego się rozjaśniła; oświadczył głośno, iż nie da mi okazji do żałowania pokładanej w nim ufności, która... której...

— „Niechże pan mnie zrozumie — przerwałem. — Nie w pana mocy jest sprawić, abym czegokolwiek żałował. Wszelkie żale z mej strony są wykluczone, a jeśliby do tego doszło, tylko mnie samegoby to obchodziło.“ — Oświadczyłem pozatem, iż chcę aby zrozumiał, że ten układ, że ten... ten — eksperyment jest jego własną sprawą; jedynie on zań odpowiada i nikt więcej.

— „Ale przecież... przecież — wyjąkał — to jest właśnie to, o co mi...“ — Poprosiłem go żeby nie był głupi, na co zrobił minę bardziej zdziwioną niż kiedykolwiek; dodałem iż jest na najlepszej drodze do tego, aby sobie zupełnie życie uniemożliwić... Zmieszał się i zapytał: „Czy pan tak myśli naprawdę?“ po chwili zaś podjął ufnie: „Ale przecież nie dawałem się, co?“

— Niepodobna było na niego się gniewać: nie mogłem powstrzymać uśmiechu i rzekłem, iż w dawnych czasach ludzie tak jak on postępujący kończyli na tem, że zostawali pustelnikami na puszczy.

— „Do licha z pustelnikami!“ — zawołał Jim z porywczością pełną wdzięku. Natomiast przeciw puszczy nie miał nic, oczywiście.

— „Bardzo się z tego cieszę“ — odrzekłem i oświadczyłem mu, że miał się znaleźć właśnie na puszczy; mogłem go zapewnić, iż będzie tam prowadził życie wcale ożywione. „Tak, tak, rzekł z entuzjazmem. Przypomniałem mu, ciągnąc dalej niewzruszenie, że pragnął się usunąć i zamknąć za sobą drzwi... „Czyż tak?“ przerwał mi i dziwnie sposępniał, jakby cień przelotnej chmury ogarnął go nagle od stóp do głów. Ileż on miał jednak wyrazu — to było wprost nadzwyczajne! „Czyż tak?“ powtórzył z goryczą. „Nie powie pan chyba, że o to gwałt robiłem. I mógłbym tak żyć jeszcze dalej, tylko że pan pokazuje mi furtkę, do licha!“ — „Bardzo pięknie. Więc — naprzód!“ — wtrąciłem. Mogłem przyrzec mu uroczyście, że furtka zatrzaśnie się za nim na amen. Jego los — jakimkolwiek będzie — pozostanie nieznany, ponieważ mimo rozprzężenia panującego w Patusanie, uważają ten kraj za niedojrzały do interwencji. Z chwilą kiedy Jim tam się znajdzie, wszyscy zapomną o nim tak zupełnie, jakby nigdy nie istniał. Będzie musiał polegać wyłącznie na samym sobie, a przedewszystkiem stworzyć sobie grunt pod nogami.

— „Jakbym nigdy nie istniał... Na miły Bóg, o to właśnie mi chodzi!“ — szepnął do siebie. Jego oczy, wpatrzone we mnie, błyszczały. Rzekłem w końcu, że jeśli zrozumiał dokładnie okoliczności tej sprawy, niech skoczy w pierwszy lepszy powozik i pojedzie do Steina aby odebrać od niego ostatnie wskazówki. Wypadł z pokoju, nim jeszcze skończyłem mówić.

Rozdział XXIII

— Wrócił dopiero nazajutrz. Zatrzymano go na obiedzie i na noc. Oświadczył, że pan Stein jest najcudowniejszym człowiekiem na świecie. Jim miał w kieszeni list do Corneliusa („to ten facet, którego trzeba będzie wysiudać“, objaśnił, przyczem uniesienie jego na chwilę przygasło) i pokazał mi z radością srebrny pierścień, taki jakich używają krajowcy, bardzo wytarty, z nikłemi śladami rytych ozdób.

— Ów pierścień miał służyć za list rekomendacyjny do pewnego staruszka imieniem Doramin — jednego z najpoważniejszych ludzi w Patusanie, wielkiej figury; pan Stein przyjaźnił się z nim — tam gdzie go spotkały te wszystkie przygody. Pan Stein nazywa Doramina „kolegą z pola bitwy“. To ładnie powiedziane, prawda? Czy nie świetnie mówi pan Stein po angielsku? Powiedział że nauczył się angielskiego na Celebesie — to nie do uwierzenia! Strasznie zabawne — prawda? Pan Stein mówi z takim jakimś akcentem — jakby przez nos — czy zauważyłem? Właśnie ten stary Doramin dał pierścień panu Steinowi. Zamienili dary, żegnając się po raz ostatni. Była to jakgdyby obietnica wiecznej przyjaźni. Jim uważa, że to jest piękne — czy nie prawda? Obaj razem musieli się ratować ucieczką, kiedy ten Mohamed... Mohamed... jak on się tam nazywał — został zabity. Muszę znać naturalnie tę historję. To było doprawdy haniebne — co?

— Plótł tak bez końca, zapominając o jedzeniu (zastał mię przy śniadaniu), z nożem i widelcem w ręku, z lekkiemi rumieńcami na policzkach i znacznie pociemniałemi oczyma, co było u niego zawsze oznaką podniecenia. Ten pierścień jest czemś w rodzaju listu wierzytelnego („zupełnie jakby się czytało o tem w książkach“, wtrącił z uznaniem) i Doramin zrobi dla Jima wszystko co tylko będzie mógł. Pan Stein ocalił życie temu Malajowi przy jakiejś sposobności — był to zwykły przypadek, według słów pana Steina — ale on, Jim, ma o tem własne zdanie. Pan Stein, to jest właśnie ten rodzaj człowieka, który czyha na takie przypadki. Ale mniejsza z tem. Czy to był przypadek czy nie, w każdym razie okoliczność ta ogromnie się Jimowi przysłuży. Tylko daj Boże, aby poczciwy staruszek nie przespacerował się tymczasem na tamten świat! Pan Stein nie umiał nic o tem powiedzieć. Już przeszło rok nie było stamtąd żadnych wiadomości; tarmoszą się tam wciąż nie na żarty, a rzeka jest niedostępna. To doprawdy nieznośne; ale niema strachu, już Jim potrafi wśliznąć się przez jaką szparkę.

— Jego radosna gadatliwość zrobiła na mnie przykre wrażenie, przestraszyła mię prawie. Paplał jak wyrostek w przeddzień wakacyj, po których się spodziewa rozkosznych przygód; a taki stan ducha wśród podobnych okoliczności, u dorosłego człowieka, miał w sobie coś osobliwego, był poniekąd szalony i niebezpieczny. Chciałem właśnie zakląć Jima aby się odniósł poważnie do rzeczy, gdy opuścił nóż i widelec (zaczął właśnie jeść, a raczej jakby nieświadomie połykać jedzenie) i jął czegoś szukać naokoło swego talerza. Pierścień! pierścień! Gdzież u djabła... Aha! jest. Zamknął go w wielkiej dłoni i zaczął próbować

po kolei wszystkich kieszeni. Na Boga! żeby go tylko nie zgubić. Zamyślił się poważnie nad swoją pięścią. Aha! Powiesi ten interes na szyi. I zabrał się do tego natychmiast, wyciągnąwszy z kieszeni sznurek wyglądający na kawał bawełnianego sznurowadła. O tak. W porządku. Toby był dopiero pasztet, gdyby... Dostrzegł jakby po raz pierwszy moją twarz i to go trochę uspokoiło. Oświadczył z naiwną powagą, że prawdopodobnie nie zdaję sobie sprawy, jaką on wielką wagę przywiązuje do tego symbolu. Przecież to zadatek przyjaźni; a dobra to rzecz mieć przyjaciela. On coś wie o tem. Skinął ku mnie wyraziście głową, a gdy uczyniłem gest, jakbym się do niczego nie przyznawał, oparł głowę na ręku i siedział tak przez chwilę, milcząc i bawiąc się w zamyśleniu okruszynami chleba na obrusie.

— „Zatrzasnąć drzwi za sobą — to wprost świetnie powiedziane“ — zawołał; zerwał się i zaczął chodzić po pokoju, przypominając mi zarysem ramion, sposobem trzymania głowy, porywczym, nierównym krokiem, ową noc, gdy tak chodził, spowiadając się, tłumacząc — czy jak tam chcecie — a przedewszystkiem żyjąc — żyjąc przed memi oczami w cieniu swej hańby, i wysilając całą swą podświadomą chytrość, która umiała wysnuć pociechę z samego źródła zgryzoty. Taki sam duch ożywiał go dzisiaj, taki sam a zarazem różny, niby płochy towarzysz, który dziś prowadzi po właściwej ścieżce, a jutro — tym samym krokiem, z tym samym wyrazem oczu, z tym samym impetem — powiedzie na beznadziejne manowce. Krok Jima był pewny, a jego błądzące, pociemniałe oczy przebiegały pokój, jakby czekoś szukając. Stąpnięcie jednej z jego nóg rozlegało się głośniej — z pewnością

wskutek jakieś wady w obuwiu — co robiło dziwne wrażenie, jakby kulał niewidocznie. Wepchnął rękę głęboko w kieszeń spodni, drugą zaś machnął nagle nad głową:

— „Zatrzasnąć drzwi! — krzyknął. — Na to właśnie czekałem. Ja jeszcze pokażę... Ja... Jestem gotów na każdą psiakrew awanturę... Marzyłem o tem... Miły Boże! Wydostać się stąd. Miły Boże... To jest nareszcie sposobność... Niech pan tylko poczeka! Ja jeszcze..."

— Poderwał odważnie głowę; wyznaję iż poraz pierwszy i ostatni w ciągu naszej znajomości spostrzegłem niespodzianie, że mam już Jima dosyć. Poco ta pusta gadanina? Rozbijał się po pokoju, wywijając idjotycznie ręką, a od czasu do czasu chwytał się za pierś, szukając pod ubraniem pierścionka. To uniesienie nie miało najmniejszego sensu u człowieka, który zamierzał objąć posadę agenta handlowego i to w miejscowości, gdzie wcale handlu nie było. Poco rzucać wyzwanie całemu światu? Powiedziałem mu, że taki stan ducha nie jest odpowiedni w chwili, gdy się podejmuje jakiekolwiek zadanie — a to się odnosi nietylko do niego ale do wszystkich. Stał nade mną bez ruchu. „Tak pan uważa?" zapytał, bynajmniej nie zbity z tropu, z uśmiechem, w którym spostrzegłem nagle coś nakształt zuchwalstwa. Ale przecież jestem starszy od niego o lat dwadzieścia. Młodość *jest* zuchwała; to jej prawo, to jest nieuniknione; młodość musi się postawić, a każde postawienie się na tym świecie pełnym wątpliwości jest wyzwaniem, jest zuchwałością. Jim odszedł w daleki kąt pokoju i wracając, rzucił się na mnie — w przenośni — jakby mię chciał rozszarpać. Oświadczył, że tak mówię,

ponieważ nawet ja, który wyświadczyłem mu tyle dobrego — nawet ja — pamiętam... pamiętam mu — to co się zdarzyło. A cóż dopiero mówić o innych — o... o świecie? Cóż w tem dziwnego, że Jim chce zniknąć, że postanowił zniknąć — usunąć się zupełnie — na Boga! A ja mu prawię o odpowiednim stanie ducha!

— „To wcale nie ja pamiętam, ani też świat pamięta — krzyknąłem. — To pan, pan sam wciąż pamięta".

— Nie ugiął się i ciągnął zapalczywie:

— „Zapomnieć o wszystkiem, o wszystkich, wszystkich... — głos jego opadł — prócz pana" — dodał.

— „O mnie także — jeśli to panu może pomóc" — rzekłem również pocichu. Milczeliśmy czas jakiś apatycznie, niby docna wyczerpani. Potem Jim zaczął mówić spokojnie, że pan Stein polecił mu poczekać z jaki miesiąc dla wybadania czy będzie mógł tam zostać, nim zacznie budować dla siebie nowy dom; trzeba unikać „marnych wydatków". Pan Stein używa takich dziwnych wyrażeń! „Marne wydatki" — to pyszne! Naturalnie że Jim tam pozostanie. Wytrwa. Byle się tylko tam wśliznął — to mu wystarczy; ręczy, że pozostanie na miejscu. Nigdy się stamtąd nie ruszy. Łatwo mu przyjdzie tam zostać.

— „Niech pan nie będzie zuchwały — rzekłem, zaniepokojony jego groźnym tonem. — Jeśli pan tylko dość długo pożyje, będzie pan chciał powrócić".

— „Powrócić do czego? — zapytał z roztargnieniem, wpatrując się w zegar na ścianie.

— Milczałem przez chwilę. — „Więc to na zawsze?" — rzekłem.

— „Nazawsze — powtórzył marzącym tonem, nie

patrząc na mnie; nagle ogarnął go pośpiech. — Słowo daję, druga godzina, a ja wyruszam o czwartej!“

— To była prawda. Brygantyna Steina odpływała na zachód tegoż popołudnia; Jim miał odbyć na niej podróż, a żadne rozkazy co do opóźnienia wyjazdu nie zostały wydane. Przypuszczam że Stein o tem zapomniał. Jim pobiegł po swoje rzeczy, a ja się udałem na mój statek, gdzie mnie obiecał odwiedzić w drodze na zewnętrzną redę. Zjawił się niebawem w wielkim pośpiechu. W ręku trzymał małą skórzaną walizkę, która była zupełnie nieodpowiednia; ofiarowałem mu swój stary żelazny kufer, rzekomo nieprzemakalny, a w każdym razie nie przepuszczający wilgoci. Jim przepakował rzeczy w taki sposób, że wsypał zawartość walizy do kufra jak worek pszenicy. Zobaczyłem w trakcie tego przesypywania trzy książki; dwie małe w ciemnych oprawach i gruby zielonozłoty tom — tanie wydanie Szekspira.

— „Czyta pan to?“ — zapytałem.

— „Aha. Nic tak człowieka nie krzepi“ — rzekł śpiesznie. Uderzyła mię ta ocena, ale nie było czasu na rozmowę o Szekspirze. Ciężki rewolwer i dwa małe pudełka naboi leżały na stole w kajucie.

— „Proszę, niech pan to weźmie — rzekłem. — To panu pomoże tam zostać. — Ledwie wymówiłem te słowa, spostrzegłem że mogą mieć ponure znaczenie. — Przedostać się tam — poprawiłem się ze skruchą. Ale mętne aluzje nie czepiały się Jima; podziękował mi z wylaniem i wypadł, wołając dowidzenia przez ramię. Usłyszałem zza burty głos jego poganiający wioślarzy; wyjrzawszy przez tylny iluminator, zobaczyłem łódź objeżdżającą konchę rufy. Jim siedział pochylony naprzód, nagląc do pośpiechu wioślarzy gło-

sem i ruchami, a ponieważ trzymał jeszcze rewolwer i zdawał się mierzyć w ich głowy, nie zapomnę nigdy przerażonych twarzy czterech Jawajczyków ani szalonego tempa ich wioseł, które uniosły tę wizję z przed moich oczu. Odwróciwszy się, ujrzałem zaraz na stole oba pudełka z nabojami. Zapomniał je zabrać.

— Kazałem natychmiast spuścić gik, lecz wioślarze Jima, przekonani że ich życie wisi na włosku, póki mają w łodzi tego warjata, posuwali się z taką szybkością, że nim się znalazłem na pół drogi między obu statkami, ujrzałem iż Jim wspina się na barjerę a za nim dźwigają jego bagaż. Wszystkie żagle brygantyny były odwiązane, żagiel główny postawiony, a wyciąg kotwiczny zaczynał już szczękać, gdy wstąpiłem na pokład; szyper, mały, zwinny metys liczący około czterdziestki, w granatowem flanelowem ubraniu, podszedł do mnie z ugrzecznionym uśmiechem. Miał ruchliwe oczy, okrągłą twarz cytrynowego koloru i cienki czarny wąsik okalający grube, ciemne wargi. Okazało się że — mimo zadowolonej z siebie i wesołej miny — metys ma usposobienie markotne. W odpowiedzi na jakąś moją uwagę (Jim właśnie wówczas poszedł na dół na chwilę), rzekł: „Ach tak, Patusan!“ Zawiezie „tego pana“ do ujścia rzeki, ale „za nic na rzekę nie wstąpi“. Płynna angielszczyzna metysa brzmiała, jakby ją warjat skompilował ze słownika. Gdyby pan Stein zażądał, aby „wstąpił na rzekę“, on (metys) byłby „z całą czcią“ (przypuszczam że chciał powiedzieć: z całym szacunkiem — ale licho go wie) — „byłby z całą czcią przeciwstawił się temu ze względu na bezpieczeństwo posiadania“. Gdyby zaś na to nie zareagowano, byłby zgłosił „dymisję do opuszczenia statku“. Przed dwunastu miesiącami odbył tam swoją ostatnią

podróż; choć pan Cornelius „przebłagał wiele ofiar“ panu radży Allangowi i „głównym ludnościom“, na warunkach, które czyniły z handlu „sidła i popiół w ustach“, jednak mimo to jego (metysa) statek był ostrzeliwany z lasów przez „nieodpowiednie oddziały“, i to w ciągu całej podróży wdół rzeki. Załoga „z powodu narażenia na członki pozostała, milcząc, w kryjówkach“, to też brygantyna ledwie że nie osiadła na mieliźnie u ujścia rzeki, gdzie byłaby „znikoma poza ludzkiem działaniem“. Na szerokiej, prostodusznej twarzy metysa walczyły z sobą dwa uczucia: gniewna odraza do tych wspomnień i duma z własnej płynnej wymowy, której się przysłuchiwał z upodobaniem. Marszczył się i rozpromieniał naprzemian, śledząc z zadowoleniem na mojej twarzy niezaprzeczone wrażenie wywołane jego frazeologją. Ciemne zmarszczki przebiegały chyżo po spokojnem morzu a brygantyna z przednim topslem przy maszcie i głównym bomem pośrodku okrętu wydawała się oszołomiona wśród lekkich powiewów. Metys opowiadał dalej, zgrzytając zębami, że radża jest „śmieszną hjeną“ (nie mam pojęcia, skąd on tę hjenę wytrzasnął), a o kimś innym wyraził się, że jest bez porównania bardziej obłudny niż „broń krokodyla“. Śledząc jednem okiem krzątanie się załogi na dziobie, puścił wodze gadulstwu i pytlował gładko, porównując Patusan do „klatki z dzikiemi bestjami, rozjuszonemi przez długą zatwardziałość“. Pewno chciał powiedzieć bezkarność. Nie ma bynajmniej zamiaru, wołał, „wystawić się na widok, żeby go wplątali umyślnie w rozbójnictwo“. Przeciągłe okrzyki, nadające tempo ludziom wyciągającym kotwicę, skończyły się i metys zniżył głos. „Mam dość zawiele po uszy tego Patusanu“, zakończył z energją.

— Opowiadano mi później następującą historję: wskutek swej nierozwagi metys doprowadził do tego, że go przywiązano za szyję powrozem z rattanu do słupa, wbitego w dziurę z błotem przed domem radży. Spędził większą część dnia i całą noc w tej niezbyt miłej pozycji, ale są wszelkie dane potemu, że owa historja była pomyślana jako coś w rodzaju żartu. Metys zamyślił się posępnie — rozpamiętywał pewno te okropne wspomnienia — poczem powiedział coś kłótliwym tonem do majtka, który szedł na rufę ku sterowi. Po chwili znów do mnie się zwrócił, oświadczając apodyktycznie i spokojnie, że zabierze tego pana do ujścia rzeki Batu Kring („miasto Patusan jest położone wewnętrznie trzydzieści mil", jak się wyraził). Ale według niego, ciągnął dalej — a zamiast pytlować jak przedtem przybrał znużony ton pełen głębokiego przeświadczenia — według niego ten pan jest już „na podobieństwo trupa". „Co? Co pan mówi?" zawołałem. Przybrał przerażająco dziką podstawę i udał znakomicie, że zadaje komuś cios w plecy. „Zupełnie jak trup zesłańca", wyjaśnił z nieznośnie zarozumiałą miną właściwą ludziom jego rasy, gdy sobie wyobrażają że dokonali czegoś niezwykle mądrego. Dostrzegłem za jego plecami Jima, który uśmiechał się do mnie w milczeniu i podniósł rękę, zatrzymując wykrzyknik na moich ustach.

— Metys, rozdęty własną wielkością, wydawał donośnym głosem rozkazy, reje obracały się, skrzypiąc, ciężki bom obrócił się z rozmachem, a my staliśmy obaj z Jimem jakby sam na sam, z lewej strony wielkiego żagla. Uścisnęliśmy sobie ręce i zamieniliśmy ostatnie spieszne słowa. Nie miałem już w sercu tej tępej urazy do Jima, która mi nie przeszkadzała przej-

mować się jego losem. Idjotyczna paplanina metysa nadała więcej realności nędznym niebezpieczeństwom, które groziły Jimowi, niż rozważne wyjaśnienia Steina. Przy tej okazji znikł pewnego rodzaju formalizm, który przejawiał się zawsze w naszych stosunkach; zdaje się że nazwałem Jima kochanym chłopcem, a on znów, usiłując wyrazić mi swą wdzięczność, urwał wpół zdania na słowach: „mój stary“ — jakgdyby grożące mu niebezpieczeństwa, przeciwstawione mym latom, zrównały nas niejako pod względem wieku i uczuć. Nastała chwila prawdziwego i głębokiego porozumienia, które było nieoczekiwane i krótkotrwałe, niby przelotna wizja jakiejś wiecznej, jakiejś zbawczej prawdy. Jim starał się usilnie mię uspokoić; rzekłbyś — z nas dwóch on był dojrzalszy.

— „Wszystko będzie dobrze — rzekł szybko ze wzruszeniem. Obiecuję panu, że będę się pilnował. Tak! nie pozwolę sobie na żadne psiakrew ryzyko — choćby najmniejsze. Bezwzględnie. Postanowiłem wytrwać. Niech pan się nie martwi. Słowo daję, mam wrażenie że nic mi się złego stać nie może. To ci dopiero szczęście co się zowie! Nie chciałbym zepsuć takiej wspaniałej okazji“. — Wspaniałej okazji! No tak, to *była* wspaniała okazja, ale każda okazja jest tem, co człowiek z niej zrobi — a skądże ja mogłem wiedzieć?... Jak Jim powiedział, nawet ja — nawet ja pamiętałem mu jego... jego nieszczęście. To była prawda. I najlepsze co mógł zrobić — to odejść.

— Mój gik znalazł się wkrótce za brygantyną; u tylnej barjery stał Jim na tle blasków zachodu; widziałem jak wznosił czapkę wysoko ponad głową. Dosłyszałem niewyraźny okrzyk: „Dojdą — pana — o — mnie — wieści“. O mnie, czy ode mnie — nie

umiem napewno powiedzieć. Zdaje mi się że o mnie Blask morza mię olśnił i nie mogłem dojrzeć Jima wyraźnie; to już mój los, że go nigdy dojrzeć wyraźnie nie mogę; ale zapewniam was, że nie wyglądał ani trochę „na podobieństwo trupa“, według słów kraczącego szypra. Dostrzegłem tego metysa nieboraka — jego twarz koloru i kształtu dojrzałej dyni, wyzierającą Jimowi z pod łokcia. Metys też podniósł ramię, jakby chciał zadać cios zgóry. *Absit omen!*
